

Bernard Grzywacz

KRAĞ
WORKUTY

Archiwum Wschodnie
Warszawa 2004

Więzienie i śledztwo

Aresztowanie nastąpiło, gdy wyszedłem, aby kupić coś do jedzenia. Zaprowadzili mnie na wartownię dawnego gestapo przy ulicy Kadeckiej i po dokonaniu szczegółowej rewizji, wrzucili do „koniusznej”, czyli do stajni pospiesznie przerobionej na więzienie. Był to niski barak z trzema pomieszczeniami, do których wchodziło się z małego przed-sionka. Cella, do której mnie wepchnięto, miała trzy metry kwadratowe i małe okno pod sufitem. Na zewnątrz pilnowali „koniusznej” uzbrojeni w automaty żołnierze. Większą część celi zajmowały prycze, rozmieszczone wzdłuż dwóch ścian, pół metra nad podłogą. Na nich siedzieli i spali więźniowie. Było nas piętnastu i aby się pomieścić wszyscy musieliśmy spać na tym samym boku. Leżeliśmy jak śledzie w becze, każdy spał w tym, co miał na sobie w momencie aresztowania. Oprócz Polaków siedzieli tam za jakieś wykroczenia sowieccy żołnierze frontowi, uwolnieni jeńcy oraz Ukraińcy. Nikt się nie golił i nie mył. W rogu celi, przy drzwiach stała *parasza* — kibel, do którego wszyscy się załatwiali. Raz dziennie, rano, dwóch aresztantów wynosiło go i opróżniało. Początkowo podejrzewaliśmy Sowietów o nieznajomość elementarnych zasad higieny, obowiązujących nawet w więzieniach. Później przekonaliśmy się, że zgodnie z założeniami władz, więzień nie ma żadnych praw.

W celi spotkałem starego znajomego, szewca Kameckiego, u którego w okresie okupacji niemieckiej znajdował się punkt kontaktowy. Żaden z nas nie dał po sobie poznać, że się znamy. Wiedzieliśmy dobrze, że tam, gdzie wśród więźniów znajdowali się sowieccy obywatele, nie było mowy o solidarności i że nie było celi bez kapusia. NKWD zobowiązywało i zmuszało swoich obywateli do donosicielstwa. W czasie rewizji udało mi się przemycić zegarek. Przywiązałem go do nogi, powyżej kostki. Niedługo się nim cieszyłem. Rosyjscy więźniowie zauważyli, że Polacy znają dokładną godzinę od czasu mojego zjawienia się w celi. Przez pięć dni miałem spokój, nie wzywano mnie na żadne przesłuchania, ale szóstego dnia zostałem zaprowadzony do jakiegoś oficera. Bacnie mi się przypatrywał i po pewnym czasie zapytał, czy mam rękawiczki. Gdy odpowiedziałem twierdząco, zażądał, bym je pokazał. Obejrzał uważnie, po czym zapytał, czy stale je noszę i czy mam jeszcze inną parę. Po moim zaprzeczeniu polecił odprowadzić mnie do celi. Na drugi dzień, w nocy, wywołali mnie i zaprowadzili do głównego gmachu, przeprowadzili rewizję, podczas której od razu sięgnęli po schowany zegarek, nie oszczędzając przy tym soczystych przekleństw. Potem zaprowadzili mnie na drugie piętro, do pokoju, w którym siedział już oficer śledczy. Po moim wejściu zaczęli się schodzić inni oficerowie — oglądali mnie, jak jakiś rzadki okaz. W końcu zostało ich tylko dwóch. Jeden z nich, mówiąc słabą, łamaną polszczyzną, twierdził, że jest oficerem polskiej armii. Zastanawiałem się, ilu takich oficerów wchodzi w skład kadry polskiego wojska, utworzonego przez Kreml w Związku Radzieckim. Zaczęli śledztwo, podczas którego chcieli do-

wiedzieć się tylko jednego: czy „Marek” to mój pseudonim — nie ukrywali satysfakcji z faktu rozszyfrowania i uwięzienia mnie. Według tego, co mówili, mieli informacje o działalności niejakiego „Marka” na długo przed wejściem do Polski, lecz nie udało im się ustalić, kto nim jest. Nie kryli przede mną, że od dawna znajdowałem się na liście osób przeznaczonych do zatrzymania. Śledczy Kozłowski twierdził, że poszukiwali mnie począwszy od pierwszego dnia i stale zadawał mi pytanie: „Jesteś «Markiem»?”. Po każdym zaprzeczeniu otrzymywałem potężny cios w kark od oficera, który twierdził, że jest z polskiej armii. Te nagłe uderzenia momentami odbierały mi świadomość. Przez godzinę zadawali mi to samo pytanie, a ja stale odpowiadałem przecząco. Nie mogąc osiągnąć zamierzonego celu, odprowadzili mnie do celi. Powtarzało się to co noc: to samo pytanie, przeplatane wiązkami najrozmaitszych przekleństw, ta sama odpowiedź.

W stajni, w celi naprzeciw, siedziały kobiety. Znajdowały się w takich samych warunkach jak mężczyźni, bez możliwości przestrzegania zasad higieny. Buntowały się, żądały przybycia władz — domagały się nie gorszego traktowania więźniów niż w czasach gestapo, prosiły o odrobinę wody. Sowietci jednak nie reagowali. Nie otrzymywaliśmy nie oprócz zupy dawanej trzy razy dziennie. Kryminalistów trzymano w lepszych warunkach niż nas — przeciwników ideologicznych.

Po kilkunastu dniach wrzucili do naszej celi więźnia, który przedtem siedział w jakiejś piwnicy. Tak zawszonego człowieka trudno sobie wyobrazić, wszy dosłownie z niego spadały. Musiał zająć miejsce przy *paraszy* i został zmuszony do rozebrania się oraz wyrzucenia odzieży do kibla. Cały dzień oczyszczał się z insektów — *parasza* była ich pełna. Spał siedząc przy niej, bo nie było już miejsca na pryzach.

W piętnastym dniu mojego pobytu w „koniusznej”, do celi kobiecej przyprowadzono Stasię Czartoryską. W tym samym dniu kobietom udało się otworzyć swoją celę, po czym Stasia odblokowała drzwi naszej. Nastąpiło serdeczne powitanie. Miałem z nią wyjątkowo dużo do omówienia, bo miała wiadomości z tak zwanej wolności. Powiedziała mi o aresztowaniu „Rysia” i wielu innych osób z AK i NOW. Omówiliśmy plan działania: gdyby pytali o nasze wspólne kontakty, postanowiliśmy zgodnie twierdzić, że łączyło nas tylko uczucie. Takie tłumaczenie eliminowało Stasię z mojej sprawy. Miała stale i konsekwentnie twierdzić, że nie wie nic o fakcie zajmowania się przeze mnie konspiracją. Kochaliśmy się i mieliśmy zamiar wyjechać za San i tam się pobrać. Liczyłem się z faktem, że jeżeli aresztowali Stasię, to coś wiedzą. Największą korzyścią naszego spotkania było zorientowanie się w okolicznościach, w jakich nastąpiły aresztowania, bo one rzucały jakieś światło na zakres informacji posiadanych przez śledczych i na osoby, które zdradziły. Jedną z nich był „Czesiek” (Czesław Rutkowski), prawdopodobnie komsomolec z pierwszego pobytu Sowietów we Lwowie w latach 1939–41.

Śledztwo toczyło się dalej, przesłuchania odbywały się nawet dwa razy w ciągu nocy. Od czasu do czasu oficerowie śledczy zapewniali, że mają dostateczne dowody, aby mnie zasądzić. Po siedemnastu dniach od aresztowania, po kolejnym przesłuchaniu nie wróciłem do celi w „koniusznej”. Umieszczono mnie w podziemiach gmachu zajmowanego przez „Smiersz”. Piwnice te gestapo wykorzystywało jako schrony przeciwlotnicze — były bez okien i w tym czasie bez oświetlenia, bo od końca lipca nie zdążono go naprawić.

Przeznaczono dla mnie samotną celę. Na podłodze leżał zniszczony siennik z resztką słomy. Cella miała dwoje drzwi: jedno na korytarz, drugie do następnej piwnicy, w której siedziały kobiety. Pierwszym zadaniem było nawiązanie z nimi kontaktu, ale zrobiły to przede mną. Zaczęły od sondowania, kto zacz, przy zachowaniu dużej ostrożności, bo mógł być wśród nich kapuś. Szybko doszliśmy do porozumienia, gdyż za drzwiami siedziała „Krystyna”. Nie wiedziałem o jej aresztowaniu. Komunikując się przez zamknięte drzwi, nie mogliśmy być pewni, że nikt się pod nas nie podszywa. Mogliśmy się zobaczyć dopiero po trzech dniach, gdy w celach włączono światło. Udało mi się skądś wyciągnąć nieduży gwóźdź i wykonać nim w drzwiach niewielką szparę, przez którą nastąpiła prezentacja.

Z nowego miejsca już pierwszej nocy wezwano mnie na przesłuchanie. Zaczęło się od początku: „*Jesteś «Markiem»?*”. I znowu moje zaprzeczenia. Tym razem nie wysilali się długo, powiedzieli, że mają „Rysia”, który wyjawiał wszystko, więc nie ma sensu dalej zaprzeczać. Zwykły chwyt. Nie pierwszy raz mi to mówiono. Mieli „Rysia”, lecz on na pewno nic nie powiedział. Znałem go dobrze i mogłem na nim polegać. Jeżeli się przyznał do czegoś, to najwyżej do akcji na *uniwermag*, a w tej sprawie mieli już dostatecznie dużo dowodów. Teraz trzeba było tylko przeanalizować, czy dalsze zaprzeczenie wszystkiemu ma sens. Postanowiłem podczas tego przesłuchania milczeć, a po powrocie do celi zastanowić się nad swoim dalszym postępowaniem. Od „Krystyny” dowiedziałem się, że „Rys” w obliczu niezbitych dowodów musiał przyznać się do akcji na sklep. Nie wiedziałem jeszcze, w jakich okolicznościach to nastąpiło. Na następnym przesłuchaniu śledczy zorganizował naszą konfrontację, lecz niewiele mu ona dała, natomiast mi bardzo dużo, bo upewniłem się, że „Rys” nic więcej nie powiedział. Musiałem zyskać na czasie, gdyż w nowej sytuacji nie miałem należycie obmyślonego planu. Zdawałem sobie sprawę, że przyznanie się do tego, że jestem „Markiem” będzie miało dalsze konsekwencje, ale przede wszystkim zastanawiałem się, co naprawdę wie śledczy. Wiedział na pewno o akcji na sklep, o którą najmniej zresztą chodziło; że jestem „Markiem” i że należę do organizacji NOW-AK oraz o tym, że udzielałem pomocy rodzinom poszkodowanych. „Rys” miał rację — dalsze zaprzeczenie wszystkiemu niewiele zmieni. Postanowiłem przyznać się do pseudonimu, lecz na tym przesłuchaniu nie mówić nic więcej. Trzeba było obmyślić długą historię, nie obciążającą osób znajdujących się na wolności. Gdy śledczy przekonał się, że wszelkie próby nakłonienia mnie do mówienia są bezcelowe, odesłał mnie do celi. Byłem wyczerpany, więc rzuciłem się na resztki siennika. Po jakimś czasie otrząsnąłem się z przygnębienia i zacząłem intensywnie układać plan historii, którą zamierzałem opowiedzieć. Nie dano mi dużo czasu na rozmyślanie, bo jeszcze tej samej nocy wezwano mnie ponownie na kilkugodzinne przesłuchanie. Prawdę mówiąc, te przesłuchania były dziwne, bo śledczy nie mówił po polsku, a ja po rosyjsku. Każdy z nas na tyle rozumiał drugiego, na ile podobne były do siebie nasze języki. Niewiele mnie obchodziło, co zapisywał z mojego opowiadania.

Między tymi nocnymi przesłuchaniami prowadziłem intensywną wymianę informacji z „Krystyną”. Szpara zrobiona w drzwiach dała nam możliwość przekazywania grypsów. Dowiedziałem się z nich o okolicznościach aresztowania „Krystyny” — miała dowody zdrady „Sasa”, który ją wydał. O zdradę obwiniąta również „Czeška”. Widywała ich w różnych okresach na korytarzu, gdy prowadzili ją na przesłuchania, a także podczas

sprzątania korytarza i pomieszczeń (do sprzątania brano więźniarki). Dowiedziałem się, w jaki sposób aresztowano „Rysia” — chwycili go na ulicy, zaraz po spotkaniu z „Sasem”. Po zaprowadzeniu do budynku „Smiersza” poddano go przesłuchaniu, które śledczy rozpoczął od wymienienia wielu faktów mających doprowadzić do szybkiego przyznania się. „Rys” wszystkiemu zaprzeczał. Była to pora obiadowa i śledczy, nie chcąc tracić czasu, umieścił go w ubikacji, nakazując, by siedział cicho. „Rys” zaczął analizować fakty podane przez śledczego i doszedł do wniosku, że sytuacja jest niewesoła. Otworzył ubikację i zobaczywszy, że nie ma nikogo, śmiało zszedł na parter i skierował się ku wyjściu, gdzie został zatrzymany przez żołnierza żądającego przepustki. Nie namyślając się ani chwili, mocno uderzył *bojca*, po czym wybiegł na ulicę i rzucił się do ucieczki, lecz został złapany i solidnie zbity. Zbroczonego krwią przywleczono go do śledczego, który bez udzielenia mu pomocy, zaczął intensywne śledztwo. „Rys”, osłabiony z powodu upływu krwi, przyznał się do pseudonimu i do akcji na sklep. Po osiągnięciu celu, śledczy polecił opatrzyć mu rany.

W późniejszym okresie śledztwa pytano mnie o „Krystynę”, zabrane ze sklepu pieniądze i szereg innych spraw, o których często nie miałem pojęcia, a które podobno działy się na moje polecenie. Do znajomości z „Krystyną” nie przyznawałem się, mimo twierdzenia przez śledczego, że ona ten fakt potwierdziła. Wiedzieliśmy, że było to kłamstwo, bo po przyjściu z każdego przesłuchania zdawaliśmy sobie relację. Ostatecznie śledczy musiał przyjąć wersję, że „Rys” przy jakiejś okazji pokazał mi „Krystynę” z daleka. Którejś kolejnej nocy śledczy zapytał, czy rozpoznam „Krystynę”. Odpowiedziałem, że tak, bo zawsze go zapewniałem, że to, co zeznaje, jest szczerą prawdą. Śledczy wyszedł na chwilę, a gdy wrócił kazał mi iść ze sobą. Zaprowadził mnie do ciemnego pomieszczenia z uchylonymi drzwiami prowadzącymi do drugiego, dobrze oświetlonego pokoju, gdzie znajdowała się „Krystyna” i dwóch oficerów, którzy prowadzili z nią rozmowę w taki sposób, by musiała obracać się w stronę tych lekko otwartych drzwi. Polecono mi się jej przyjrzeć. Cóż jednak robić, gdy pamięć zawodzi z powodu wyczerpania. Śledczy zabrał mnie z powrotem i zapytał, czy kobieta, którą widziałem to „Krystyna”. Udawałem wysiłek, jakbym chciał wydobyć z zakamarków pamięci mocno zamazany obraz. W końcu powiedziałem, że widziałem ją tylko raz i to od tyłu, z dużej odległości, a wiadomo, że kobiety z tej strony nie bardzo się różnią — może to ona, a może nie. Śledczy spytał, czy powiem to samo, jeżeli ją przyprowadzą, na co odpowiedziałem twierdząco. Wprowadzono „Krystynę” i zapytano ją, czy mnie zna. Zaprzeczyła. Z tym samym pytaniem zwrócono się również do mnie. Po krótkim wahaniu oświadczyłem, że widziałem ją tylko raz i nie jestem pewien, czy to ona. Nie jest do tamtej podobna. „Krystynę” wyprowadzono. Śledczy nie szczędził mi przekleństw, ale nie mając najwidoczniej sił do dalszych pytań, kazał mnie wyprowadzić. Przy wyjściu powiedział, że będę tego żałował. Nie rozumiałem, co go tak zdenerwowało.

Wszystkie przesłuchania odbywały się w nocy, jakby zdawali sobie sprawę, że to co robią jest sprzeczne z prawami ludzkimi i boskimi. Śledczy zadawał pytanie i czekając na odpowiedź często zasypiał lub pogrążał się w półśnie, a czas leciał. Chwilami wracała mu świadomość, że ma przed sobą więźnia i że właśnie zadał pytanie, na które nie otrzymał odpowiedzi. To wyrwanie ze snu dokumentował soczystym przekleństwem. Gdy przyznałem się do „Marka”, przestali mnie bić, ale stosowali inne metody, między

innymi świecenie lampą prosto w oczy, stanie bez ruchu przy ścianie i bezsenność, co przy podłym jedzeniu, braku spacerów i elementarnych warunków sanitarnych, miało załamać. Stałe przebywanie w piwnicy doprowadzało do zawrotów głowy, przy wstawaniu z podłogi musiałem przytrzymywać się ściany, by nie upaść. Ciągle chciało mi się spać, lecz zawsze ktoś przeszkadzał lub budził, jak nie śledczy, to strażnicy. Sowieccy specjaliści wiedzieli, że nie potrzeba bicia i tortur fizycznych, by zniszczyć więźnia psychicznie. Drugiej nocy po konfrontacji z „Krystyną” śledczy dał mi do zrozumienia, że nie zależy mu już na moich zeznaniach, bo mają wystarczające dowody, aby skazać całą naszą trójkę, a po chwili dodał: *„Możemy w każdej chwili cię zastrzelić. Znajdziemy jakieś wytłumaczenie, na przykład: zastrzelony w czasie próby ucieczki”*.

„Sas” i „Czesiek” mało wiedzieli o osobach z komendy NOW i łatwo orientowałem się, które informacje śledczego pochodziły od nich. Część aresztowanych ulegała sugestii, że Sowieci wiedzą o nich wszystko i wydawała im często to, o czym nie mieli zielonego pojęcia. Czasami pomocni dla nas byli sami przesłuchujący, przyzwyczajeni do całkowitej rezygnacji swoich obywateli. By się pochwalić, mówili o tym, co powiedziała druga osoba, a to z kolei pozwalało zorientować się przesłuchiwanym, jak powinni zeznawać. Oto przykład: gdy pytano mnie o Stefana (Karwatowskiego) „Cypriana”, będącego już dawno w Lublinie, opowiedziałem o „Stefanie” (Zienkiewiczu), który zginął w obronie Andrzeja Ciska. Śledczy pochwalił się „Rysiowi” tym, co zdołał ze mnie wydobyć, a ten w mig zorientował się, jak ma zeznawać. Zgodnie uśmierciliśmy osobę żyjącą, aby wyłączyć ją ze sprawy.

O akcji na sklep śledczy mieli najwięcej informacji od „Jerzego”. Przypuszczam jednak, że gdyby nic nie wiedzieli o tej sprawie, a nawet więcej, gdyby do tej akcji nigdy nie doszło — i tak nie zmieniłoby to naszej sytuacji. Zdecydowana większość aresztowanych Polaków nie dopuściła się żadnych czynów przeciwko sowieckiej władzy, ustrojowi lub prawu, a mimo to otrzymała wyroki.

Na jednym z przesłuchań śledczy odczytał mi zeznania „Globusa”, które dotyczyły naszej poufnej rozmowy. Śledczy nakłaniał mnie, bym się do niej przyznał, jednak wszystkie jego wysiłki były skazane na niepowodzenie. Zamierzał nawet doprowadzić do konfrontacji z „Globusem”, który w tym czasie znajdował się w więzieniu w Moskwie. Przekonywałem, by się nie trudził, bo nic to nie zmieni. Do konfrontacji ostatecznie nie doszło i śledczy już nigdy nie wracał do tego tematu. Wiedziałem, że w akcie oskarżenia, obok wielu innych znajdzie się i ten zarzut. Nie miałem jednak żadnych szans udowodnienia niesłuszności stawianych oskarżeń, bo tu panowały prawa sprawiedliwości, w której nie trzeba było udowadniać winy oskarżonemu.

Przyznałem się do tego, że byłem komendantem NOW-AK, a także do organizacji akcji na sklep, pomocy rodzinom poszkodowanych oraz do funkcji oficera organizacyjnego Okręgu Lwowskiego AK. Zarzucano mi dużo więcej. Do najważniejszych oskarżeń należały: przerzut ludzi za San, wydawanie prasy, napady na sowieckich żołnierzy, likwidacja jakiegoś komunistycznego działacza, likwidacja ukraińskiej konfidentki, napad na sklep, którego właścicielem był Żyd, organizacja oddziałów likwidacyjnych i szeregu innych, włącznie z przygotowaniem powstania, mającego na celu oderwanie ziem lwowskich od ZSRR. Zarzucano nam również współpracę z Niemcami w działaniach przeciw ZSRR, a wszystkie nasze akcje wymierzone w Niemców Sowieci przypisywali

sobie i komunistom współpracującym z Moskwą. Śledczy często podkreślał, że skoro aktywnie działaliśmy przeciw Niemcom, to teraz możemy również działać przeciw Związkowi Radzieckiemu.

Moją sytuację pogarszał fakt wzajemnego braku zrozumienia, ponieważ, jak już wspomniałem, śledczy nie znał języka polskiego, a ja rosyjskiego. Opieranie się tylko na podobieństwie tych dwóch języków doprowadzało do wielu nieporozumień. Po sześciu tygodniach śledztwa oficer prowadzący moją sprawę oświadczył, że zostałem aresztowany w dniu odczytywania oskarżenia. Zaprotestowałem: „*Jak to?! Siedzę sześć tygodni, a dopiero dzisiaj mnie aresztowano?*”. Śledczy nie zwracał uwagi na moje protesty i czytał, za co mnie aresztowali, a więc z paragrafów: 54-1a, 54-8 i 54-11. Po czym podsunął mi papier do podpisania — może było napisane tam jeszcze coś innego, ale nie znając alfabetu, nie mogłem tego sprawdzić. Paragrafy również niczego mi nie mówiły, więc poprosiłem o wyjaśnienie ich znaczenia. Śledczy zaczął wyjaśniać: „*Paragraf 54-1a oznacza izmiennik rodziny*”. Przerwałem dalsze objaśnienie gwałtownym protestem, tłumacząc, że nie mogą mnie sądzić za to, iż zmieniłem nazwisko w czasie okupacji niemieckiej, bo przecież poszukiwało mnie gestapo. Moje rozumowanie było proste: „*izmiennik*” oznacza człowieka, który coś albo kogoś zmienił, a „*rodina*” jest odpowiednikiem polskiego słowa „rodzina”. Cóż takiego zmieniłem w swojej rodzinie? Nazwisko rodzinne na inne. Gwałtownie protestowałem, twierdząc, że zmiana nazwiska nie jest żadnym przestępstwem i nie mogą mnie za to sądzić. Z kolei śledczy utrzymywał, że mogą. Po piętnastu minutach sprzecznania się prowadzący śledztwo Kozłow zaczął podejrzewać, że coś tu jest nie w porządku, więc pomógł sobie słownikiem polsko-rosyjskim. Zaczął powoli czytać: „*«Izmiennik» — «zdrajca», «rodina» — «ojczyzna*”. Wszystko stało się przeobrażająco jasne — byłem oskarżony o zdradę ojczyzny. Mogłem tylko zaprotestować i nie podpisać tych sowieckich wypocin. Pozostało jedynie wyjaśnić, którą to ojczyznę zdradziłem. Na to pytanie otrzymałem prostą odpowiedź: „*Wsio rawno*”. Nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Wyjaśniałem, że nie mają prawa sądzić mnie za zdradę ich ojczyzny, bo nigdy nie byłem sowieckim obywatelem. Śledczy długo tłumaczył, że mogą mnie sądzić z tego paragrafu i nawet próbował dodatkowo oskarżyć mnie o pogardę dla jego ojczyzny, gdyż uważałem jej obywatelstwo za coś negatywnego. Mówił jeszcze dużo, lecz — jak zwykle — tylko część z tego rozumiałem. Przekonywał, że ZSRR i Polska to jedno i to samo, jedna ojczyzna, że oni zwyciężyli i oni dyktują prawa. Poprosiłem o wyjaśnienie paragrafu 54-8, bo dalsza dyskusja nad „zdradą ojczyzny” była bezcelowa. W odpowiedzi usłyszałem, że oskarżają mnie o terror. Odpowiedziałem, że jeżeli uważają zbrojną akcję na sklep za terror, to możliwe, że mogą mnie sądzić z tego paragrafu. Śledczy zaczął się śmiać i powiedział: „*Akcja na sklep nie ma dla nas żadnego znaczenia. Ważne jest tylko to, że należałeś do organizacji, która mogła wyrządzić wiele złego ZSRR. Chyba nie zaprzeczysz, że likwidowaliście swoich zdrajców, a to jest właśnie terror. Nie jest ważne, czy zdążyliście zlikwidować kogoś po naszym wejściu do Lwowa, ważne jest to, że każdy z was pozostawiony na wolności może to zrobić*”. W tym momencie cieszyłem się, że jestem Polakiem. Co za prymityw... Wolę już być tym gorszym, ale pozostać człowiekiem. Nie było sensu dyskutować z maniakiem. Poprosiłem o wyjaśnienie paragrafu 54-11 — byłem oskarżony o przynależność do nielegalnej, kontrrewolucyjnej organizacji politycznej. Pozostał mi tylko bierny opór — nie podpisałem tych absurdów. Zaczął

się okres, w którym nieraz po kilka razy w ciągu nocy wzywano mnie na przesłuchania i stale pytano o różne sprawy nie związane z organizacją. Domagano się ode mnie podpisania dokumentów.

„Ryś” starał się wykupić „Jerzego” i nawiązał kontakt z majorem *kontrrazwiedki*, Malcowem, który zażądał pięćdziesięciu tysięcy rubli łapówki. Wszystkie kontakty i transakcje z przedstawicielami sowieckich władz były niebezpieczne, bo brali pieniądze i nie dotrzymywali zobowiązań. Ogólnie biorąc, sowieccy śledczy nie grzeszyli ani inteligencją, ani wiedzą. „Krystynie” natomiast zarzucali wykonanie wyroku na jakiejś Ukraince współpracującej z NKWD. Przez pewien czas oskarżali mnie, że dałem jej takie polecenie, ale później przestali o tym mówić. Nie wiem, czy udowodnili to „Krystynie”. Ja o żadnym wyroku nie wiedziałem i podobnych poleceń w całej swojej konspiracyjnej działalności nie wydawałem. „Ryś” i „Krystyna” do niczego się nie przyznali.

Mijały dni i tygodnie, stale to samo: przesłuchanie, piwnica i długie godziny zadawania tych samych pytań. Z piwnicznego korytarza wchodziło się do trzech cel: po lewej stronie do mojej i kobiecej, a po prawej, w końcu korytarza, do zbiorowej męskiej. Zazdrościłem siedzącym w tej celi, bo mogli ze sobą rozmawiać, dodawać sobie otuchy. Samotna cela wydawała mi się największą karą i okropnością, jaka może spotkać więźnia. Wówczas nie wiedziałem jeszcze, że towarzystwo niektórych więźniów może okazać się o wiele gorsze od samotnej, piwnicznej celi bez okien. Blisko dwa miesiące nie widziałem dziennego światła. Stale prześladowało mnie pytanie, jak długo jeszcze będą mnie trzymać w tej piwnicy.

Pewnego dnia do bardzo przepelnionej celi męskiej przyprowadzono nowego więźnia. Jego wejściu przez szparę w drzwiach przypatrywały się kobiety. Strażnik otworzył celę, więzień opierał się jak mógł, na jego twarzy malowało się przerażenie. W końcu udało się wepchnąć go do środka. Dalsze informacje otrzymałem od siedzących tam osób przez grypsy przekazywane za pośrednictwem ubikacji, do której wyprowadzano nas pojedynczo. Po zamknięciu drzwi celi, nowy więzień usiadł i zapłakał. Owym więźniem okazał się „Groń”, komendant Rejonu Stryjskiego NOW. Po wejściu Sowietów zawiesił działalność konspiracyjną i najprawdopodobniej aresztowali go za aktywność w czasie okupacji niemieckiej. Nie dziwiłem się jego reakcji na to, co zobaczył. Ukazała mu się cela z przyćmionym światłem, z siedzącymi półnagimi postaciami. Ściany były pokryte czerwonymi, krwawymi śladami po rozgniecionych pluskwach. Małe pomieszczenie, dużo więźniów, buchająca duchota, a do tego przerażone twarze osób oślepionych światłem z korytarza...

Wreszcie doczekałem się zmian. Któregoś dnia otworzyły się drzwi i do celi wprowadzili nowego więźnia. Nareszcie nie byłem sam. Dla mnie była to ogromna zmiana, bo siedzenie w pojedynczej celi, w piwnicy, działało przygnębiająco. Wie o tym każdy, kto przez dłuższy czas był w takiej lub podobnej sytuacji. Nowym więźniem był Dunajewski, jeden z ostatnich redaktorów „Słowa Polskiego”. Dowiedziałem się od niego, co działało się we Lwowie bezpośrednio po moim aresztowaniu. Podczas śledztwa nie pytali go o mnie, a mnie o niego. Dziwiło nas to, ale takie były fakty. Po paru dniach dano nam nowego towarzysza niedoli — był nim „Bunio” (Ostrowski) z siatki wywiadu AK. Doszły do nas informacje, że sypie, więc zachowywaliśmy dużą rezerwę. Był młody i postanowiliśmy go wychować, ponieważ miał fałszywe pojęcie o sowieckich obozach, a także

o całokształcie życia w Związku Radzieckim. Wpojono mu przekonanie, że skazani na długie lata obozu żyją jak na wolności, zakładają rodziny, chodzą na polowania, pracują w swoich gospodarstwach na urodzajnych, bezkresnych obszarach Syberii.

Wszyscy zamknięci w piwnicznych celach dużo rozmyślali, robiliśmy to również i my. Omawialiśmy różne zagadnienia, wypowiadaliśmy otwarcie swoje poglądy, czyli robiliśmy to, czego robić nie było wolno. Było nas trzech, trzy różne indywidualności. Poruszyliśmy problem nadmiernego gadulstwa w czasie przesłuchań i wydawania kolegów z organizacji. Z zadowoleniem stwierdziliśmy, że rozważania odniosły pożądany skutek — „Bunio” na nas nie donosił. Właśnie w tym czasie działy się w więzieniu rzeczy, które na pewno zaciekawilyby śledczych. W jednej celi siedzieli redaktor i komendant, a obok, za drzwiami, świetnie rysująca „Krystyna”. Powstał projekt wypuszczenia z siedziby *kontrrazwiedki* „Smiersz” numeru „Słowa Polskiego”. Ustaliliśmy tematy i rozdzieliliśmy je między cztery osoby, bo „Bunio” również zapalił się do sprawy. Wśród tematów znalazły się następujące: jak zachować się podczas śledztwa, metody badań sowieckiego kontrwywiadu, NKWD i NKGB, lista osób znajdujących się w więzieniach. Znalazły się tam również wskazówki dla znajdujących się na wolności. W opracowywanym numerze nie zabrakło humoru, tematem którego byli przedstawiciele sowieckiego aparatu represji. „Krystyna” skombinowała ze stołów oficerów śledczych papier i ołówki, potrzebne do wykonania szaty graficznej. Wydany numer „Słowa Polskiego” wędrował od celi do celi. Podobnie jak dla grypsów, miejscem przekazywania była skrytka w ubikacji odkryta przez „Krystynę”. Trzeba zresztą przyznać, że to właśnie ona była najbardziej niepoprawnym więźniem i z tego powodu często zamykano ją w karcerze. Oficerowie śledczy wściekali się, gdy Polacy dawali im odczuć, że uważają ich za mało inteligentnych i niekulturalnych, a „Krystyna” nie ukrywała przed nimi swojego lekceważenia. Byliśmy pewni, że zrewanżują się nam w akcie oskarżenia. Jak już wspomniałem, brali kobiety do sprzątania i „Krystyna” chętnie z tego korzystała, by rozkoszować się dziennym światłem, zdobywać materiały do pisania i obserwować, kto współpracuje ze śledczymi. Informowała mnie o wszystkich swoich spostrzeżeniach.

Staraliśmy się nawiązać kontakt i znaleźć wspólny język z pilnującymi nas żołnierzami. Znaliliśmy sytuację panującą w ZSRR z rozmów prowadzonych z wieloma obywatelami sowieckimi. Wynikało z nich, że nie chcieli powrotu czasów przedwojennych, wierzyli, że po wojnie wszystko zmieni się u nich na lepsze, ludzili się, że zostaną przywrócone drobna własność i nieduże gospodarstwa rolne. Wierzyli swemu dowódcy, Żukowowi, który obiecał im zmiany w imieniu najwyższych władz Kremla. Staraliśmy się zachwiać ich wiarę w obietnice sowieckich panów. Nasze rozmowy z nimi pozostawały w ich umysłach jakiś cień, wywoływały nieufność i budziły rozterki. Nie zamierzaliśmy przeciągać tych prostych ludzi na naszą stronę, aby nam pomogli, ponieważ byli zbyt zstraszeni. Chętnie jednak słuchali naszych argumentów, opowieści o życiu w innych krajach i o prawdziwej wolności.

Beznadziejność kolejnych dni potrafiliśmy sobie urozmaicać. Porównywaliśmy więzienia sowieckie i niemieckie. Zasadniczą różnicą między nimi było to, że w więzieniach hitlerowskich działał Czerwony Krzyż i łatwiej można było dotrzeć do aresztowanych, bo przeważnie wiedziano, gdzie się znajdują. W systemie sowieckich obozów i więzień nawet najbliżsi nie wiedzieli, gdzie przebywają członkowie ich rodzin, wszędzie, gdzie pytali, dawano im odpowiedź, że takich w tym miejscu nie ma.

Tymczasem śledztwo toczyło się w tym samym, monotonnym rytmie, a przesłuchania odbywały się tylko w nocy. Marzyłem, by choć raz przesłuchiowano mnie w dzień, abym mógł zobaczyć słońce, a przez okno kawałek nieba i Lwowa.

Pewnej nocy otworzono drzwi i wprowadzono do celi nowego. Był Rosjaninem, kapitanem wywiadu. Czasami sowieckie władze praktykowały umieszczanie w celach swoich pracowników jako nowych więźniów, byliśmy więc ostrożni i zaczęliśmy od badania, kto, kiedy i za co. Do każdego nieznanego odnosiłem się nieufnie, z rezerwą, a co dopiero do Sowietu, oficera wywiadu. Miał na imię Kola. Okazało się, że nie wierzył bezkrytycznie w to, co głosiła sowiecka propaganda. Stykał się z Polakami i Ukraińcami i częściowo solidaryzując się z nimi, bywał w ich domach. Znając plany niektórych akcji przeciw Ukraińcom, pomógł jednemu z nich uratować się z ciężkiej sytuacji i od tego czasu znalazł się na liście podejrzanych, aż w końcu został aresztowany przez kontrwywiad. Początkowo siedział w celi razem z „Rysiem” i Żardeckim — starszym człowiekiem przewidzianym na prezydenta Lwowa oraz Władysławem Haydenbergiem — polskim oficerem z Lublina, a także z jakimś niemieckim sierżantem oraz Aleksandrem Stanisławskim „Arturem” — niepewnym już w czasie okupacji niemieckiej i „Jarema”. Zaplanowali ucieczkę na 3 maja 1945. Jeden z nich miał obezwładnić żołnierza wyprowadzającego ich do ubikacji. Podjął się tego „Artur”. W tym czasie ktoś inny miał dokonać spięcia w instalacji elektrycznej i pod osłoną ciemności wszyscy mieli uciec. Tylko Żardecki, chociaż zgodził się na ten plan, postanowił pozostać, ponieważ wiek nie pozwalał mu na taki wysiłek. „Artur” nie obezwładnił *bojca*, gdy była ku temu możliwość i ucieczkę odłożono. Kolejna okazja nadarzyła się wkrótce, gdy okazało się, że strażnik po przyprowadzeniu więźniów z ubikacji nie zamknął celi na klucz. Postanowili to wykorzystać. Ucieczkę i tym razem udaremnił „Artur”, czyniąc przy drzwiach tyle hałasu, że zaalarmowało to *bojca*, który wrócił i zamknął drzwi. Rano „Artur” poprosił, aby zaprowadzono go do ubikacji i podczas jego nieobecności weszło do celi kilku żołnierzy, którzy zabrali Kola, „Rysia”, Haydenberga i Niemca. Kola wsadzili w nocy do mojej celi, a „Rysia” do celi naprzeciw, gdzie siedział „Groń”. Podejrzewali „Artura” o zdradę, ponieważ wszystko świadczyło przeciw niemu.

Kola znał doskonale stosunki panujące w ZSRR, szczególnie w obozach. Według niego, w obozie wiodło się dobrze tylko temu, kto nie miał żadnych skrupułów i nie bał się objąć funkcji, o której nie miał pojęcia, ale która ułatwiała życie. Najlepiej było podawać się za lekarza lub innego specjalistę — i tak nikt tego nie sprawdzał. Nauczył nas kilku piosenek ze świata przestępczego, jak *Murka*, *Wor* i kilka innych. Pomimo usilnych starań, nie zdobył mojego zaufania. Po kilku dniach zabrano go i już nigdy o nim nie słyszałem.

Chociaż w owych czasach w *kontrrazwiedce* mniej katowano zatrzymanych, władzom więziennym nie obce były najwymyślniejsze tortury. Potrafili godzinami trzymać więźniów zanurzonych po pas w wodzie, przykręcać nałożone na głowę stalowe obręcze i tak męczyć, że oskarżony podpisywał wszystko, włącznie z przyznaniem do czynów, których nigdy nie popełnił, a za które był skazywany na śmierć.

O zakończeniu wojny nic nam nie powiedziano, ale domyśliliśmy się tego faktu, bo któregoś dnia usłyszeliśmy setki salw. Koniec tej najbardziej zbrodniczej wojny w dziejach ludzkości niczego nie zmienił w naszym życiu. Dalej zarośnięci, brudni, pozbawie-

ni dziennego światła, żyliśmy oderwani od świata. Jedyne wiadomości mieliśmy od nowych aresztantów, ale nasze więzienie przy Kadeckiej było tak przepełnione, że nie można było do niego już nikogo wcisnąć. Nowych zamykano w innych miejscach. Nasza cela była uprzywilejowana, ponieważ było nas tylko trzech.

Zaczelśmy kombinować, w jaki sposób przeprowadzić głodówkę. Precyzowaliśmy żądania. Cela kobieca wysunęła moją osobę na kierownika akcji, zgodziłem się i przystąpiłem do działania. Przez „Krystynę” porozumiałem się ze wszystkimi celami. Z akcji tej wyłączyliśmy Rosjan i Ukraińców, zgodnie uważając, że tylko Polacy mogą przeprowadzić głodówkę do końca. Ustaliłem, że rozpocznie się i zakończy na mój znak, to znaczy gryps ode mnie. Poważnie liczyliśmy się z ewentualną kontrakcją władz. Mimo to rodacy we wszystkich celach wyrazili zgodę na rozpoczęcie akcji i uznali mnie jako jej kierownika. Nasze żądania były następujące:

1. Zezwolenie na otrzymywanie paczek od rodzin.
2. Zezwolenie na oddawanie rodzinom brudnej bielizny i otrzymywanie czystej.
3. Stworzenie nam minimum niezbędnych warunków sanitarno-higienicznych.
4. Wprowadzanie na więzienne spacerery.

Pierwsze trzy punkty były bardzo ważne dla wszystkich więźniów, bo brud groził wybuchem epidemii. Głodówkę zaczęliśmy w drugiej połowie maja — w oznaczonym dniu nikt z Polaków nie przyjął jedzenia. Rosjanie byli zdziwieni, bo z czymś podobnym nigdy się nie spotkali. Pierwszy dzień minął spokojnie, w drugim zaczęli wzywać pojedyncze osoby, by dowiedzieć się od nich czegoś na temat tego, co się dzieje. Nie uzyskawszy informacji od Polaków, żądających przybycia władz do cel, brali obywatele sowieckich, którzy nie będąc wtajemniczeni, nie mogli nic wyjaśnić. Dla nas najgorszymi dniami głodówki były dni od trzeciego do piątego. Zakładaliśmy, że dziesięć dni możemy głodować bez większej szkody dla zdrowia. Niektórzy jednak, w zależności od okresu uwięzienia, mogli mieć z tym trudności i tracić przytomność z powodu wyczerpania. W trzecim dniu protestu do celi kobiecej wszedł major *kontrazwiedki* w towarzystwie kilku oficerów i zapytał o powód głodówki. Zgodnie ze wcześniejszymi ustaleniami wystąpiła „Krystyna” i przedstawiła wszystkie żądania, podkreślając makabryczność warunków sowieckich więzień i porównując metody sowieckiego aparatu śledczego do hitlerowskich. Major tłumaczył obecną sytuację i zapewniał, że dołoży starań, aby zmienić nasze warunki na lepsze, przede wszystkim kobietom. „Krystyna” patrzyła na niego z lekceważącym uśmiechem. Całą scenę obserwowałem przez szparę. Major zareagował pytaniem, czy „Krystyna” ma podstawy nie wierzyć sowieckim oficerom. Odpowiedź była natychmiastowa: *„Nie mam zaufania do odpowiedzialnych za Katyń. Jak skończyli polscy oficerowie, którzy wam uwierzyli?”*. Wszyscy oficerowie śledczy byli uczuleni na słowo „Katyń”. Major odwrócił się i wyszedł bez słowa. Wszedł do celi męskiej, w której usłyszał mniej więcej to samo. Do mojej celi nawet nie zajrzał.

O Katyń pytali w śledztwie prawie wszystkich Polaków, widocznie mieli takie polecenie z góry, aby wysondować naszą opinię na temat tej zbrodni. Mnie również pytali, kogo uważam za morderców polskich oficerów, lecz chyba tylko po to, aby zebrać dowody, że jestem nieprzejednanym wrogiem ich ustroju. Czasami śledczy usiłował mnie przekonać, że w Polsce wszyscy czekali na uwikłanie się Związku Radzieckiego w wojnę z Japonią, a w czasie, gdy żołnierze sowieccy wykrwawialiby się na Dalekim Wschodzie,

Polacy wyciągnęliby z tego korzyści. Udowadniałem, że Moskwa czyni wszystko, abyśmy jej nienawidzili. Dowodziłem, że mają tyle ziemi, że nie są w stanie jej zagospodarować, a mimo to okupują inne państwa, wmawiając ich obywatelom, że czynią to w imię przyjaźni. Pytałem, czy nie mogliby wymyślić czegoś bardziej sensownego. Śledczy wściekał się, tłumacząc, że to nie jego sprawa, a polityki.

Wieczorem, w dniu odwiedzin majora, wywołano mnie z celi. W korytarzu, bliżej schodów z piwnicy na parter, znajdowała się wnęka. Stało tam krzesło, na którym kaza-no mi usiąść. Facet z maszynką ściał mi brodę, wąsy i włosy. Usiłowałem dowiedzieć się, w jakim celu to robi, lecz jego jedyną odpowiedzią było to, że takie otrzymał polecenie. Z zasłyszanych fragmentów rozmowy między żołnierzem i dozorcą wynikało, że czeka mnie podróż. Tej samej operacji strzyżenia poddani zostali „Rys” i „Krystyna”. Niektórzy wróżyli nam przekazanie polskim władzom. Uważałem to jednak za niemożliwe, bo nikt z nas nie odczuwał najmniejszego zainteresowania ze strony polskich władz tym, że zajęli się nami Sowieci.

Należało jeszcze tylko koniecznie załatwić sprawę głódówki. Przekazałem wszystkim wiadomość o planowanym wywiezieniu mnie i z tego powodu decyzje o kontynuacji głódówki miały zapadać w poszczególnych celach, bo znalezienie nowego kierownika wymagało czasu.

Rano, w czwartym dniu głódówki, zabrano mnie z celi. W pokoju na parterze podali mi codzienną porcję zupy, informując, że lecę samolotem do Moskwy. Po pewnym czasie dostałem suchy prowiant i zaprowadzili mnie na miejsce zbiórki, gdzie byli już „Rys” i „Krystyna”. W chwilę później zajechał „czarny woron”^{*} i po załadowaniu, zawieźli nas na lotnisko. W czasie przejazdu przez Lwów wyrzuciliśmy grypsy w nadziei, że trafią do rąk kogoś pracującego jeszcze w konspiracji lub mającego z nią kontakty. Podaliśmy w nich wiadomość o naszym wyjeździe, prawdopodobnie do Moskwy, bo nie byliśmy do końca pewni, dokąd naprawdę jedziemy. Na lotnisku znalazło się nas w sumie jedenaście osób przywiezionych z *kontrazwiadki*, NKWD i innych służb bezpieczeństwa. Była z nami tylko jedna kobieta — „Krystyna”.

* Czarny kruk — potoczne, bardzo rozpowszechnione określenie ciężarówki więziennej.

Moskwa i „proces szesnastu”

Konwojowało nas jedenastu oficerów pod dowództwem majora Malcowa. Wsadzono nas do samolotu, rozmieszczono na przemian — jeden więzień, jeden oficer śledczy. Wystartowaliśmy. Samolot kierował się na wschód. Widzieliśmy zniszczone wioski, miasta i od czasu do czasu cmentarzyska sprzętu — czołgów i samolotów. Wylądowaliśmy na lotnisku w Kijowie. Wypędzono nas z samolotu na trawnik, na którym kazano nam usiąść i czekać. Oficerowie zaczęli ucztować i trzeba przyznać, że byli dobrze zaopatrzeni. Więźniowie tylko głośno przelykali ślinę na widok gotowanych jajek, szynki i innych rzadkich produktów. W południe załadowano nas do samolotu lecącego do Moskwy. Nasilający się wiatr rzucał maszyną, która od czasu do czasu wpadała w próżnię i gwałtownie opadała. To stałe kołysanie nie pozostawało bez wpływu na pasażerów — niemal wszystkich opanowały mdłości. W najgorszej sytuacji znaleźli się ci, którzy w Kijowie najedli się do syta. Podłoga samolotu wyglądała jak chlew, połowa oficerów leżała — przedstawiało to żałosny widok. Pozostali oficerowie ledwo się trzymali, tylko major Malcow znosił lot dobrze. Głodni więźniowie znajdowali się w lepszej sytuacji, jedynie „Krystyna” czuła się fatalnie. Wszystkim nam było zimno — były to ostatnie dni maja 1945.

Wylądowaliśmy na lotnisku w Moskwie, skąd zawieziono nas na Łubiankę. Moskwa oglądana z lotu ptaka nie robiła na mnie dobrego wrażenia, w monotonnym widoku przeważały czerwone dachy.

Łubianka, osławione więzienie, należała do reprezentacyjnych więzień i „gościła” w swoich murach najwybitniejszych ludzi tamtych czasów, którzy stali się ofiarami walki o władzę, zawiści i różnego rodzaju podejrzeń. Przez to więzienie przewinęły się tysiące ludzi. Ofiarę najpierw pakowano do jednego z boksów, które znajdowały się wokół więziennego holu — były to małe pomieszczenia o powierzchni niespełna metra kwadratowego. W takim właśnie boksie zamknięto mnie i Haydenberga, który przed przyjściem władzy sowieckiej do Lwowa pracował w AK, w dwójce. Po zajęciu miasta przez Armię Czerwoną wyjechał do Lublina i wstąpił do Armii Ludowej. W czasie śledztwa przeprowadzanego po aresztowaniu komendy AK padło jego nazwisko, jako oficera pracującego podczas okupacji niemieckiej w AK we Lwowie. Sowietci aresztowali go w Lublinie. Na pewno znaleźli przeciw niemu odpowiednie paragrafy, obwiniając go o wyjazd ze Lwowa do Lublina w celu szkoderstwa interesom sowieckim. Mnie z kolei obwiniali o to, że nie wyjechałem. Zaprzysiężaliśmy się. Miał ze sobą stare zyletki, dał mi jedną. Podeszwy moich butów były dziurawe od chodzenia po piwnicznej celi, więc zyletkę schowałem między ich dwie warstwy.

W boksie trzymali nas dość długo, bo konwojujący musieli załatwić formalności związane ze zdaniem „towaru”, a ten był nie byle jaki, bo aż z zagranicy, z Polski. W końcu

zaprowadzili nas do łaźni — bo tu nie prowincja, a stolica — więźniowie nie mogli narzekać na brak higieny. Po łaźni zabrano mnie do celi, w której stały stół i ławka. Znajdowały się tam różne narzędzia: obcęgi, kleszcze, nożyce, młotki, jakieś szpikulce i inne. Niechybnie znajdowałem się w celi tortur, jakież inny wniosek mogłem wysnuć? Serce podeszło mi do gardła. Kazano mi rozebrać się do naga. Pomyślałem, że koniec ze mną, szkoda tylko, że tak daleko od swoich. Gdy tak stałem w stroju Adama, położyli wszystkie moje rzeczy na stole i poddali mnie gruntownej obserwacji. Jeden drab z szyderym uśmiechem i obcęgami w ręku podszedł do mnie i kazał otworzyć *rot* (usta). Pomyślałem, że zacznę od użębienia. Na wszelki wypadek uchylilem usta lekko, ale drab dał mi szturchańca obcęgami, bym otworzył je bardziej i kazał wysunąć język. Końcami obcęgów przesunął mój język to w jedną, to w drugą stronę. Zębów nie wybił, ani nie wyrwał, więc nie było tak źle. Następnie kazał mi się schylić i zaczął dobierać się do mojego siedzenia. Przez myśl przeszło mi błyskawicznie pytanie: chyba nie pederasta? Jak tylko się dało, rozchylił pośladki, które nie przedstawiały się zapewne zbyt apetycznie, bo od trzech miesięcy byłem na sowieckim, więziennym wikcie. On jeden tylko wiedział, czego tam szukał i co zobaczył... Po dokonaniu tej operacji, kazał mi się wyprostować. Podszedł do stołu, na którym drugi typ rozkładał moje ubranie i bieliznę. Bielizna była bardzo brudna, bo już od trzech miesięcy jej nie zmieniałem, a tylko czasami zdejmowałem z siebie i wietrzyłem, by nie zaległo się jakieś robactwo. Wspomniany drab zaczął rozkładać mój płaszcz i ubranie na czynniki pierwsze, popruł wszystko i po dokonaniu tego aktu wandalizmu, zabrał się do moich trzewików. Dłutem i młotkiem oderwał obcas, a obcęgami podeszwy. No i stało się. Znalazł tę nieszczęsną żyłkę. W wyniku rewizji spisał protokół, w którym uwzględniono, że taki to a taki miał przy sobie żyłkę, którą to przywiózł ze Lwowa. Wyobrażam sobie, co po tym fakcie się działo. Ileż to instrukcji musiało pójść do wszystkich więzień...

Nawet mi się nie śniło o takich rewizjach. Aż trudno sobie wyobrazić, co musiały przechodzić kobiety. Należy dodać, że działo się to w więzieniu, w którym nie siedzieli kryminaliści.

Po dokonaniu rewizji i spisaniu protokołu, kazano mi go podpisać i zabrać rzeczy, a raczej to, co z nich zostało. Dano mi igłę i nici i zamknięto w pojedynczej celi. We Lwowie nauczyłem się międzynarodowego więziennego alfabetu, w którym litery były oznaczone tylko kropkami i nadawało się je uderzeniami w ścianę lub rury. Pierwszą czynnością w nowym miejscu była próba porozumienia się z sąsiednimi celami. Po pewnym czasie otrzymałem odpowiedź od „Rysia”. Ten sposób porozumiewania się stwarzał władzom więziennym niemało kłopotu, naruszając od lat wypracowany rygor więzienny.

Na Łubiance panowały dziwne zwyczaje. Nie przesadzę, gdy powiem, że było to luksusowe więzienie w porównaniu z innymi. Wszystkie korytarze były wyłożone dywanami, a na piętra jeździło się tylko windami. Rano każdy mógł zapisać się do lekarza i dentystry, z więziennej biblioteki więźniowie mogli otrzymywać książki w różnych językach, ale wszystkie odpowiednio ocenzone. Podczas snu więzień musiał trzymać ręce na kocu, aby dozorca mógł je widzieć przez judasza, a światła w celach przez całą noc musiały być włączone. We Lwowie cierpiałem na zupełny brak światła, a na Łubiance na jego nadmiar. Obsługa dostarczająca codzienne posiłki była zawsze ubrana w czyste, białe kitle i czepki. Było to chyba jedyne więzienie, gdzie posiłki podawano na tacy nakry-

tej białą serwetką, na której leżały sztuce. Jedzenie było również dużo lepsze i smaczniejsze. Pewnego dnia przyniesiono mi na śniadanie kawałek chleba i kubek herbaty. Zabrałem to, lecz przynoszący nie odchodził i uporczywie wskazywał na tacę. Nie wiedziałem, o co mu chodzi, aż w końcu się zorientowałem — na tacy leżała mała kostka cukru.

Na Łubiance było wielu więźniów, lecz nigdy nie dochodziło do spotkania dwóch aresztowanych, choć wszystkich zabierano na przesłuchania. Było to możliwe dzięki wypracowanemu systemowi sygnałów wydawanych przez dozorców za pomocą kluczy oraz dzięki boksom, które znajdowały się na każdym piętrze. Dozorcy wiedzieli, który z idących więźniów powinien się schować do boksu, bo ktoś inny musi przejść. W całym więzieniu panowała idealna cisza. Po puszystych dywanikach wszyscy poruszali się bezszelestnie. Ta cisza była czymś niesamowitym. Każdy więzień wywołany na śledztwo, po wyjściu z celi na korytarz musiał ustawić się twarzą do ściany, dozorca podchodził cicho od tyłu i szeptem pytał: „*Kak wasza familia?*” [Jak się nazywacie?]. Odpowiadać trzeba było również szeptem.

Początkowo zmieniano mi celę dwa, trzy razy dziennie, lecz zawsze umieszczano w pojedyncze. Na przesłuchanie zawieźli mnie na dziewiąte, a może dziesiąte piętro. Powierzono mnie jakiemuś pułkownikowi. Miałem jedno przesłuchanie, „Ryś” i „Krystyna” również po jednym. Sowieckie władze, przygotowując dla Zachodu pokazowy proces podstępnie aresztowanych członków Komendy Głównej AK i Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, wybrały sobie z różnych więzień Lwowa, Wilna i innych miast osoby, które ich zdaniem najskuteczniej mogły obciążyć aresztowanych, z komendantem AK gen. Leopoldem Okulickim na czele. Przyznanie się naszej trójki do stawianych nam zarzutów byłoby cennym materiałem w „procesie szesnastu”. Chodziło głównie o przyznanie się do tego, że władze AK wydały rozkaz likwidowania osób z aparatu bezpieczeństwa ZSRR oraz że akcję na sklep wykonaliśmy z polecenia AK. Nie szczydziłi nam obietnic łagodnych wyroków, lecz nikt z nas do niczego się nie przyznawał. Nie wierzono moim zeznaniom, nie dawano wiary temu, co mówiłem i temu, że nie władam językiem rosyjskim. W końcu, nie mogąc się ze mną porozumieć, musieli sprowadzić tłumacza. Był nim inny śledczy, znający język polski — bardziej jednak zależało mu na wykazaniu mojej winy niż na tłumaczeniu pytań i odpowiedzi. Na koniec tłumacz-enkawudzista zdenerwował się i powiedział: „*Nie warto było sprowadzać cię do Moskwy. Dawno należało cię zastrzelić jako niepoprawnego i nieprzejednanego wroga komunizmu*”. Po tej rozmowie wyprowadzono mnie do celi i więcej nie wzywano.

W dalszym ciągu przetrzucano mnie z celi do celi, aż w końcu umieszczono w dużej sali z jednym łóżkiem pośrodku. Wieczorem położyłem się na nim, przykrywając się kocem i płaszczem, który udało mi się zszyć. Panujący w celi chłód zmuszał mnie do chowania rąk pod koc, lecz za każdym razem, gdy to zrobiłem, wchodził dozorca i ściągał go ze mnie. Usiłowałem podporządkować się tej regule, lecz we śnie nieświadomie chowałem ręce przed zimmem. W końcu zdenerwowało to strażnika, który po kolejnym ściągnięciu ze mnie nakrycia, oświadczył, że jeżeli jeszcze raz włożę ręce pod koc, zabierze mi go razem z płaszczem. Tej nocy już nie zasnąłem.

Drugiego dnia umieszczono mnie w celi ogólnej, w której siedzieli przedstawiciele tego „wspaniałego rajy” za, na przykład, zbyt głośne wypowiedanie myśli w nieodpowie-

dnim miejscu, za rozmowę z nieodpowiednią osobą o jakimś projekcie, czy też za odegranie na scenie postaci w sposób umożliwiający dwuznaczną interpretację wypowiedzianych słów. Sowietci siedzący w więzieniu zazdrościli mi, gdyż uważali, że po ułożeniu się spraw między Polską i ZSRR wszyscy Polacy wrócą do kraju. Rosjanie jednak nie orientowali się zbyt dobrze w praktykach swoich władz.

Nie sądzone mi było zostać na Łubiance, którą przeznaczono tylko dla osób zeznających w sposób zadowolający władze. Pewnej czerwcowej nocy [1945] wywołano mnie i zaprowadzono na dziedziniec więzienia, na którym oczekiwał już „Ryś” pod eskortą uzbrojonych enkawudzistów. Noc i zachowanie się żołnierzy nie wróżyło nam nic dobrego. Byliśmy przekonani, że wywożą nas na stracenie. O wywołanie takiego wrażenia postarali się zresztą nasi strażnicy i konwojenci. Na pytanie strażnika, czy zabraliśmy wszystko, uzbrojony *bojec* natychmiast odpowiedział: „*Im uże niczewo nie nada*” (Oni już niczego nie potrzebują), a po chwili dodał: „*Kaniec s etimi Polaczkami*” (Koniec z tymi Polakami). Wówczas nie znaliśmy jeszcze sowieckich praktyk stosowanych wobec osób skazanych na śmierć. Kazali nam wejść do „czarnego *worona*” i ruszyliśmy. Bezskutecznie staraliśmy się coś rozeznac podczas jazdy. Po dość długim czasie samochód się zatrzymał, usłyszeliśmy rozmowy, odgłos otwierania bramy, po czym ponownie ruszyliśmy i w końcu zatrzymaliśmy się na dobre. Wprowadzono nas do obszernego holu z boksami, w których pojedynczo nas pozamykano. Było to kolejne więzienie — Butyrki. Liczbę znajdujących się w nim więźniów obliczano wówczas na dwadzieścia tysięcy. Jedzenie przyniesiono nam do boksów — była to zupa z kaszą i ziemniakami — jedzenie gorsze niż na Łubiance, lecz obfite. Dano mi nawet dokładkę. Najadłem się, jak nigdy od przeszło trzech miesięcy.

W moskiewskich więzieniach sprawdzano, czy nie chorujemy na choroby weneryczne. Rzadko naruszano zasadę, aby mężczyźni byli sprawdzani przez kobiety, a kobiety przez mężczyzn. Nie golono, lecz strzyżono wszędzie, gdzie rosły włosy, a czynności te wykonywała przeważnie płeć odmienna. Odrastanie włosów powodowało swędzenie, do którego nigdy nie mogłem się przyzwyczaić.

Pierwsze dwa tygodnie siedziałem w pojedynce i kiedy umieszczono mnie w celi ogólnej, była to dla mnie bardzo radosna chwila. W celi ogólnej siedziałem blisko sześć tygodni. Na Łubiance nie wolno było kłaść się na łóżko od pobudki do capstrzyku, a w Butyrkach można było na nim leżeć całą dobę. W celi znajdowało się dwadzieścia osób. Siedział w niej profesor politechniki w Moskwie, o ile dobrze pamiętam, Lebediew. Był tam również niemiecki pułkownik, podobno jeden z ostatnich dowódców obrony Wrocławia. Każdy z nas, po kolei, miał dyżur polegający na sprzątaniu celi, ustawieniu wszystkich do rannego i wieczornego apelu i meldowania stanu kontrolującemu. Meldowanie to odbywało się po wojskowemu, na baczność, nazywano je *prowierką*. Niemiec, jako oficer Wehrmachtu, wykonywał te obowiązki najlepiej. Miotłą operował jak karabinem, a jak przy tym stukał butami! Co dryl, to dryl. Był oburzony, bo został pobity podczas przesłuchania i ściągnięto mu siłą obrączkę, która mocno siedziała na palcu. Po prostu trafiła kosa na kamień, bo przecież Niemcy robili to samo...

We Lwowie byłem obwiniony z paragrafu 54-1a, jednak gdy wysłano mnie do Moskwy w celu wykorzystania jako świadka na procesie pokazowym dla zagranicy, nie mogłem być świadkiem legitymującym się polską narodowością i polskim obywatelstwem,

a oskarżonym o zdradę „sowieckiego raję”. Zmienił mi więc „zdradę ojczyzny” na „przygotowywanie zbrojnego powstania”, a o tym mówi paragraf 54-2. Naprawdę, sowieckim władzom nie brak było swoistego poczucia humoru. Pozostali więźniowie w celi rekrutowali się spośród młodzieży. Dostali się do niewoli podczas sowieckiego najeżdżu na Finlandię i bardzo chwalili sobie fińską niewolę, ponieważ w ich własnym kraju nigdy nie było im tak dobrze. Wszyscy byli robotnikami w fabrykach i kołchozach. W Finlandii pracowali u gospodarzy rolnych, niektórzy ożenili się z Finkami. Nie chcieli wracać do kraju, lecz zabrano ich siłą. Czuli się oszukani i teraz w rozmowach wypowiadali swoje pretensje. Z całym poświęceniem szli walczyć z Finlandią, wierząc bez zastrzeżeń we wszystko, co im mówiono. Byli pewni, że wszędzie zobaczą ludzi wynędzniałych i obdartych oraz wyzyskiwaczy-burżujów. Wierzyli również, że za granicami ZSRR spotkają zaciętych, nieprzejednanych wrogów, którzy nie oszczędzą żadnego z nich, gdy dostaną się do niewoli. Tymczasem spotkali się z ludźmi lepiej nastawionymi do nich niż ich własna robotnicza władza. Dziwili się, że nigdzie nie widzieli owych wynędzniałych biedaków, o których tyle im mówiono.

Współczułem tym oszukanym ludziom, szukającym w rozmowach między sobą i z innymi wyjaśnienia, dlaczego tak się dzieje. Ale czy istniała odpowiedź, która by ich zadowolila? Interesowali mnie i często z nimi rozmawiałem, lecz najczęściej przysłuchiwałem się ich konwersacjom prowadzonym z profesorem. Profesor, z którym się zaprzyjaźniłem, zorganizował dla nich pogadanki z dziedziny metalurgii, a także dotyczące budowy moskiewskiego krematorium, którego był konstruktorem. Był dobrym pedagogiem, opowiadał obrazowo, więc chętnie i z zaciekawieniem go słuchali. Drugim tematem, najczęściej pojawiającym się w naszych rozmowach, było jedzenie, a raczej jego brak. Młodzi ludzie wspominali wszystko, co jedli u Finów, marzyli o tym, żeby teraz najeść się do syta. Z ich opowiadań o jedzeniu w fińskiej niewoli wynikało, że było ono raczej przeciętne. Nasuwało się pytanie, co jedli w swoim kraju.

Profesor, mieszkaniec Moskwy, otrzymywał paczki od rodziny. Zawartością jednej z nich podzielił się ze wszystkimi, włącznie ze mną. Resztę tego, co zostało z paczki schował pod poduszkę. W nocy wszystko mu ukradziono. Znał swoich rodaków i z nikim na ten temat nie rozmawiał, zwierzył się tylko mnie. Nie sądził, aby dopuścić się tego ktoś z jego młodych słuchaczy, dla których był jak ojciec. Poradziłem mu, aby uzbroidł się w cierpliwość, a wkrótce dowie się, kto go okradł. W paczce były produkty z pewną ilością tłuszczów i złodzieje nie unikną rozwolnienia, bo dawno odzwyczaili się od takiego jedzenia. Każdy, kto będzie często siadał na kibel, będzie należał do tych, którzy ukradli prowiant. W ciągu dwóch godzin poznaliśmy złodziei. Byli nimi najpilniejsi słuchacze profesora. Miał do nich żal, że nie poprosili go o więcej jedzenia, ale nie potępił ich. Dlaczego tacy ludzie jak profesor nie decydowali o losach tego kraju? Dlaczego tacy jak on siedzieli za kratami?

Długi pobyt w piwnicy we Lwowie wyczerpał mój organizm. Więzienny lekarz, po zbadaniu mnie, zapisał mi dla wzmocnienia dodatek do regulaminowego jedzenia — 200 gramów chleba i jedną kostkę cukru. Tego dodatku bardzo zazdrościli mi więźniowie sowieccy.

W więzieniu czas mijał szybko. Mylą się ci, którzy uważają, że czas płynie tam wolno. Czas liczyło się nie od rana do nocy, a od jednej zupy do drugiej. Pobyt urozmaica-

ły przesłuchania. Do mojej celi w Butyrkach wsadzili młodego Niemca z Berlina, z zawodu operatora filmowego. Obwiniano go na mocy paragrafu 54-1a (zdrada ojczyzny). Zaciekała mnie jego sprawa z punktu widzenia czysto prawnego. Dlaczego człowiek urodzony w Berlinie, nie znający ani słowa po rosyjsku, obywatel Trzeciej Rzeszy, był obwiniony z paragrafu, który można było stosować tylko wobec obywateli ZSRR? Prosiłem, by mi to wyjaśnił. Okazało się, że uważają go za obywatela sowieckiego, bo jego matka była rosyjską emigrantką. Nic dziwnego, że Moskwa twierdziła, że w ZSRR nie było w więzieniach obywateli suwerennych państw. Powoli wszystko zaczynałem rozumieć.

W Butyrkach siedziałem aż do zakończenia „procesu szesnastu”. Świadkowie, którzy zgodzili się zeznawać przeciw nim, byli na specjalnych prawach, otrzymywali lepsze jedzenie. Wyprowadzano ich na spacery na taras dachu Łubianki, by oglądali panoramę Moskwy i dzięki temu urozmaicali sobie więzienne życie. Dawano im papierosy i robiono wszystko, by więzień, który wystąpi jako świadek przed korespondentami z Zachodu, wyglądał na osobę wolną, dobrze odżywioną, o zdrowej cerze. Na proces wydano im dopasowane ubrania, białe koszule. Przed procesem, jak przed premierą sztuki teatralnej, wszyscy świadkowie przeszli próbę generalną. Odpowiadali na wielokrotnie przerobione pytania w sposób uzgodniony podczas śledztwa. Moskwa osiągnęła swój cel. Udało się zasiać wątpliwości dotyczące makabrycznych warunków panujących w sowieckich więzieniach. Cel tej komedii był jasny — udowodnić przed zagranicą, że polskie podziemie prowadziło i prowadzi wrogą działalność przeciw ZSRR.

Po zakończeniu procesu wszystkim świadkom zabrano „odszyte” ubrania i, jako już niepotrzebnych, przewieziono do Butyrek. Do mojej celi trafił komendant Feliks Janson. W bezpośredniej rozmowie dowiedziałem się od niego, dlaczego ujawnił znane tylko jemu miejsca przechowywania różnych materiałów. Uważał, że sowieckie władze wiedzą o AK wszystko od polskich komunistów, którzy przez okres trwania okupacji podjęli się zadania szpiegowania podziemnych organizacji na rzecz Moskwy. Od nich mieli wiadomości, którymi zaskakiwali aresztowanych. Owszem, Sowieci mieli informacje z różnych źródeł, w tym i od polskich komunistów, ale najczęściej to załamani więźniowie, nieodporni na metody NKWD, ulegali sugestiom śledczych. Niektórym z nich przypisywano umiejętność wprowadzania więźniów w stan półświadomości, w którym ci ostatni ujawniali wszystko, jak w transie. Więźni przez Sowietów Polacy nie mieli już takiej odporności, jak w pierwszych pięciu latach okupacji, gdy wszystkich podtrzymywała na duchu nadzieja, że niewola ustanie wraz z zakończeniem wojny. Nowa okupacja odbierała wiarę we własne siły. Dużo czynników złożyło się na osłabienie jedności i odporności, które cechowały naród polski przez cały okres wojny. Wielu udzieliło się zwątpienie co do przyszłego losu kraju. Ostatecznie, każdy z nas był przez kogoś wydany i Sowieci mieli od współpracujących z nimi Polaków wiadomości, jakich nigdy nie uzyskali Niemcy. Sytuację pogarszał fakt, że sowieccy śledczy nie potrzebowali udowadniać stawianych zarzutów i nie musieli staczać walki z obrońcami, bo takowych nie było. Nie potrzebowali też obawiać się reakcji ze strony rządu polskiego, bo byli w nim ich ludzie.

Czwartego, czy też piątego dnia wszystkich Polaków wyprowadzono z cel do więziennego holu, po czym umieszczono w boksach. Oświadczone nam, że wracamy do naszych

więźień, czyli przeważnie do Wilna, Tarnopola i Lwowa. Powracający do Lwowa mieli zatrzymać się w Kijowie, bo Kreml zamierzał zorganizować tam proces przeciw AK i Ukraińcom, którzy w obliczu wroga porozumieli się w celu stworzenia wspólnego frontu obrony. Każdy z nas miał podać swoje personalia. Gdy pytano mnie podczas śledztwa we Lwowie o moje nazwisko, podałem kilka, a między innymi prawdziwe, w nadziei, że będą mnie poszukiwali znajomi i rodzina. Zapytany przez śledczego, które z nich jest prawdziwe, powiedziałem: „*A które chcielibyście, by było prawdziwe?*”. Śledczy odpowiedział: „*Ty nam prawdy nie powiesz, więc będziesz występował pod nazwiskiem, na które są twoje ostatnie dokumenty*”.

W Butyrkach również wymieniłem wszystkie swoje nazwiska. Przy jednym z nich figurowała inna data urodzenia niż przy pozostałych. Żaden ze śledczych nie mógł tego zrozumieć: jak to jest możliwe, że jeden człowiek urodził się dwa razy... Wszystkich ze Lwowa zawieziono na dworzec. Tam czekał już na nas specjalny wagon przystosowany do przewożenia więźniów, okratowany i opancerzony.

Powrót do Lwowa

W przedziale wagonu byłem z „Rysiem” i „Globusem”. Tego ostatniego zapytałem, dlaczego ujawnił śledczemu treść prowadzonej ze mną rozmowy. Twierdził, że śledczy już o niej wiedział, a przecież śledczy nie mógł wiedzieć o czym rozmawialiśmy w cztery oczy, gdyby jeden z nas o tym nie powiedział. Dziś już go nie potępiam, chociaż wówczas z „Rysiem” ocenialiśmy sprawę inaczej.

Gdy tylko wyłaniała się możliwość dokonania jakiegoś łajdactwa, konwojenci zawsze starali się to wykorzystać. Na przykład otrzymali dla nas suchy prowiant na czas podróży, ale wydawali nam tylko część już i tak głodowej racji. Byliśmy stale głodni, więc protestowaliśmy przeciw okradaniu nas. Dojechaliśmy w końcu na dworzec w Kijowie, skąd przewieziono nas do więzienia i umieszczono w piwnicznej celi. Następnego dnia przyszedł do nas jakiś więzienny dygnitarz i spytał, czy byliśmy dobrze traktowani w drodze z Moskwy do Kijowa. Uznaliśmy to za okazję do ujawnienia faktu okradania nas przez konwój. Część żywności nam zwrócono, lecz oczywiście nie wszystko.

W piwnicznej celi siedzieliśmy tydzień i nikt się nami nie interesował. Sądziłyśmy, że zapomnieli o nas lub że coś się zmieniło i nie wiedzą, jak z nami dalej postąpić. Ale myliliśmy się. Wkrótce zabrali nas do Lwowa. W Kijowie zostawili tylko komendantów Okręgu Lwowskiego i Stanisławowskiego z inspektorem „Jarema”, jak się później okazało, na przygotowywany proces dotyczący współpracy z Ukraińcami.

Do Lwowa dojechaliśmy bez większych przeszkód, z dworca zawieźli nas do więzienia przy ulicy Łackiego. Był upalny, sierpniowy dzień, bez ani jednej chmurki. Ulokowali nas w pozycji siedzącej pośrodku więziennego dziedzińca. Nie miałem żadnego nakrycia głowy. Dochodziło południe, słońce prażyło niemiłosiernie. Po wielomiesięcznym przebywaniu w celach i w piwnicach słońce po prostu wykańczało. W czasie kilkugodzinnego siedzenia na placu otoczonym murem (uniemożliwiającym cyrkulację powietrza) ze wszystkich łał się pot. Znajdowałem się na granicy wytrzymałości, ciemniało mi w oczach i czułem, że lada moment stracę przytomność. Po czterech godzinach znęcania się nad nami, zaprowadzono nas do dużej celi, gdzie spotkaliśmy grupę polskich naukowców przywiezionych z Kaukazu. Przedstawiali sobą opłakany widok. Byli to starsi ludzie, mniej odporni na trudy obozu i złe warunki w więzieniu. W skład tej grupy wchodziło piętnastu naukowców, profesorów Politechniki Lwowskiej i Uniwersytetu Lwowskiego. Znajdował się wśród nich profesor Juliusz Makarewicz, twórca prawa karnego w Polsce. Był bardzo osłabiony i miał opuchnięte nogi. Leżeliśmy na deskach więziennej podłogi, bez sienników i bez jakiegokolwiek nakrycia. Pomagaliśmy mu podnosić się z podłogi i prowadziliśmy do ubikacji, bo utrzymywanie się na nogach o własnych siłach było dla niego niemożliwe.

Wieczorem trzeciego dnia zawieźli nas do więzienia przy ulicy Kadeckiej. Nastąpiły w nim duże zmiany. Tam gdzie była „koniuszna” stał wybudowany z cegły parterowy ba-

rak — nowe więzienie, z dziedzińcem na spacer, odgródzone od świata wysokim murem. Mimo woli, walcząc o polepszenie doli więźniów, przyczyniłem się do budowy nowego więzienia. Chyba jednak warto było rozpocząć głodówkę, ponieważ więźniom dostarczano paczki od rodzin; zezwolono na to od czasu naszego wyjazdu do Moskwy. Paczki dochodziły w inny sposób niż to się dzieje na świecie. Funkcjonariusze *kontra-zwiedki*, w przebraniu, przychodzili do rodzin więźniów z brudną bielizną ich bliskich i odbierali czystą. Na kartce, którą zanosili do rodziny, więzień mógł jedynie napisać, że czuje się dobrze i niczego mu nie brakuje, oprócz czystej odzieży. Pośredniczący oficer nigdy nie udzielał żadnych informacji o samopoczuciu i miejscu pobytu zatrzymanego. Rodziny zawsze wkładały do paczek z bielizną tyle jedzenia, ile tylko mogły. Odwiedziny w więzieniu były w tym okresie w ZSRR zakazane, a miejsce pobytu aresztowanych stanowiło tajemnicę państwową. W nowym więzieniu w dalszym ciągu nie strzygli i nie golili, również mycie się było niemożliwe. W celach wzdłuż jednej ściany znajdowały się prycze z desek, lekko pochylone w kierunku drzwi, co ułatwiało strażnikom obserwację przez judasza. Z powodu przepełnienia część więźniów musiała wczołgiwać się pod prycze i tam spać. Ja również do nich należałem. Przybyłem ostatni, więc nie mogłem marzyć o miejscu na górze.

Pierwszym moim posunięciem było zapoznanie się z osobami znajdującymi się w celi. Na podłodze pod pryzkami znalazł również miejsce mój dobry znajomy z Moskwy, właściciel żyletki, Haydenberg. Dowiedziałem się, kto, w której celi oraz od kiedy siedzi. Więzienny alfabet poszedł w ruch na całego. Ustaliłem, że przy wejściu, z prawej strony korytarza siedzą kobiety, a wśród nich Stasia Czartoryska. W krótkim czasie mogliśmy przekazać sobie cenne informacje. Nawiązałem kontakt ze wszystkimi celami. Otrzymałem najświeższe wiadomości od więźniów dopiero co aresztowanych. Konspiracja jeszcze działała. Sowieccy więźniowie nie orientowali się w naszym alfabecie, więc nie wiedzieli, co nadajemy. Dozorcy wściekali się na nasze stukanie i od czasu do czasu wsadzali kogoś za to do karceru. Nadawaliśmy, gdy oddalali się od celi, nadawaliśmy w dzień i w nocy. Najlepsze miejsce do tego celu znajdowało się pod pryzkami, było się tam niewidocznym. Władze więzienne i śledcze zrezygnowały w końcu z przeszkadzania nam — rozumiały widocznie, że zawsze znajdziemy sposób porozumiewania się między celami. Dowiedziałem się, w których celach siedzą „Ryś” i „Krystyna”, znałem wszystkie nazwiska więzionych Polaków, wiedziałem również, o co są oskarżani.

Stasia stała się trochę nerwowa, choć na wolności taka nie była. Śledczy rzeczywiście wyeliminował ją z mojej sprawy, nie dostała wyroku, ale została internowana i wywieźli ją do Riazania. Przebywała tam do jesieni 1947. Do Riazania Sowieci zwieźli Polaków z Kresów Wschodnich, ponad 1500 osób, w tym blisko 500 oficerów. Trzymali ich w barakach po szkole podchorążych wojska Berlinga, a jedzenie dawali im wyjątkowo podłe. Część wyprowadzali do pracy poza obóz. Siedział tam również generał Filipkowski.

W drugim dniu pobytu na Kadeckiej zostałem wezwany przez śledczego i przywitany serią przekleństw. Chciał się koniecznie dowiedzieć, od kogo otrzymałem żyletkę i jak udało mi się przemycić ją do Moskwy. Miejscowe władze miały z tego powodu masę kłopotów. Śledczy Kozłow wściekał się, z czego byłem bardzo zadowolony. Cóż może narobić mała żyletka w ZSRR! Śledczy, gdy się opanował, spytał mnie, co myślę o moskiewskim procesie i czy przypadkiem nie uważam, że jako podwładny, uzyskam

mniejszy wyrok niż generał Okulicki, zasądzony na dziesięć lat. Odpowiedziałem, że to byłoby chyba logiczne, jeżeli w ZSRR istnieje w ogóle jakaś sprawiedliwość. Śledczy zaczął się śmiać i rzekł: „Durak [Głupcze], w Moskwie był proces pokazowy dla zagranicy — ty otrzymasz swoje dwadzieścia lat”. Po krótkiej przerwie dodał: „Dziesięć lat Okulickiego jest cięższe”. Już wówczas zrozumiałem, że w Moskwie uczynią wszystko, aby Okulicki swojego wyroku nie przeżył.

Więzienne życie, urozmaicane dokuczaniem ze strony władz więziennych, płynęło normalnym rytmem. Obywateli sowieckich nie trzymali długo, załatwiali ich taśmowo. Poprzywozili ich z różnych stron — byli to przeważnie jeńcy wojenni lub robotnicy przymusowi z Niemiec. Zorganizowaliśmy przesyłanie grypsów podczas więziennych spacerów; na tym polu niezastąpiona okazała się „Krystyna”. Za pomocą więziennego alfabetu przekazywaliśmy, gdzie mają szukać grypsów ci, dla których były przeznaczone.

W więzieniu przy Kadeckiej byliśmy krótko. Któregoś dnia wezwał mnie śledczy i zadał masę pytań — chodziło o nazwiska osób z konspiracji i właścicieli punktów kontaktowych z okresu okupacji niemieckiej. Domagał się rysopisu osób, z którymi musiałem mieć kontakty, będąc na tak wysokim stanowisku. O prawdziwe nazwiska przestał mnie w końcu pytać, najwidoczniej przyjął wersję, że ich nie znam, gdyż na tym terenie byłem obcy. Udowadniałem śledczemu, że nie znam również pseudonimów osób, z którymi się spotykałem, a jedynie ich funkcje w organizacji. On jednak znał nie tylko pseudonimy członków kierownictwa pionu wojskowego, lecz również politycznego i propagandy. Zapewniałem go, że tylko sporadycznie spotykałem się z niektórymi wymienionymi, ponieważ informacje przekazywaliśmy sobie przeważnie korespondencyjnie. Chętnie podawałem rysopisy niektórych osób, szczególnie już nieżyjących lub tych, które dawno gdzieś wyjechały. Mimo że rysopisy podawałem bez oporów, śledczy wściekał się na mnie i przy rozstaniu zapewnił, że będę bardzo żałował swojej złej postawy w czasie śledztwa, po czym kazał mnie wyprowadzić.

Po dwóch dniach od tego przesłuchania wezwano całą naszą trójkę i przewieziono do więzienia na Zamarstynowie. Ten pośpiech był niezrozumiały, bo śledztwo żadnego z nas nie zostało zakończone. Żadnego oskarżenia, oprócz akcji na sklep, nie starano się nam udowodnić, zapisywano jedynie stawiane zarzuty i to nie wszystkie zresztą, bo część z nich śledczy poruszył tylko w rozmowie ze mną.

Jedno z przesłuchań prowadził prokurator. Dano mi wówczas tłumacza. Starał się mnie nakłonić do przyznania się, że zabraliśmy 270 tysięcy rubli, a nie 170 tysięcy. Tłumaczyłem mu, że gdyby tak było, nie przeczyłbym temu, bo w całej tej sprawie chyba nie jest najważniejsza kwota. Proponowałem, by różnicy szukał u swoich, a może nawet u oficerów *kontrrazwiedki*. Prokurator dał mi do zrozumienia, że moja sugestia trafiła mu do przekonania. Gdy wróciłem z Moskwy do Lwowa, z powrotem zamieniono mi paragraf 54-2 na 54-1a i z „powstańca” ponownie stałem się „zdrajcą ojczyzny”... Nie podpisałem aktu oskarżenia, bo nie mając tłumacza niewiele z niego rozumiałem, a z tego, co wydawało mi się, że rozumiem — na podstawie znajomości języka nabytej przez sześć miesięcy pobytu w więzieniach — wynikało, że oskarżają mnie o tyle zbrodni, że mogą mnie natychmiast skazać na powieszenie czy rozstrzelanie. Nawet połowy z tych zarzutów nie stawiano mi podczas śledztwa. Władze nie były przyzwyczajone do tego, że oskarżeni nie podpisują aktu oskarżenia, więc uznały to za rzecz dodatkowo nas obciąż-

zającą. „Rysia” uznano za wyjątkowo niebezpiecznego, bo nie podpisywał nawet protokołów z przesłuchań. Mimo usilnych starań nie wymusili od nas żadnego podpisu. Nie przejmując się tym, skierowano naszą sprawę do Trybunału Wojskowego.

Któregoś dnia wprowadzono mnie do dużej celi. Pod ścianami siedzieli na podłodze brudni i zarośnięci więźniowie. Ciekawie przyglądali się nowemu — sześćdziesiąt par oczu było skierowanych na mnie. Wejście do tego miejsca nie należało do przyjemnych. Jakaś grupka naprzeciw drzwi zrobiła mi miejsce, w tym samym czasie kilku innych rzuciło się na mnie z natrętnymi pytaniami, czy mam coś do jedzenia i palenia. Musiałem ich rozczarować, lecz źle zrobiłem, informując, że trochę tytoniu ma kolega, który wejdzie zaraz po mnie. Uczyniłem to w dobrej wierze, bo wtedy nie wiedziałem jeszcze, z jakiego elementu składa się sowiecka społeczność więzienna. Po wejściu „Rysia” dwóch Rosjan zaczęło myszkować w jego tobołku. Miał jedzenie od rodziny. Zdenerwowało to „Rysia”, więc zaczął odpychać natrętów. Zanosił się na awanturę, ale polscy więźniowie zażegnali niebezpieczeństwo.

Szybko zorientowaliśmy się w sytuacji panującej w celi i zwyczajach tego więzienia. Rosjan, Polaków i Ukraińców było mniej więcej po równo, każda z tych narodowości trzymała się oddzielnie. Rosjanie podzielili się na dwie grupy. Jedna z nich składała się z dwunastu recydywistów z karnych batalionów, którzy mieli daleko zaawansowane choroby, w tym syfisy w ostatnim stadium, z otwartymi ranami. W celi panowała duchota i przeważnie wszyscy byliśmy rozebrani do pasa. Syfilycy wzbudzali w nas wstręt i odrazę, co nie przeszkadzało im wykorzystywać swoich ran do szantażowania, szczególnie tych, którzy dostawali paczki. Aby uniknąć bezpośredniego kontaktu z chorymi, właściciele paczek musieli się z nimi dzielić. My, Polacy, nie mogliśmy odpowiedzieć sobie na pytanie, jak coś podobnego może się dziać w Europie, w połowie dwudziestego wieku. Grupa ukraińskich więźniów skłaniała się ku nam, uważając Rosjan za swoich wrogów. Siedzący z nami lekarz uświadamiał nas o niebezpieczeństwie grożącym wszystkim ze strony chorych na syfisy. Podobno zarażeniu sprzyjała panująca w celi duchota i skupienie wielu ludzi na małej przestrzeni. Nasze protesty kierowane do władz pozostawały bez echa — nikogo to nie interesowało.

Zupę przynoszono nam w dużym kotle. Porcję wydawał jeden z więźniów, nazywany starostą celi. W naszej celi był nim rosyjski żołnierz ze zdrowej grupy. Zupę nalewał tym, którzy mieli naczynia, a należy zaznaczyć, że władze nikomu ich nie wydawały. Za naczynia służyły kubki, różne puszkę, spluwaczki, a mniej cierpliwi pobierali zupę do czapek. Najczęściej ci, którzy nie mieli żadnego naczynia (zaliczałem się do nich), pożyczali je od tych, którzy dostali miskę w paczkach. Po otrzymaniu zupy wszyscy pospiesznie jedli i dla patrzącego z boku, a takim byłem ja, wyglądało to nawet dość zabawnie: tyle pośpiechu w sytuacji, gdy wszyscy mieliśmy nadmiar wolnego czasu.

Pierwsi otrzymywali zupę syfilycy, którzy nie zadowalali się jedną porcją i po zjedzeniu pierwszej, żądali następnej. Mogli ją otrzymać kosztem innych. Poszkodowani, a byli nimi wszyscy pozostali w celi, mieli więc dodatkowy powód do niezadowolenia. Pewnego dnia syfilycy, skończywszy swoje porcje, zaczęli domagać się dodatkowych. Nie wiem, czy wydający zupę w tym dniu był w złym humorze, czy też syfilycy byli zbyt natrętni, w każdym razie, odmówił im. Doszło do bójki, syfilycy rzucili się na starostę celi, który w obronie własnej połamął na nich czerpak. Inni stanęli po jego stronie, a ra-

czej po stronie swoich porcji. Cierpliwość się wyczerpała i gniew przewyciężył odrazę. Kocioł się przewrócił, a w chwilę później lała się nie tylko zupa, ale i krew, bryzgając na ściany. Zamiast zupy otrzymałem niezłe przedstawienie, prawdziwy western. W końcowym rozrachunku wyszło nam to na dobre. W dniu bójki syfilitycy nie wrócili do naszej celi ze spaceru i wszyscy odetchnęliśmy z ulgą — życie bez nich stało się łatwiejsze.

Dni mijały. Wszyscy w celi czekali na rozprawę. Nie miałem najmniejszego pojęcia o sowieckich sądach. Po szesnastu dniach, 14 września [1945], wywołano mnie i „Rysia” z celi i zaprowadzono przez więzienny dziedziniec na portiernię, w której oczekiwała „Krystyna”. Powiedzieli, że zawiozą nas na sąd, gdy tylko przyjedzie konwój. Nie spieszyło się nam, bo mieliśmy sobie dużo do powiedzenia. Oto miały się rozstrzygnąć nasze losy.

Sąd i cela śmierci

W ogólnej celi każdy dyskutował nad wysokością wyroków najczęściej wymierzanych przez sowieckie sądy. Specjami w tej dziedzinie byli Rosjanie. Uważali, że oni i Ukraińcy nie mogą liczyć na żadną taryfę ulgową. Gdy sytuacja na froncie była zła i więźniów zabierano do karnych batalionów, władze obiecywały im, że rany odniesione w walkach z faszystami automatycznie wymażą ich winy. Po zakończeniu wojny zapomniano o tych przyrzeczeniach i wszystkich „bohaterów” wsadzono z powrotem do więzień. Jeden z takich więźniów, w czasie działań wojennych ciężko ranny w głowę, siedział ze mną. Był robotnikiem jakiegoś kołchozu i dostał wyrok za kradzież kilku kilogramów ziarna.

Perspektywy dla nas, Polaków, również były marne. Obywatele sowieccy uważali nas jednak za szczęśliwców. Stale powtarzali: „*Macie swoje władze, które wystąpią w waszej obronie. Jesteście obywatelami polskimi*”. Jakże się mylili. Żaden z nas nigdy nie słyszał, ani wtedy, ani później o interwencji polskich władz w sprawie Polaków uwięzionych w ZSRR.

Typowe wówczas wyroki wynosiły od piętnastu do dwudziestu pięciu lat lub — kara śmierci. Istniało przekonanie, że sądy miały nałożone plany co do ilości i wysokości zasądzanych wyroków. Jeżeli jednego dnia wydawano dużo wyroków śmierci lub dwudziestu pięciu lat pozbawienia wolności, to w następnym dniu dawano niższe. Twierdzono, że w ten prosty sposób utrzymywano równowagę w orzekaniu poszczególnych rodzajów kar.

Po przybyciu konwoju zawieziono nas na rozprawę. W pierwszym dniu nie zdążono rozpatrzyć naszych spraw. Starano się załatwić kwestię braku podpisów pod aktem oskarżenia. Wściekano się, gdy odpowiedzieliśmy im, że skoro nie podpisaliśmy go w *kontrrazwiedce*, nie ma żadnego powodu, aby uczynić to teraz. Twierdziliśmy, że widocznie były i są ku temu powody, że odmawiamy, a bez tłumacza nie możemy dokładnie zrozumieć, o co jesteśmy oskarżani. Akt oskarżenia odczytano nam po rosyjsku, a w części, którą zrozumieliśmy, było wiele kłamstw, co zresztą oświadczyliśmy. Sędziowie popatrzyli na nas, pokiwali z politowaniem głowami i stwierdzili, że tłumaczy mieliśmy, bo są ich podpisy. Nakłaniali do podpisania dokumentów mimo wszystko, bo nasz upór i tak nic nie zmieni. W końcu stwierdzili, że pod aktem oskarżenia napiszą zdanie, że został nam odczytany i tylko to podpiszemy. Na tyle jednak poznaliśmy sowiecką sprawiedliwość, aby niczemu nie wierzyć, bo nigdy nie było wiadomo, do czego mógł posłużyć taki podpis. Widząc naszą determinację, uciekli się do zupełnie nowego wybiegu. Zaproponowano nam podpisanie oddzielnie napisanego papierka o treści: „Podpisem stwierdzam, że przeczytano mi akt oskarżenia”. Po naradzie, każdy z nas podpisał ten świstek, bo doszliśmy do wniosku, że w wypadku naszej odmowy zarządzą ponowne śledztwo, a tego nie chcieliśmy. Każda zmiana w naszym życiu była pożądana, bez wzglę-

du na to, co nas czekało. Wieczorem zawieźli nas ponownie na Zamarstynów. Było już późno i zaprowadzono nas nie do cel, a do pokoju przylegającego do wartowni, z oknami na więzienny dziedziniec. Byliśmy dobrze pilnowani. Spaliśmy na ławkach, lecz było to bez znaczenia. Przez tyle miesięcy można się przyzwyczać do spania na kamieniach. Staliśmy się mało wrażliwi na swój los i na to, co nas otaczało.

Pilnowani przez *bojców* czekaliśmy na swoją kolej. Przed oblicze sądu zaprowadzili nas późnym popołudniem. Rozprawa odbywała się w dużej sali, pośrodku której stał spory stół, a przy nim siedziało trzech oficerów NKWD: kapitan, porucznik i podporucznik. Robili wrażenie bardzo znudzonych, jeden z nich drzemał. Z prawej strony, w niedużej odległości od siedzących oficerów, stał stolik sekretarki. Dla oskarżonych była przeznaczona ławka ustawiona naprzeciw stołu sędziowskiego, za którą stało dwóch żołnierzy uzbrojonych w automaty.

Przewodniczący, kapitan, zapytał, czy zgadzamy się na skład tego sądu, a na moje pytanie, co się stanie, jeżeli się nie zgodzimy, odpowiedział, że nic się nie stanie i że tak czy siak będą nas sądzić. Widocznie było to pytanie retoryczne wynikające z procedury. Nastąpiło odczytanie aktu oskarżenia, przez sekretarkę. Podczas czytania zasnął drugi z trójki sędziów. Następnie kapitan zapytał, czy rozumieliśmy i czy mówimy po rosyjsku. „*Nie*” — odpowiedzieliśmy zgodnie. „*Kłamiecie, takie syny*” — powiedział kapitan i zadał następne pytanie: „*Czy przyznajecie się do winy, do zarzucanych wam zbrodni?*”. Odpowiedzieliśmy, że oprócz akcji na sklep, gdzie zabraliśmy 170 tysięcy rubli, cała reszta jest kłamstwem. Odpowiedź ta, udzielona w języku polskim, spowodowała przywołanie tłumacza. Była nim Ukrainka, przygotowująca w kuchni posiłki dla członków sądu. Weszła na salę ubrana w biały fartuch i z czepkiem w ręku. Gdy zobaczyła ludzi z automatami, przestraszyła się i zaniemówiła. Kapitan zakomunikował jej, że będzie tłumaczem. Ukrainka otworzyła usta i znieruchomiała zupełnie. Wyglądało to zabawnie. Przewodniczący, uważając sprawę za załatwioną, stwierdził, że wszystko co zostało napisane w akcie oskarżenia jest prawdą. Zamiast walczyć przeciw Niemcom, walczyliśmy przeciw armii sowieckiej, po czym zarządził parominutową przerwę. Po jej zakończeniu przystąpił do odczytywania wyroku. Był przygotowany na kilku stronach, co nas upewniło, że napisano go już dawno, a nie teraz. Wynikało z niego, że za takie to a takie czyny — tutaj nastąpiło wyliczenie wszystkiego, co znajdowało się w akcie oskarżenia plus dodatkowo stwierdzenie, że jesteśmy nieprzejednanymi wrogami ZSRR — Trybunał Wojskowy skazuje nas za zdradę ojczyzny: mnie i „*Rysia*” na karę śmierci, a „*Krystynę*” na dwadzieścia lat katorgi. Wyrok zapadł w obecności dwóch śpiących sędziów, bez tłumacza i obrońców, więc próbowałem zaprotestować, lecz „*Ryś*” mi przerwał, mówiąc, że szkoda słów, bo oni nas i tak nie słuchają. Faktycznie, o ile my jeszcze rozumieliśmy piąte przez dziesiąte z całej tej sądowej komedii, to przewodniczący składu sędziowskiego nie rozumiał absolutnie nic z tego, co mówiliśmy do niego po polsku. Ukrainka nie wypowiedziała ani słowa, mimo że podpisała protokół jako tłumaczka. Nie wiadomo, czy w ogóle знаła polski i rosyjski. Prawdopodobnie wyrok został podpisany również przez dwóch asystujących oficerów, którzy cały czas smacznie spali.

Od momentu wydania wyroku zmieniło się traktowanie nas ze strony naszych „aniołów stróżów”. Teraz spoglądali na nas spođe łba, jak na dzikie zwierzęta. Trudno wytłumaczyć sobie fakt tak radykalnej zmiany w zachowaniu żołnierzy z konwoju. Nigdy cze-

goś podobnego nie widziałem. Sądów podobnych do tego, który sądził naszą trójkę również. Skazano dwie osoby na śmierć i jedną na dwadzieścia lat katorgi w rozprawie trwającej niespełna piętnaście minut. Jaki sąd na świecie może wykazać się takimi „osiągnięciami”?

Po odczytaniu wyroku umieszczono nas w sali strzeżonej przez NKWD. Przynieśli papier oraz przybory do pisania i kazali nam pisać prośbę o łaskę. Pouczyli nas, że w prośbie trzeba wyrazić skruchę i żal za popełnione przestępstwa, ale przede wszystkim przyznać się do winy. „Krystyna” prosiła o zmianę katorgi na karę śmierci. Ja z „Rysiem” napisaliśmy dwa zdania: że nie przyznajemy się do przestępstw z paragrafów podanych w akcie oskarżenia i prosimy o uniewinnienie. Odebrali od nas te papierki i orzekli, że nie są to prośby o łaskę, a raczej dowód lekceważenia władz. Prawdopodobnie wrzucili je do kosza, a do Kijowa wysłali prośby pisane przez biegłych specjalistów sądowych.

Było już ciemno, gdy wyprowadzili nas na dziedziniec gmachu sądowego. Wokoło stali żołnierze z wycelowanymi w nas automatami — było ich dużo. Załadowali nas do „czarnego worona” i pod silną eskortą zawieźli na Zamarstynów, do bloku z celami śmierci i jedną męską celą na parterze — dla skazanych na katorgę — oraz drugą, kobiecą, na piętrze. Klucze od bramy bloku śmierci znajdowały się w pomieszczeniu oddziałów ochraniających więzienie. Dozorca bloku śmierci był zamykany od zewnątrz przez straż. Uniemożliwiało to ucieczkę więźniów w przypadku porozumienia się z dozorcą lub gdyby więźniowie go obezwładnili. Wejście do bloku wiodło przez podwójne, stalowe bramy, odległe jedna od drugiej o trzy metry. Na zewnątrz został uzbrojony strażnik, a drugi, bez broni, wszedł ze mną między bramy. Strażnik stojący na zewnątrz zamknął zewnętrzne drzwi na klucz, po czym przez małe okienko dał klucz od bramy wewnętrznej żołnierzowi, który mnie eskortował. Ten otworzył wewnętrzne drzwi i przekazał mnie dozorczy. Dopiero wówczas strażnik znajdujący się na zewnątrz wypuścił eskortującego mnie żołnierza. Po otrzymaniu kandydata na nieboszczyka, dozorca otworzył drzwi jednej z cel i kazał mi wejść. Było późno i przebywający w niej więźniowie już spali. Cella była mała, w rogu stał okrągły piec, lecz w tych czasach cel nie ogrzewano. Piec stał, bo postawili go Austriacy, gdy Lwów był pod ich zaborem. Jeden z więźniów podniósł się, by przywitać „nowego”. Zapytał, skąd mnie przywieźli, czy jestem miejscowy i czy otrzymuję paczki. Był rozczarowany, gdy usłyszał, że jestem miejscowy i nie dostaję paczek. Od „Rysia”, który otrzymywał paczki dostałem cukier w kostkach, więc każdemu w celi dałem po jednej kostce. Zdziwiło mnie zróżnicowanie więźniów w celi śmierci. Pytający wskazał mi miejsce na podłodze obok więźnia, który wyglądał jak szkielet. Dużo widziałem, lecz tak wychudzonego człowieka jeszcze nigdy — dosłownie kości pokryte skórą. Wywarło to na mnie silne wrażenie. Witający mnie Rosjanin powiedział: „*Dość na dziś. Idź spać. Rano wyciągnę od ciebie wszystko*”. Powiedział to nieprzychylnym tonem — zrozumiałem, że z jego strony nie czeka mnie nic dobrego.

Wyciągnąłem się na podłodze i senny rozmyślałem o wyroku. Wysoko ocenili cztery miesiące mojej działalności we Lwowie, jeżeli w tak krótkim czasie zasłużyłem sobie na wyrok śmierci. Co zrobiliby ze mną gestapo za dwa lata działalności w Lublinie? Zasnąłem twardym snem, nie zważając na farsę wyroku, twardą podłogę i nowe, nieprzyjazne miejsce. Świeże powietrze upoiło mnie.

Obudziłem się razem z innymi i usiadłem po turecku, bo do tego zmuszał brak miejsca. Początkowo męczyło mnie takie siedzenie, ale gdy się przyzwyczaiłem, było zupełnie dobrze. W celi stał mały stolik, na którym rano układano codzienne porcje chleba. Chleb był źle wypieczony i porcje mające 400 gramów były małe. Rano, na obiad i na kolację dostawaliśmy zupę, czyli wodę z kilkoma ziarnkami kaszy. Wszystko dzielił samozwańczy szef celi, ów Rosjanin, który mnie pierwszy przywitał. Każdy otrzymał porcję chleba, oprócz potwornie wychudzonego Niemca, siedzącego obok mnie. Przebywał w celi już od sześciu miesięcy. Rosjanin, kryminalista skazany na śmierć, uważał siebie za kogoś lepszego, w każdym razie lepszego od Niemca, starszego już człowieka. Od czasu do czasu herszt, chcąc się zabawić, kazał Niemcowi wchodzić pod stół i śpiewać, za co dawał mu 50 gramów chleba. Rozmawiając ze mną, Niemiec mówił, że pragnie już tylko jak najszybciej umrzeć. Widocznie nie miał na sumieniu poważnego przestępstwa i nie należał do gestapo czy SS, bo takich Sowieci nie trzymali zbyt długo. Znęcanie się jednych skazańców nad drugimi w sytuacji, gdy w każdej chwili każdy z nas mógł być zabrany i rozstrzelany, było większą potwornością niż katowanie więźniów przez zwyrodniałych śledczych. Herszt celi chciał się koniecznie dowiedzieć, za co mnie skazali. Byłem ostrożny i ograniczyłem się do ujawnienia, że należałem do AK. Okazało się, że ta informacja była zbędna, ale nie sposób było nic nie powiedzieć, bo byłoby jeszcze gorzej. Ten bandyta, jak większość Rosjan, był wrogo nastawiony do Polaków i do wszystkiego, co polskie. Zatruewał mi życie przez cały czas pobytu w celi śmierci. Nie mógł mi darować klęski Sowieci w 1920 roku. Zadecydował, że nie będę otrzymywał mojej racji chleba.

W naszej celi znajdowali się różni ludzie. Wspomniany Niemiec siedział nie wiadomo, za co. Samozwańczy herszt, Rosjanin, w czasie hulanki zastrzelił majora *kontrrazwiedki* — poszło o dziewczynę. Czyn ten podciągnięto pod terroryzm, bo dotyczył zabójstwa przedstawiciela władzy sowieckiej na froncie. Rosjanin nazywał się Piśmienny, był sierżantem w karnym batalionie, należał do świata przestępczego i sporą część życia spędził w obozach i więzieniach.

Kolejnym więźniem był Ukrainiec, który przeszedł przez niemiecki obóz jeniecki. Rozdawał tam zupę i zapewne naraził się niejednemu z sowieckich jeńców wojennych, którzy po uwolnieniu obozu przedstawili go swoim władzom jako pomocnika hitlerowców. Razem z nim sądzili również tych, którzy go oskarżyli i w ogóle wszystkich, którym udało się przeżyć w obozie. Ukrainiec był nieszczególnym typem człowieka. Zorientował się, że może zyskać w oczach herszta, jeżeli poprze jakimś przykładem jego wrogię stanowisko wobec Polaków, dowodząc tym samym, że jest ono w pełni uzasadnione. Jestem pewien, że w tym celu wymyślił historyjkę o swojej dwukrotnej ucieczce z niemieckiego obozu i o rzekomym wydaniu go przez Polaków, gdy znajdował się już na terenach Polski włączonych do Rzeszy. O ile znam hitlerowców, taki sowiecki uciekinier byłby zastrzelony. Tą historyjką osiągnął swój cel: nastawienie do mnie niektórych więźniów w celi, a szczególnie herszta, stało się jeszcze gorsze.

Dwaj następni siedzący byli również Ukraińcami, banderowcami, obywatelami polskimi. Jeden z nich zastrzelił w obronie własnej kapitana NKWD i za to otrzymał karę śmierci. Byli bardzo młodzi, zachowywali się raczej poprawnie, lecz nie wiadomo, jakie było ich zachowanie wśród banderowców. Herszt odnosił się do nich, jak do ludzi niż-

szej kasty, często bił skazanego za zabójstwo. Młodszy Ukrainiec miał u herszta pewne względy, bo otrzymywał paczki, którymi musiał się dzielić, ale tym samym zapewniał sobie spokój.

W celi przebywał z nami również młody żołnierz Armii Czerwonej, z oddziałów stacjonujących w Lublinie. Spotykał się, jak wielu innych, z polskimi dziewczętami. Pewnego razu, wracając od nich w stanie nietrzeźwym, natknął się na sowiecki patrol wojskowy, który chciał go skontrolować. Tak się przestraszył, że zaczął strzelać, wskutek czego jeden żołnierz z patrolu zginął, a drugi został ranny. Strasznie przeżywał swój los, miał osiemnaście lat i bardzo bał się śmierci. Gotowy był zrobić dla władzy wszystko, byleby go ułaskawiono. Stale rozmyślał nad sposobem ucieczki. Często rozmawiał ze mną na ten temat — w swoich rozterkach potrzebował jakiejś pociechy. Żał mi go było, więc pocieszałem go, jak mogłem. Nie lubił herszta i podlizującego się mu Ukraińca. Ci dwaj dali mu spokój, bo nie mieszał się w ich sprawy.

Po paru dniach wpuścili do naszej celi dwóch lejtnantów, starszego i młodszego. Starszy był bandytą, rabował i mordował na terenie Niemiec. Zrabowane przedmioty wywoził do ZSRR, na Ukrainę, i tam je sprzedawał. W czasie jednej z takich wypraw zamordował Ukrainkę współpracującą z NKWD, za co otrzymał wyrok śmierci. Młodszy lejtnant, Kola, jego współnik, podobno źle spisał się podczas śledztwa, bo za dużo powiedział. W rezultacie otrzymał w celi miejsce przy kiblu i każdego dnia był bity przez tego drugiego, Żorę. Bandyci zabrali mu buty i porcję chleba. Były to prawa bandyckiego świata. W Związku Radzieckim nic nie działało się bez wiedzy władz, więc należy przyjąć, że swoich bandytów specjalnie wsadzali z politycznymi, by tym ostatnim jeszcze bardziej utrudnić życie.

Wytworzyła się dziwna sytuacja: było dwóch bandytów, z których każdy chciał być hersztem. Z naszej celi istniały tylko dwa wyjścia — na plac kaźni lub do celi katorżników. Do momentu przejścia przez jedno z nich byliśmy skazani na siebie. Kilka różnych narodowości, nierównych w tym ustroju nawet w obliczu śmierci. Herszt, bandyta pozbawiony ludzkich uczuć, nadawał ton w celi. Zachowywał się jak człowiek, któremu wyznaczono funkcję obrzydzania innym ostatnich chwil. Uważał się za lepszego od pozostałych więźniów, choć miał na swoim sumieniu ludzkie życie. Dla zabicia nudy zmuszał nas do gry w szachy zrobione z chleba, który zabrał innym skazanym. Musiał zawsze wygrywać — gdy przegrywał, bił tego z kim grał. Nie wiedziałem o tym i grając z nim po raz pierwszy, wygrałem. Uderzył mnie wtedy tak mocno w głowę, że pociemniało mi w oczach. Od tego czasu zawsze przegrywałem. Nie miał większych aspiracji, bo jego rozwój umysłowy zahamowało przekonanie, że wszystko można osiągnąć przemocą. Za wzór służyły mu metody ustroju, w którym żył i który go wychował. Od dziecka wymagano od niego tylko ślepego posłuszeństwa.

Gdy zjawił się drugi bandyta, zaczęła się między nimi rywalizacja o prymat w celi śmierci, oparta na demonstracji siły i okrucieństwa, bez cienia tolerancji dla innych wartości. Codziennie odgrażali się sobie przy użyciu arsenału bogatego sowieckiego języka świata przestępczego. Grozili sobie wyłupaniem oczu, przegryzieniem gardła podczas snu, uduszeniem. Obaj silnie zbudowani i dobrze odżywieni, czuli przed sobą respekt, ale przeciwko pozostałym siedzącym w celi zawsze występowali solidarnie. Wolałem ciemną, samotną celę w piwnicy niż takie towarzystwo.

Piśmienny często opowiadał różne historyjki ze swojego przestępczego życia. Nudził się, więc od czasu do czasu nakłaniał innych do opowiadania czegoś ciekawego. Gdy herszt zwrócił się do mnie, bym coś opowiedział, zacząłem sobie przypominać przeczytane kryminały, bo tylko tego rodzaju opowiadania go interesowały. Naciskany przez niego przez trzy dni z rzędu, opowiedziałem historię pewnego włamania. Z powodu mojej słabej znajomości języka, herszt zrozumiał, że włamywaczem byłem ja, podszedł do mnie i powiedział: „*Zdaje się, że jesteś swój chłop*”. Od tego czasu, a siedziałem już sześć tygodni w celi śmierci, bandyta wspaniałomyślnie przywrócił mi moją *pajkę* [kromkę] chleba.

Snułem różne rozważania. Pożywką dla nich były incydenty z mojej celi i z sąsiednich, a także sytuacje wynikające z nocnych wejść przedstawicieli władzy do bloku śmierci. Tematy do rozważań dawały również wspomnienia z wolności, które w sposób natrętny przypominały o losie rodaków pozostałych na terenach jednej trzeciej Polski, znajdujących się obecnie w ZSRR. Świat skończył z jednym ludobójczym ustrojem, lecz wzmacnił inny, pod panowaniem którego w krótkim czasie zginęło wielu ludzi. Po zakończeniu wojny sowieckie więzienia i obozy były wypełnione Polakami. Przerząła mnie myśl, że wszystko to działo się za wiedzą innych rządów. Gdybym podczas okupacji nie był w żadnej organizacji, nie uciekał i dał się wywieźć do obozu lub do pracy w Rzeszy, miałbym dziś, jako ofiara hitleryzmu, uznanie rządzących, byłbym szanowanym obywatelem, a jeślibym wszystkiemu przytakiwał, gdybym o każdym donosił, nie znajdowałbym się teraz w celi śmierci. Trudno było żyć ze świadomością, że moja postawa, będąca częścią walki całego narodu, nie znalazła żadnego uznania u nowych władz polskich. Od czasu do czasu wyrwały mnie z tych rozmyślań wyczyny dwóch bandytów, a raczej ich pomysły, których realizacja miała im urozmaicić czas, a pozostałym go obrzydzić, oraz robiące na mnie silne wrażenie, nieludzkie krzyki jakiegoś sowieckiego oficera, siedzącego w celi śmierci naprzeciw, przypominające ryki zarzynanego zwierzęcia. Nie wiem, czym były spowodowane.

Najgorsze momenty przeżywaliśmy w nocy, gdy otwierano bramę bloku śmierci — zapadała wówczas śmiertelna cisza, bo tylko w nocy albo wczesnym rankiem przychodzili zabierać na egzekucję. Wszyscy wyteżali słuch, by złowić jakiś szelest i ustalić, przed którą celą się zatrzymali i kogo wywołują. Po wyprowadzeniu skazańca oprawcy rzucali się na niego, wykręcali mu ręce do tyłu, wiązali i wsadzali go do „czarnego *worona*”. W celach, które omijali, z wielu piersi wyrывało się westchnienie ulgi, że to jeszcze nie dziś.

Nie każdy skazany na śmierć potrafił ze spokojem i z godnością na nią czekać. Ukraińiec, który twierdził, że wydali go Polacy, przechodził kilkakrotnie załamania. Obawa przed śmiercią była tak wielka, że kilka razy szlochał i lamentował. Płacząc i jęcząc, krzychał: „*Nie chcę umierać, chcę żyć!*”. Nikt nie chciał umierać, lecz oprócz niego, nikt nie robił z siebie żalosego widowiska. Bandyci pocieszali go pięścią. Niektórzy próbowali w takich sytuacjach protestować, ale okazywało się to nieskuteczne, a po interwencji bandyci jeszcze okrutniej się z nim obchodzili. Władzy natomiast było obojętne, jaką śmiercią zginie skazany.

„Krystynę” umieszczono nade mną, na pierwszym piętrze. „Ryś” siedział po tej samej stronie korytarza, z dwoma Polakami z Sambora; jeden z nich nazywał się Edward

Buca. Przerwałem kontakty z „Krystyną”, aby uchronić ją przed przykrościami i wyzykiwaniem ze strony bandytów. Na pewno starałaby się dostarczyć mi przez okno produkty z paczek od matki, a zabieraliby je i tak bandyci. W oknach nie było szyb, a tylko kraty, więc opuszczanie żywności było możliwe.

W celi mieliśmy tytoń. Był dostarczany w paczkach albo dawali go bandytom dozorczy. Więzień mógł posiadać tytoń, ale nie zapalki. Potrzeba jest jednak matką wynalazków i żadna cela nie pozostawała bez ognia. Nauczyłem się otrzymywać go dzięki wykorzystaniu watoliny — oto jedyna umiejętność, jaką nabyłem od bandytów. Za tę naukę zapłaciłem swoją marynarką, z której cała watolina poszła na ten cel. By rozniecić ogień, należy zwinąć w wałeczek trochę watoliny lub waty, a następnie podeszwą buta toczyć go po podłodze tam i z powrotem, przyciskając z odpowiednią siłą. Po pewnym czasie trzeba szybko rozerwać ten wałeczek i silnie dmuchać, aby rozżarzyć włókna rozgrzane w wyniku tarcia.

Tematem często poruszonym przez bandytów były sny. Wrócenie najbliższej przyszłości ze snów było ulubionym zajęciem naszych recydywistów, toteż zaraz po przebudzeniu herszt wypytywał wszystkich o to, co im się śniło. Ci ludzie znali różne metody interpretacji snów i wierzyli w ich wpływ na ludzki los. Widocznie, gdy pozbawiono ich wiary w Boga, zaczęli szukać go gdzie indziej.

Kolejnym tematem były kobiety i życie seksualne. Opowiadali w sposób bardzo realistyczny szczegóły stosunków odbytych z różnymi kobietami, pochodzącymi często ze świata przestępczego. Po prostu lubowali się we wspomnieniach o tym, co robili, a także w marzeniach na temat tego, co chcieliby robić na wolności.

Mój pobyt w różnych więzieniach i rozmowy z wieloma obywatelami sowieckimi, pozwoliły mi na wysnucie różnych wniosków dotyczących ludzi i ich życia w tym pierwszym robotniczym państwie. Początkowo dziwiło mnie, że rzadko opowiadali o swojej rodzinie. Okazało się, że wielu młodych ludzi po prostu nie znało swoich matek i ojców albo że ich rodziców zamordowano podczas rewolucji. Najwięcej jednak poznanych przeze mnie młodych Rosjan pochodziło z rodzin, w których najbliżsi byli skazani na długie wyroki więzienia lub siedzieli w obozach. Dzieci pozbawione rodziców oddawano do sierocińców, z których wywodziły się rzesze chuliganów, bandytów i nieludzkich pracowników służb bezpieczeństwa.

Głośne rozmyślania Rosjan i ich wyczyny nie mogły nikomu wypełnić całego wolnego czasu i każdy z nas stałe o czymś myślał. Zastanawiałem się nad tym, co obecnie dzieje się za murami więzienia. Analizowałem swoją przeszłość, bo o przyszłości nie było sensu myśleć. Najczęściej moje myśli biegły do rodzinnych stron. Nie było mi łatwo siedzieć w celi śmierci ze świadomością, że matka i rodzeństwo prawdopodobnie nigdy się nie dowiedzą, co się ze mną stało. Nikt w konspiracji nie znał mojego prawdziwego nazwiska. Może nawet tak się stanie, że zostanę uznany za ofiarę wojny, jedną z milionów ofiar hitlerizmu.

Mijały tygodnie pobytu w celi śmierci, a ja równocześnie byłem stałym mieszkańcem mojej rodzinnej miejscowości na Pomorzu, tyle że zaginionym. Czyżbym już nigdy nie miał się dowiedzieć, czy bracia wrócili z niemieckich obozów i z jakimi stratami moja rodzina przetrwała wojnę? Rozmyślałem o karze śmierci. Wyroki powinni wykonywać ci, którzy skazują na śmierć, a nie zmuszać do ich przeprowadzenia innych. Zastanawiałem

się nad możliwością skierowania na uczciwą drogę bandytów podobnych do tych z mojej celi. Z tych rozmyślań wyrwała mnie rzeczywistość, to znaczy cela śmierci. Były w niej ślady po kulach widoczne na piecu i ścianie — świadectwo mordownia więźniów w 1941 roku, kiedy to sowieckie władze poleciły zastrzelić wszystkich, których nie zdążono wywieźć z powodu tempa i chaosu ewakuacji. Więźniowie dużo na ten temat rozmawiali.

Było coraz chłodniej, zbliżała się zima, a władze nie troszczyły się o ogrzewanie celi, wybitych szyb również nie wstawiono. Bandyci zabrali mi płaszcz. Mogłem walczyć o niego, ale oprócz obrażeń cielesnych, nic bym nie zyskał. Walczyć o marny płaszcz, gdy nie wiem, czy wyjdę z tej celi żywy? Bandyci byli pewni, że wszystko ujdzie im bezkarnie, my zaś uzmysławialiśmy sobie naszą bezsilność wobec tego bezprawia.

W końcu nadeszła moja kolej. 25 listopada 1945 w późnych godzinach wieczornych otworzono bramę bloku śmierci i jacyś ludzie weszli na korytarz. Wszyscy w celi zamarli w oczekiwaniu. Nie bałem się egzekucji, byłem przygotowany na nią od momentu sądowej komedii, lecz co innego jest wmawiać sobie obojętność wobec czekającej śmierci, a co innego stanąć z nią twarzą w twarz. Z pewnością każdy z nas pomyślał, że przychodzą po niego. Ci, którzy wtargnęli w ciszę bloku śmierci, zatrzymali się przed naszą celą i gdy wkładali klucz do zamka, stawialiśmy sobie pytanie: po kogo z nas? Po otwarciu drzwi padły słowa: „*Orłowski Józefowicz, sobirajsia*”. Wstając, pomyślałem: więc to już, tak po prostu. Nie było w celi nikogo, z kim chciałbym się pożegnać. Wyszedłem, drzwi zamknęły się za mną. Podeszło do mnie dwóch silnych drabów z więziennej straży, po czym zaprowadzili mnie przed stolik na korytarzu i zaczęli coś czytać. Nie rozumiałem z tego dużo, bo słowa nie docierały do mojej świadomości. Strażnicy wyczuli brak reakcji z mojej strony, więc jeden z nich powiedział dobitnie: „*Pamieniali tiebie na dwadcat' let katorżnych rabot*” [Zmienili ci wyrok śmierci na dwadzieścia lat ciężkich robót]. Gdy podpisałem podsunięty mi papierek, strażnik zaprowadził mnie do dużej, pustej sali, po czym wyszedł, zamykając drzwi na klucz. Po pewnym czasie przyprowadzili „Rysia”. W pierwszej chwili nie poznał mnie, tak bardzo byłem wychudzony. Zaprowadzili nas do łaźni, kazali się rozebrać i zabrali ubrania do parowej dezynfekcji. Czekaliśmy na nie dwie godziny. W celi śmierci umówiliśmy się, że każdy, kto otrzyma zamianę wyroku, pozostawi na ścianie łaźni jakiś znak.

Po łaźni zaprowadzili nas do celi katorżników, która znajdowała się w bloku śmierci na końcu korytarza po lewej stronie. Po otwarciu celi przez dozorcę, znajdujący się w niej więźniowie wypełnili całe wejście, bo ściśnięto ich do granic możliwości. Pomyślałem, że nigdy nie uda się nas tam wcisnąć. Dozorca popchnął nas w kierunku wystających z celi ciał i dwa silne draby, z niemałym wysiłkiem, wtoczyły nas do środka i zamknęły drzwi. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że można w takich warunkach trzymać ludzi. Ludzi?! — sowiecka władza nie uważała za ludzi nawet swoich obywateli, a każdy, kto znalazł się w więzieniu, był tylko zwierzęciem (*skotina*).

Dwie osoby siedziały pod samym sufitem, na piecu — mieli najwygodniej i uważani byli za katorżniczą arystokrację. Od czasu do czasu, gdy już nawet siłą nie można było nikogo wepchnąć do naszej celi, część więźniów wysyłano do obozu przesyłkowego, znajdującego się przy ulicy Pełtewnej. Mieliśmy wyjątkowego pecha, bo byliśmy tymi ostatnimi, wciśniętymi na siłę. Władze musiały z nami coś zrobić, jeżeli chciały skazywać

nowych więźniów i w dalszym ciągu realizować swoje plany. Wiedzieliśmy, że dla katorżników przygotowywano cały jeden blok, bo w ZSRR po wojnie było ich wyjątkowo dużo. Katorżnikami zostawali pracownicy kolchozów, fabryk, wojska, administracji oraz inteligencja.

W celi mogliśmy tylko stać, nawet spaliśmy na stojąco. Prawdziwe akrobacje jednak odbywały się podczas jedzenia; niejedna miska podawana nad głowami wylała się na ściśniętych więźniów. Najlepsze miejsca były wzdłuż ścian. Nie lada wyczynem było dostanie się do kibla i niektórzy załatwiali się w spodnie.

Przebywaliśmy tam koszarne trzy doby. Na szczęście, po trzech dniach, umieścili nas w oddzielnym bloku, którego cele były luksusem w porównaniu z tymi w bloku śmierci. Miały piętrowe prycze, niczym nie przykryte, ale nie leżeliśmy i nie spaliśmy na podłodze. W celi było zakratowane okno bez szyby, toteż przy silnym wietrze było nam bardzo zimno. Jakiś Ukrainiec, mający ciepłą odzież, zasłonił okno własnym płaszczem. W celi znajdowało się trzech Polaków, pozostali byli Ukraińcami. Trzecim Polakiem, oprócz mnie i „Rysia”, był Karol Prass. Otrzymywał od żony paczki, którymi dzielił się z nami. Ponadto można było rozmawiać z rodakami w ojczystym języku. Jakże znaczenie miało to dla nas, może wiedzieć tylko ten, kto był zmuszony przebywać tygodniami we wrogim otoczeniu. Codziennie wyprowadzano nas do ubikacji i raz w tygodniu do łaźni, ale mydła w dalszym ciągu nie dawano. Warunki higieniczne poprawiły się, lecz były dalekie od minimum uznanego w świecie.

W wigilię Bożego Narodzenia [1945] wyprowadzono nas do łaźni bardzo wcześnie. Musieliśmy przejść przez róg więziennego dziedzińca. Przy bloku śmierci stał „czarny woron”, do którego pijani żołdacy ładowali więźniów z celi śmierci. Zobaczyłem między innymi Ukraińca z mojej celi, tego, który podobno w obronie własnej zastrzelił kapitana NKWD. Przy egzekucji zawsze był obecny wojskowy lekarz z zadaniem stwierdzenia zgonu. Sowieci dokładniej wykonywali wyroki śmierci niż hitlerowcy i nigdy nie słyszałem o jakimś przypadku cudownego ocalenia.

Rozważaliśmy możliwości ucieczki. Piłkę do przepiłowania krat Prass mógł otrzymać w żywności od żony. Wyjście z sowieckich więzień było raczej niemożliwe, niemniej jednej grupie, w której był „Jerzy”, udało się ucieczka przez kanalizację. Ta droga jednak była od tamtej pory definitywnie stracona.

Pewnego popołudnia wprowadzili do naszej celi starszego lejtnanta Żorę, któremu zamienili karę śmierci na piętnaście lat katorgi. Bandytów ułaskawiano. Takich przypadków było wiele. Z „Rysiem” siedział Polak, Czesław Grzymała, skazany za zlikwidowanie oficera NKWD usiłującego go zatrzymać w czasie ucieczki. Wyrok na nim wykonano. Siedział tam również Rosjanin, o ile dobrze pamiętam, Żora Jakowlew, za zabicie polskiego chłopca, jego żony i dziecka. Zmieniono mu wyrok śmierci na dziesięć lat obozu.

Po wejściu do celi, starszy lejtnant rozejrzał się, upatrzył sobie miejsce, podszedł do siedzącego na nim Ukraińca i kazał mu wstać. Gdy ten nie usłuchał, bandyta zabrał się do zdejmowania buta, lecz z groźnej postawy innych zorientował się, że w tej celi nie ma żadnych szans. Szybko podszedł do drzwi i waląc w nie, przywołał strażnika. Po otwarciu drzwi wyszedł z dozorcą i już nie wrócił, umieszczono go w innej celi. Bandyty mieli zawsze u dozorców względy, u władz również. Byli swoi, niegroźni. Żora miał na sobie mój płaszcz, lecz jego odwrót z celi był tak szybki, że nie zdążyliśmy mu go odebrać.

Co pewien czas zabierano więźniów na etap. Przedtem przeprowadzano badania lekarskie w celu ustalenia, czy więzień wytrzyma jego trudy. Na pierwszych badaniach nie przyjęli mnie z powodu niedożywienia. W interesie więziennych władz było jak najszybsze pozbycie się zasądzonych. Przyznano mi dodatkowe racje. Marzeniem moim i „Rysia” było dostanie się razem tam, gdzie na pewno nie czekało nas nic dobrego. Pierwsze Boże Narodzenie po wojnie, w 1945 roku, wielu ludzi spędzało radośnie, ciesząc się, że tę najokropniejszą wojnę w dziejach ludzkości ma za sobą. W ZSRR było inaczej. Była to najsmutniejsza wigilia w moim życiu, podobnie jak dla wielu rodzin w kraju, spędzających ten dzień bez swoich najbliższych.

Około połowy stycznia zabrali naszą trójkę na badanie lekarskie przed zbliżającym się etapem. Robiliśmy wszystko, by nas razem zakwalifikowali do wywiezienia. Nie udało się „Rysiowi”, który musiał wrócić z powodu bezwładu ręki, natomiast mnie i Prassa zaprowadzono do obozu przesyłkowego przy ulicy Peltewnej.

W dużej celi umieszczono sto osób. Spaliśmy na podłodze w tym, co na niektórych już się rozpadało. Tam spotkałem ponownie bandytę Piśmiennego. W tej masie Ukraińców i Polaków nie mógł żyć na koszt innych. Po trzech dniach Prass zachorował i zabrali go do izby chorych. Zaprzyjaźniłem się wtedy z dwoma Rosjanami, ojcem i synem. Ojciec był profesorem historii, syn studiował literaturę. Otrzymali po piętnaście lat za wrogą propagandę. Dla zabicia czasu uczyli mnie języka rosyjskiego. Ojciec nie miał żadnych szans na odbycie wyroku, skończył siedemdziesiąt lat, więc po odbyciu piętnastu lat katorgi byłby osiemdziesięcioletnim staruszkiem. Obaj trzeźwo oceniali sowiecką rzeczywistość. Dowiedziałem się od nich dużo o ZSRR i o praktykach szeroko stosowanych przez władze — nie wierzyli w możliwość większych zmian. Utrzymywali, że komuniści wyniszczyli *gros* rosyjskiej inteligencji, a do powstania nowej potrzeba długiego czasu i konieczne jest uformowanie się nowych wartości. Komuniści zdawali sobie sprawę, że tolerowanie swobody poglądów doprowadziłoby do upadku ich władzy, dlatego też izolowali swoje imperium od reszty świata i likwidowali jednostki nie podzielające ich sposobu myślenia.

W końcu stycznia 1946 nadszedł termin etapu. Dopuszczonych do niego zebrano razem i dokonano rewizji. Ci, którym brakowało odpowiedniej odzieży i obuwia, otrzymali je z zapasów. Należałem do tych, którzy nie mieli niemal nic. Płaszczka nie miałem, bo zabrali mi go bandyci, a marynarka poszła na wytwarzanie ognia. Buty również były tylko wspomnieniem. Otrzymałem starą fufajkę, a na nogi łapcie z ciepłego materiału, z cholewkami. Młody Rosjanin, syn historyka, nosił piękne oficerskie buty. Miał przez nie kłopoty, bo wszystkim się podobały i w końcu, dzięki dowódcy konwoju, został bez butów. Zabierali wszystko, co miało jakąś wartość, bo podobno tam, dokąd nas wieźli, nic nie będzie nam potrzebne. Konwojenci nie cackali się z nikim i odbierali w sposób brutalny rzeczy stanowiące własność więźniów, a niezadowolonych popychali i bili pałkami. Młody Rosjanin nie mógł pogodzić się z takim bezprawiem, protestował. W rezultacie otrzymał kilka kułaków i uderzeń pałką. Umieścili nas w obszernej celi. Jedni, jak ja, byli bogatsi o to, co dostali, natomiast inni — a tacy stanowili większość — ubożsi o zabrane im rzeczy.

Dwadzieścia dwa dni etapu

Wszystko odbywało się zgodnie z hasłami sowieckiego ustroju. Tuż przed naszym wyruszeniem do celi przyszedł prokurator, by dowiedzieć się, czy przypadkiem nie stała się komuś krzywda. Skorzystał z tej możliwości spowiedzi młody Rosjanin, uboższy o piękne oficerki, które w ciężkich dla ojca chwilach mógł zamienić na żywność; skorzystało również kilku Ukraińców, a ktoś, chcąc sobie ulżyć w poczuciu doznanej krzywdy, poskarżył się, że przy rewizji został pobity. Prokurator wysłuchał wszystkiego spokojnie, niczego nie notując, widocznie miał wyjątkową pamięć, i odszedł. Po paru minutach wrócił towarzyszący mu naczelnik więzienia i taką wygłosił do nas mowę: „*Chujowo was uczyłem, bo niczego w czasie siedzenia tutaj się nie nauczyliście. Myślicie, duraki, że prokurator coś dla was zrobi? Komu się skarżyliście? Prokurator był, poszedł i już go nie ma i nie będzie, a konwój będzie z wami może i cały miesiąc i wasz los zależy tylko od niego. W tym czasie może wam poodbijać nerki i połamać kości. Dobrze sobie to zapamiętajcie. Duraki, duraki!*”. To rozumiem — przemówił do nas realista, który dobrze wiedział, jaka była różnica między teorią i praktyką. Znający choć trochę tę rzeczywistość wiedzieli, że naczelnik mówił prawdę — butów, ani żadnych innych rzeczy nikomu nie oddano.

Następnego dnia rano, 31 stycznia 1946, uformowano nas w potężny transport liczący około tysiąca więźniów i pod silną strażą wyruszyliśmy w kierunku dworca. Żołnierze z automatami gotowymi do strzału odpędzali zatrzymujących się na chodnikach przechodniów. W 1939 roku, zbliżając się do Lwowa po zajęciu Kresów Wschodnich przez Sowieców, widziałem prowadzonych w takim konwoju polskich oficerów, którzy nie chcąc poddać się Niemcom, złożyli broń przed sowiecką armią. Oni swój etap skończyli w Katyniu. A gdzie i jak zakończy się nasz? Wpatrywałem znajomych, lecz nie widziałem nikogo. Może nie było już we Lwowie tych, którzy pracowali ze mną w organizacji? A może ktoś zauważy mnie i powiadomi o wywiezieniu? Organizacja jeszcze działała, więc na pewno miała informacje o transporcie ze Lwowa tak dużej grupy więźniów.

Zaprowadzili cały etap na dworzec i załadowali do bydłęcych wagonów. Odbywało się to według z góry określonego rytuału, wypracowanego przez trzydzieści lat praktyki. Kazali wszystkim przykucnąć z rękoma do tyłu. Byliśmy bacznie obserwowani przez otaczających nas żołnierzy wojsk NKWD, z bronią gotową do strzału. Podobnie jak gestapo w Lublinie w 1942 roku, pomagały im psy gotowe w każdej chwili się na nas rzucić. Wycytani, w przysiadzie, w podskokach, zbliżaliśmy się do wskazanego wagonu. W tej dziedzinie enkawudziści prześcignęli gestapo. Enkawudziści nie robili nigdy żadnych zdjęć, jak to mieli w zwyczaju nierozsądni gestapowcy, których fotografie posłużyły później jako materiał dowodowy podczas procesów. Sowiecki oficer służby bezpieczeństwa po zrobieniu zdjęć nie wyszedłby z kryminału, zostałby oskarżony o zdradę ojczyzny, szpiegostwo i kilka jeszcze innych zbrodni na dodatek.

Całą noc przesiedzieliśmy w wagonach na dworcu we Lwowie. W każdym z nich znajdowało się tak zwane oczko ubikacji i trzeba był dobrze nastawić cztery litery, by przy załatwianiu się do niego trafić. Musieliśmy wybrać starostę i wszyscy kolejno czuwaliliśmy — starosta i dyżurujący byli odpowiedzialni za to, żeby nikt nie uciekł. W nocy czuwało dwóch, na zmianę. Wyznaczał ich starosta. W każdym wagonie było od osiemdziesięciu do stu więźniów, kandydatów na tamten świat, jak mówili konwojenci.

Wczesnie rano, pierwszego lutego 1946, pociąg ruszył. Każdy z nas snuł różne domysły na temat miejscowości, do których możemy trafić, wymienione zostały chyba wszystkie miejsca imperium, w których można było ukryć nas przed światem. Widziałem wiele niemieckich transportów, a z jednego udało mi się nawet uciec, lecz tak zabezpieczonego jak ten, nie widziałem nigdy. Między każdym wagonem siedział w specjalnej budce żołnierz. W transporcie były również psy, a pod wagonami umieszczono specjalne zapory, niszczące wszystko, co wystawało ponad główki szyn. Gdyby znalazł się śmialek, któremu udałoby się zrobić w podłodze wagonu otwór i wydostać na tory, czekała go niechybna śmierć. Kilka karabinów maszynowych ustawiono w taki sposób, by w razie konieczności mogły ostrzelać całą powierzchnię tuż nad dachami wagonów pociągu; dodatkowo rozmieszczono w kilku miejscach reflektory z własnym zasilaniem. Wagonów nie ogrzewano i choć w niektórych były piece, nie było w nich czym palić. Ustaleni dyżurni musieli każdorazowo, w dzień czy w nocy, meldować, gdy ktoś z konwoju zbliżał się i stukał. Biedni byli pasażerowie wagonu, w którym dyżurny zasnął. Na każdym postoju otwierano drzwi i liczono więźniów, nie szczędząc uderzeń pałkami. Przemieszczając się podczas liczenia z jednej strony wagonu na drugą, trzeba było dobrze biegać i manewrować, lecz większości z nas nie wystarczało na to sił. Przeliczano nas kilka razy dziennie, spokoj mieliśmy tylko w czasie jazdy pociągu.

Według naszych obserwacji, jechaliśmy w kierunku północno-wschodnim. Z dnia na dzień robiło się coraz chłodniej. Jedzenie dawano nam raz dziennie. Składało się z zupy i 400 gramów chleba. Zdarzało się też, że dostawaliśmy do picia wodę. Z upływem czasu wewnątrz wagonu pokryło się szronem, a ściany stały się zupełnie białe. Im dalej na północ, tym częściej zamiast wody otrzymywaliśmy lód. Najbardziej spragnieni zdrapywali ze ścian szron. Również i ja próbowałem tego sposobu, lecz szron tylko w pewnym stopniu łagodził pragnienie.

Gdzieś daleko na północy, podobno w Kotłasiu, zatrzymali nas na cały dzień, wylądowali z wagonów i zaprowadzili do łaźni, stosując przy wysiadaniu ten sam rytuał, co przy załadunku we Lwowie, tylko w odwrotnej kolejności. W łaźni kazano nam się rozebrać i oddać wszystko do parowej dezynfekcji. Cztery godziny czekaliśmy nago na kąpiel. Wreszcie po godzinie 14.00 wzięliśmy gorący prysznic i po ubraniu się w wilgotne jeszcze ubrania, zostaliśmy zaprowadzeni do białych wagonów-lodowni. Wielu więźniów nie wytrzymało tych drakońskich metod i zachorowało. Kilka dni po tej łaźni zacząłem gorączkować. Z odżywianiem i zaspokajaniem pragnienia było coraz gorzej. W czasie jednej nocy, gdy miałem dyżur, zapadłem w półsen i nie odpowiedziałem natychmiast na stukanie konwoju. Otworzyli drzwi i zaczęli liczyć nas kijami, bili na oślep, gdzie popadło. Dostałem po plecach i półprzytomny ledwo trzymałem się na nogach. Wielu oberwało po głowach. Najgorsze jednak czekało mnie po zamknięciu wagonu — wszyscy mieli do mnie słuszne pretensje. Ratował mnie fakt, że przy wyznaczaniu na dyżur po-

wiedziałem staroście o moim złym samopoczuciu. Czułem się bardzo źle, męczyła mnie wysoka gorączka. Lekarza ani żadnych lekarstw nie było. Więźnia, który zmarł w wagonie, po prostu wyrzucono na zewnątrz. Nasze życie nikogo nie obchodziło. Sądziłem, że nie dojadę do celu, nie miałem już żadnych pragnień, żadnych marzeń, byłem słaby i zubożytniały na wszystko.

W nocy 21 lutego 1946 pociąg nagle zatrzymał się w szczerym polu, przykrytym grubą warstwą śniegu. Natychmiast wyładowano nas z wagonu. Po wyjściu na zewnątrz musieliśmy siedzieć na śniegu z rękoma do tyłu. Panował siarczysty mróz. Chory, wyczerpany, źle ubrany, nie widziałem przed sobą żadnej możliwości przetrwania w tych ciężkich warunkach północy. A jednak coś wzbudziło moje zainteresowanie. Nade mną, na niebie działały się prawdziwe cuda, przyciągające uwagę wszystkich siedzących, nawet tych umierających, bo i tacy byli wśród nas. Nigdy w życiu czegoś podobnego nie widziałem i nie wyobrażałem sobie, że istnieje tak urzekające zjawisko. Była gwiazdzista, mroźna, bezchmurna noc z piękną zorzą polarną, znaną mi jedynie z opisów książkowych. Ten piękny widok pozwolił mi na chwilę zapomnieć o stanie, w jakim się znajdowałem.

Kopalnia nr 6

Ruszyliśmy przed siebie otoczeni ze wszystkich stron konwojem. W różnych miejscach na horyzoncie widać było luny pochodzące od silnego oświetlenia, do jednej z nich zbliżyliśmy się z trudem powłócząc nogami w wysokim śniegu. Konwojenci zatrzymali nas przed oświetloną bramą, za którą widać było zasypane śniegiem baraki. Otworzono bramę, policzono nas i zaprowadzono do baraku znajdującego się pod grubą pokrywą śnieżną. Przekopany w śniegu tunel prowadził do drzwi wejściowych. Barak przedzielony był deskami na dwie części. Wzdłuż niego, po obu stronach znajdowały się piętrowe prycze z desek, bez sienników i pościeli. Na środku stała beczka po benzynie z rurą odprowadzoną przez dach. Palono w niej węglem kamiennym. W pobliżu beczki było gorąco, lecz kilka metrów od niej temperatura wynosiła już zero stopni. Byliśmy zmęczeni, więc chcieliśmy ułokować się szybko na pryczach i odpocząć. Zanim jednak to nastąpiło, z drugiej części baraku wtargnęły do nas przez przepierzenie jakieś typy, domagające się, abyśmy oddali im rzeczy mające jakąś wartość. Odgrażali się, że jeśli nie oddamy wszystkiego po dobroci, to i tak nam zabiorą. Była to grupa bandytów skazanych na obozy pracy za rozboje. Bandytów nie skazywano na katorgę, chyba że zamordowali przedstawiciela władzy, jak Piśmienny. Nasi niespodziewani goście przeprowadzili rewizję, zabrali to, co przypadło im do gustu i ulotnili się — znajdowali się w swoim żywiole.

Szybko zasnąłem kamiennym snem — w ubraniu, na gołych deskach górnej pryczy. Wcześniej rano przyszli nieznanymi ludźmi, by namawiać nas do pracy w kopalni, obiecywali dobre jedzenie i lepsze baraki. Nikt z nas nie znał warunków obozowych, bo mało kto wychodził wówczas z obozów żywy. Silnie zbudowani, zdrowi, otrzymujący paczki w więzieniach we Lwowie, zgłosili się do pracy w kopalni w nadziei polepszenia warunków życia. Ci, co się zgłosili, szybko na własnej skórze odczuli sprzeczność propagandowych haseł z praktyką — wszyscy ochotnicy wrócili po szesnastu godzinach zmęczeni i brudni. Nigdzie nie mieli możliwości umycia się. Przeklinali wszystko i wszystkich na świecie, zaklinając się, że nie zjadą więcej do kopalni. Władze obozowe nie przestrzegały żadnych przepisów bezpieczeństwa pracy, nie przeprowadzały żadnego szkolenia nowych pracowników, którzy nigdy nie widzieli kopalni i nie mieli zielonego pojęcia o tego typu pracy. Pierwsi ochotnicy nie mieli już odwrotu, bo na drugi dzień rano przyszli po nich *nariadczy*. Wpadli do baraku z krzykiem, budząc wszystkich, przy akompaniamencie wiązanek przekleństw. Pode mną, jakiś nieszczęśnik nakryty płaszczem nie wstał, więc zaczęli okładać go kijami, a gdy pomimo tego się nie podniósł, zerwali z niego płaszcz, a jego samego zrzucili na podłogę. Już nie żył. Nie był to przypadek odosobniony.

Trzeciego dnia przybyła komisja złożona z siedmiu osób: trzech kobiet i czterech mężczyzn. Kazano wszystkim rozebrać się do naga i zaczęło się badanie. Polegało ono na znanej tylko sowieckim władzom „metodzie tyłka”. Metoda to wyjątkowo prosta, po-

legająca na oglądaniu siedzeń, a ściślej mówiąc, na ocenianiu ich pulchności. Jeżeli poza skórą komisja dostrzegła coś jeszcze, osobnik stojący przed nią uważany był za zdrowego i nadawał się do każdej pracy; jeżeli zaś miał tylko kości pokryte skórą na tej szlachetnej części ciała, otrzymywał zwolnienie od pracy w kopalni i jako inwalida mógł być zatrudniony w obozie — takich określano mianem dystrofików. Oświecona komisja uznała mnie za inwalidę i w ten sposób znalazłem się w bloku przeznaczonym dla dystrofików. Nie różnił się on niczym od innych. Każdy z nas interesował się nowym miejscem pobytu i starał się zebrać o nim jak najwięcej danych. Dowiedziałem się, że jestem w obozie przy kopalni nr 6, w rejonie Workuty. Powoli poznawałem geografię okolic i historie znajdujących się tu więźniów. Na tym pustkowiu, za kołem podbiegunowym, niedaleko Oceanu Lodowatego i Uralu, więźniowie budowali i eksploatowali kopalnie węgla kamiennego. Każda kopalnia miała swój obóz liczący od trzech do dziesięciu tysięcy więźniów.

Lepsze rzeczy zostały więźniom odebrane, a pozostałe kazano dostosować do panującej w obozach „mody”. Musieliśmy powycinać kawałki materiału, długości około dwudziestu i szerokości około dziesięciu centymetrów, z tyłu, na plecach koszul, płaszczy i marynarek oraz na prawej nogawce spodni (powyżej kolana), a także z przodu na uszance. Na wycięte miejsca polecono naszyć płótno i wyraźnie na nim napisać przyporządkowane każdemu więźniowi oznaczenia, mające odąd zastąpić jego imię i nazwisko. W ten prosty sposób straciłem swoje personalia i stałem się pełnoprawnym katorżnikiem Ju-492. I niech mnie teraz ktoś znajdzie na tym świecie! Mogą spokojnie odpowiedzieć każdemu, kto by nas szukał po imieniu i nazwisku: nie ma takiego. Zacząłem nowe życie, z dala od cywilizacji, tam, gdzie obowiązywało tylko prawo pięści, prawo silniejszego, bezwzględne i sprytniejszego. Inwalidów zatrudniano dorywczo w tundrze lub na terenie obozu. Do baraku wchodziła „Wochra”*, ustawiła wszystkich w dwuszeręgu i wybierała według swojego uznania ludzi do wykonania zaplanowanej roboty. Nie było odwołania, nawet ciężko chory nie miał nic do powiedzenia.

Jako inwalidzi nie otrzymywaliśmy żadnej odzieży ani obuwia. Musiało nam wystarczyć to, w czym nas przywieźli, stąd też skutki silnego mrozu odczuwaliśmy dotkliwiej niż ci cieplej ubrani. Jedzenie również otrzymywaliśmy gorsze od pozostałych. Przeznaczono nam jeden z najgorszych kotłów.

Dobrze pamiętam pierwszą pracę przy czterdziestostopniowym mrozie. Ręce bez rękawic stały się szybko bezużyteczne. Łapcie na nogach jednak były lepsze od półbutów posiadanych przez niektórych więźniów. Moje zadanie polegało na przynoszeniu desek z miejsca oddalonego o kilometr od obozu. Początkowo wydawało mi się to niewykonalne; byłem pewien, że wcześniej zamienię się w bryłę lodu. Okazało się jednak, że nie tak łatwo jest zamarznąć. Najpierw ofiara odmraża sobie ręce, uszy, nos, policzki, nogi, a dopiero później, przy bezruchu, zamarza. Żołnierze z konwoju nie pozwalali nam więc na bezruch. Nie należało pić surowej wody. Po gotowaną wodę chodziliśmy dwa razy dziennie do tak zwanej *kipiatilki*. Było to specjalne pomieszczenie, w którym inwalidzi gotowali wodę dla całego obozu. Wody do mycia w pierwszych latach nie mieliśmy. Kto odczuwał potrzebę, mył się śniegiem. Mydła nie dawali nam nigdy. W barakach inwali-

* Skróć od *Wojeniziruwannaja ochrana* (straż zbrojna).

dów wszyscy mieli wszy — wieczorem po kolacji wyłapywaliśmy je i zabijaliśmy. Był to rytuał ogólnie przestrzegany.

Po kilku dniach odnalazł mnie w obozie Franciszek Sitnik „Orland”. Nareszcie spotkałem bliską mi osobę, bratnią duszę. Do Workuty przywieźli go na początku października 1945. Zdążył się już zapoznać ze zwyczajami panującymi w obozie, a z powodu ciężkiej pracy w kopalni, wyczerpania i niedożywienia, zachorował na dyzenterię, która wysyłała na tamten świat wielu więźniów. Przebywał pewien czas w baraku dystrofików, a gdy wyzdrowiał, został wypisany z powrotem do kopalni. Gdy się spotkaliśmy byłem chory, męczyły mnie dyzenteria i gorączka, mój stan z dnia na dzień się pogarszał. „Orland” z trudem mnie rozpoznał. Robił wszystko, aby pomóc. Przynosił mi zwęglony chleb, który okazał się najskuteczniejszym lekiem. Stopniowo wracało mi zdrowie, a z nim apetyt i nadzieja na przeżycie. Cały problem polegał na tym, że nikt nie mógł zaspokoić głodu obozowym jedzeniem. „Orland” otrzymywał dodatkowe porcje z kuchni za napisy i rysunki, które wykonywał dzięki swoim zdolnościom plastycznym. Część z tych pozyskanych racji przynosił mi do baraku. W miarę polepszania się mojej kondycji rosła chęć do działania. Zastanawiałem się, w jaki sposób mógłbym zarobić na dodatkowe jedzenie, bez którego szanse na przeżycie były znikome.

Kierownikiem części szpitalnej obozu był Żyd, bardzo inteligentny człowiek. Zainteresował się mną, a gdy dowiedział się, że jestem Polakiem, robił wszystko, bym jak najdłużej pozostał w baraku inwalidów. Powiedziałem mu, że w odpowiednich warunkach mógłbym wykonać dla niego prostą maszynę do pisania. Przede wszystkim potrzebne mi były kości na klawisze maszyny. Może udałoby się ją z czasem wykonać — lat przede mną było wystarczająco dużo. Mówiąc szczerze, nie traktowałem tego poważnie, chodziło jedynie o przetrwanie pierwszej długiej zimy, a był dopiero marzec. Udało się — nie zostałem wyznaczony do żadnej pracy, otrzymałem kości i dodatkową zupę. Przygotowywałem czcionki oraz klawisze i przy tej pracy szybko minęły mi dwa miesiące. Do pomocy dobrałem sobie jednego Rosjanina, jak mówią, człowieka „złotą rączkę”. Było takich dużo, niezależnie od narodowości.

Zastępcą kierownika szpitala była obywatelka sowiecka pochodzenia polskiego, Skowrońska, która bardzo nie lubiła swojego przełożonego. Wkrótce władze przeniosły owego Żyda do innego obozu, albo pozwoliły mu wyjechać z za koła podbiegunowego, i kierownikiem służby zdrowia w obozie przy naszej kopalni została właśnie Skowrońska. Pierwszym jej krokiem było wyznaczenie mnie, „pupilka” dawnego kierownictwa, do pracy na powierzchni. Otrzymałem stare watowane ciuchy i z pewnym Estończykiem przenosiłem kamienie z jednej sterty na drugą. Dlaczego je przenosiliśmy, nikt nie wiedział ani wówczas, ani potem, po prostu kazali i już. Ton pracy nadawał Estończyk, równy chłop, jak wszyscy znani mi jego ziomkowie. Stale powtarzał: „*Przed nami dwadzieścia lat i jeżeli będziemy się spieszyć, może zabraknąć pracy*”. Miał we mnie pojętego ucznia. Prawdę mówiąc, na wydajną, intensywną pracę nie mieliśmy sił.

Poznałem w obozie kilku rodaków z Wilna, a wśród nich Longina Blinstruba, Kazimierza Cisa, Teodora Pietryka, Anatola Rymaszewskiego i Pawła Świetlikowskiego. Przywieziono ich do Workuty w czwartym kwartale 1945. Gdy wyznaczono mnie do pracy na powierzchni, na mrozie, starali się o umieszczenie mnie w warsztacie mechanicznym, lecz przez jakieś nieporozumienie dostałem się do brygady remontowo-montażo-

wej, pracującej stale na dole kopalni. Byli w niej ludzie silnie zbudowani, którzy często musieli przenosić i przeciągać duże ciężary. Praca ta była ciężka i wymagała siły zdecydowanie większej niż moja. Wpadłem z deszczu pod rynnę. Już pierwszego dnia stwierdziłem, że nie podołam. Mimo szczerych chęci nie mogłem ciągnąć powierzonego mi ciężaru, za co zostałem pobity, bo w kopalni posługiwano się chętnie tym argumentem, aby zmusić do pracy. Kierowników brygad często specjalnie dobierano spośród kryminalistów, a ci otrzymywali lepsze jedzenie za wyciskanie ostatnich potów z pracujących. Jeżeli chciałem kiedykolwiek wrócić do kraju, wiedziałem jedno — nie mogę pozostać dłużej w tej brygadzie.

Kierownikiem warsztatu był obywatel sowiecki polskiego pochodzenia, Wróblewski. Dobrze mówił po polsku, miał około pięćdziesiątki. Otrzymał dwadzieścia lat katorgi za propagandę. Przyniósł mi pomoc, jeżeli wykażę się umiejętnością pracy na tokarce, bo tylko tam miał wolne miejsce. O przyjęciu mnie na to stanowisko miał zadecydować egzamin praktyczny. Będąc studentem, w czasie praktyki pracowałem dwa miesiące na tokarce, a następne dwa na frezarce. Zawsze chętnie wykonywałem wszystkie prace fizyczne na maszynach, w nadziei, że kiedyś takie umiejętności mogą mi się przydać. Egzamin zdałem może nie najlepiej, ale wystarczająco dobrze, aby zostać przyjętym na stanowisko zapasowego tokarza. Gdy był komplet tokarzy, dawano mi różne prace: bywałem ślusarzem, pomocnikiem kowala, wiertaczem, sprzętaczem. Moim najczęstszym zajęciem było nacinanie narzynkami gwintu na śrubach. Narzędzia były tępe, a plan wynosił trzydzieści sztuk na zmianę. Nacinanie wymagało dużego wysiłku, więc pot lał się ze mnie strumieniami. Minęło ładnych kilkanaście dni, zanim zacząłem wykonywać plan, a więc otrzymywać lepsze jedzenie i większe porcje.

Na terenie kopalni znajdowała się łaźnia i można było się kąpać. Inwalidzi chodzili do tej łaźni najwyżej raz w miesiącu. Była to okazja do pozbycia się wszy. Barak warsztatowców był najczystszy. Gdyby znaleźli u mnie wszy, wybuchłaby poważna awantura.

Z jedzeniem sprawa nie była prosta. W sowieckich obozach wyróżniano kilka kotłów, to znaczy zestawów, różniących się pod względem ilości i jakości pożywienia. Najgorszy był kocioł *sztrafnoj*, czyli karny — otrzymywali go skazani na izolator i *bur*. Były to odosobnione miejsca w obozie, gdzie trzymano więźniów odmawiających pracy w kopalni i naruszających dyscyplinę. Istniały również obozy karne, w których rej wodził najgorszy element świata przestępczego. Napawały one strachem wszystkich katorżników, zwłaszcza więźniów politycznych. Więźniowie tych wymyślonych na potrzeby reżimu miejsc otrzymywali przeważnie karne kotły z najmniejszymi porcjami chleba, a w izolatorze dostawali tylko zupę.

Najwięcej wydawano drugich i trzecich zestawów (kotłów). Były zbyt ubogie, aby żyć, ale wystarczające, aby nie umrzeć z głodu — zezwalały na nędzną roślinność i utratę zdrowia na zawsze. Otrzymywali je więźniowie nie wykonujący planów i *dniewalni* — inwalidzi pracujący w barakach w charakterze porządkowych. *Dniewalni* palili w piecach dwadzieścia cztery godziny na dobę, nosili wodę, suszyli odzież i myli baraki.

Następnych kilka zestawów było przeznaczonych dla więźniów wykonujących plan. W zależności od przekroczenia planu i miejsca pracy, mogli otrzymać czwarty, piąty lub szósty kocioł. Pracownik na powierzchni nie mógł marzyć o szóstym zestawie, nawet gdyby sobie urobił ręce po łokcie, choć praca na powierzchni, na trzaskającym mrozie,

była nierzadko cięższa niż w kopalni. Szósty kocioł z reguły otrzymywali brygadziści i niższe kierownictwo. Zestawy różniły się wielkością porcji otrzymywanego chleba: od 400 do 1100 gramów. Chleb był bardzo ciężki, źle wypieczony, wymieszany z dużą ilością wody. Również pozostałe dania różniły się wagą o 10–30 gramów, co przy braku tłuszczów i ciągłym niedożywieniu, dawało się odczuć. Do drugiego dania dodawano naparstek jakiegos oleju, ale tu też istniały różnice od 5 do 15 gramów, zależnie od zestawu. Do odmierzania oleju wykonywano specjalne naparstki z cynowej blachy, osadzone na długiej ręczce. Za taki naparstek dostawało się dodatkowy obiad. Zupa nigdy nie była „zepsuta” żadnym tłuszczem, często była niesłona i we wszystkich kotłach była taka sama, z mniejszą lub większą ilością ziaren kaszy, w zależności od tego, ile porcji wydano uprzywilejowanym. Drugie danie składało się z tej samej kaszy i przypominało gęstą zupę, trzecie zaś stanowiła zapiekanka z tejże kaszy w postaci 20–30 gramów ciastka. Do drugiego dania dodawano kawałek ryby o wadze 40–70 gramów, lecz gorsze kotły często jej nie otrzymywały. W czasie świąt państwowych zamiast ryby dawano czasami kawałek jakiegos mięsa. Nie było to żadną regułą, lecz w niektórych obozach się zdarzało.

Przez dwa lata nie widzieliśmy ziemniaków. Pamiętam pierwsze ziemniaki przywiezione w październiku 1947. Przy trzydziestostopniowym mrozie wyładowano je na ogromną stertę, a później, zamrożnięte na kamień, dostarczono do ciepłych pomieszczeń kuchni, w których natychmiast zaczęły fermentować. Takie sfermentowane, brudne ziemniaki wrzucano do kotłów i gotowano z nich cuchnącą zupę. Pomimo uczucia głodu, nie mogłem jej jeść. Na nasze szczęście, tych ziemniaków nie przywieziono zbyt dużo. Sądzę, że świny nie ruszyłyby jedzenia, które przez wiele lat dostawaliśmy w obozach.

W lipcu i sierpniu, a często jeszcze we wrześniu, przywozili do obozu gatunek rzepy rosnącej około tysiąca kilometrów na południe od Workuty, nazywanej turnepsem. Karmiono nas nią przez blisko trzy miesiące — z liści gotowano zupę, a z korzenia drugie i trzecie danie. Niemcy w obozie w Lublinie dawali czasami zupę gotowaną z liści buraków pastewnych, a tutaj w klimacie polarnym, prawie przez trzy miesiące otrzymywaliśmy trzy dania z turnepsu. Nawet najlepsze jedzenie zbrzydłoby, gdyby było podawane stale przez tak długi czas, a cóż dopiero złe. Mimo to, gdy w obozie pewnego razu pojawił się samochód załadowany turnepsem, około tysiąca więźniów oczekujących przy bramie na wyjście do kopalni rzuciło się na niego. Z góry padały na nich razy kijów, kilku więźniów dostało się pod koła ciężarówki. Byłem wśród czekających przed bramą i obserwowałem, do czego prowadzi głód odczuwany przez lata.

Specjalny zestaw przeznaczano dla więźniów zdrowych, w pojęciu pilnujących nas władz, ale wyczerpanych pracą w kopalni lub po odniesieniu urazów. Umieszczano ich w oddzielnych barakach, w tak zwanych OP*, gdzie otrzymywali lepsze jedzenie. Niektórzy nieszczęśnicy stale krążyli między kopalnią i OP, dopóki nie stracili całkowicie zdrowia i w końcu życia. Na ich miejsce jednak przywożono ciągle nowych więźniów.

W praktyce istniał jeszcze jeden kocioł, o nieznanym składzie. Korzystali z niego przywódcy kryminalistów. Mieli swoich adiutantów, dbających o ich wygodę i pełen żołądek, którzy chodzili do kuchni po najlepsze kąski. Biada kucharzowi, który im się nie

* Skrót od *ozdrowotwielnyj punkt*.

podporządkował — zostawał ciężko pobity lub ginął w zagadkowych okolicznościach. Władze tolerowały taki stan rzeczy.

Na specjalne podkreślenie zasługuje system wyróżniający arystokrację więzienną. Pomimo że działało się to w państwie „równości”, to nawet w obozach, gdzie tym bardziej wszyscy powinni być równi, istniały różne klasy. Do obozowej arystokracji dostawał się każdy, kto był silny, skutecznie pędził innych do pracy i biciem wyciskał z nich ostatnie soki. Do tej kasty uprzywilejowanych należało wielu bandytów, ludzi wyzutych z uczuć, nie znających litości. Rzadko zdarzało się, aby znalazły się w niej jednostki wartościowe. Czasami byli to więźniowie zajmujący, dzięki posiadanej wiedzy, wyższe funkcje w hierarchii kopalnianej, przeważnie ludzie starsi. Cała arystokracja otrzymywała najlepsze jedzenie, którego nie dostawał nikt inny. Nie wystarczało im to i dodatkowo pobierali haracz od swoich podwładnych pracowników-katorżników w postaci rzeczy i produktów pochodzących z paczek od rodzin. Zresztą w tym bezprawiu więźniowie sami przynosili okup swoim kierownikom, często za lepsze miejsce pracy. Tracił zawsze ten, który nie mógł już płacić lub który nigdy nie miał takiej możliwości. Niektórzy, aby zdobyć lepszą pracę zabijali innych skazańców. Życie więźniów w sowieckich obozach było niewiele warte, stanowiło wartość mniejszą niż w czasie wojny, więc codziennie ginęło od piętnastu do trzydziestu osób. Począwszy od 1948 roku liczba ta trochę zmalała. Umarłych, zupełnie nagich, z przywiązaną do dużego palca u nogi deseczką z wypisanym numerem, wynoszono za teren obozu do tundry i rzucono w śnieg lub, jeżeli grabarze się nie lenili, zakopywano. W pierwszych latach, do końca 1947 roku, przy przenoszeniu nieboszczyka przez wartownię, wartownik miał obowiązek rozbić mu głowę, co dawało pewność, że nieboszczyk nie wstanie w przypadku pozorowania śmierci.

Obozy za kołem podbiegunowym były jedynym miejscem w Europie, dokąd nie docierała cywilizacja. Nie używaliśmy papieru ani atramentu, mimo że każdy obóz i kopalnia sporządzały tysiące sprawozdań. Sporządzano je na papierze z worków po cemente. W biurach mieli jakiś papier, lecz w ilości ledwo wystarczającej na potrzeby administracji. Atrament wykonywano własnym sumptem z takich materiałów, jak sadza czy cukier. Robiono wszystko, by nie stracić drogocennej posady w biurze, zdobytej często za jedzenie.

Były to silne argumenty, stale pobudzające umysły do sporządzania wspaniałych sprawozdań. Stąd też dziedzina administracji papierkowej biła rekordy wydajności. Wszystkich pracujących na lepszych stanowiskach nazywano *pidurkami**. Założenia władzy były jednoznaczne: każdy skazany na katorgę mógł być zatrudniony tylko przy pracy fizycznej i to możliwie najcięższej. Całe szczęście, że praktyka w tym systemie prawie nigdy nie pokrywała się z teorią. Katorżnicy pracujący w biurach byli wykazywani jako pracownicy fizyczni.

Do kopalni schodziło się po pochylni na głębokość trzystu metrów. Była wprawdzie klatka, lecz tylko do opuszczania materiałów, maszyn, urządzeń i przedstawicieli władzy. Węgiel wydobywano skibami. Jako ślusarz często musiałem schodzić i wychodzić z narzędziami, a czasami z pełnym wiadrem oleju. Początkowo było mi bardzo ciężko, lecz do wszystkiego można się przyzwyczaić.

* Od słowa *pidurak* (przygłup).

Do końca 1946 roku nie miałem pościeli, siennika i koca, więc odnosiłem wrażenie, a pomagały mi w tym doświadczenia więzienne, że te przedmioty zostały w ZSRR zlikwidowane jako wymysł kapitalizmu. Spaliśmy w tym, w czym pracowaliśmy. Pod koniec 1946 roku najbardziej zasłużonym w oczach obozowej władzy przydzielono kocy, lecz szczęśliwcy mieli dużo kłopotu z upilnowaniem swojego skarbu. Niektórzy przybijali kocy do pryczy, jednak ten prymitywny sposób nie zabezpieczał przed kradzieżą.

Naczynia w obozowej stołówce zaczęto nam wydawać w drugiej połowie 1946 roku — były to miseczki z duraluminium, przypisane do majątku kuchni. Łyżek nie dano nam nigdy, zaś noże i widelce były zbędne, bo cóż niby mielibyśmy nimi jeść. Misek ze stołówek nie można było wynosić, a drzwi stale pilnował jakiś silny drab. W obozie powstał przemysł produkujący łyżki, naczynia, kubki i kociołki. Noży nie wolno było posiadać, bo za to groził karcer albo *bur*. Łyżki początkowo wykonywano z drewna, potem z duraluminium. Wyrabiających było dużo, a nabywców, którzy kupowali wyroby za jedzenie jeszcze więcej. Łyżek należało dobrze pilnować, bo stanowiły przedmioty ogólnego pożądania i nagminnie je kradziono. Były w cenie i można było uzyskać za nie zupę, chleb, zapiekankę, rękawiczki, a nawet skręta. Handel był tylko wymienny, pieniędzy nie było, a jeżeli ktoś je miał, nie mógł nic za nie kupić. Najwyższą cenę miał papier gazetowy; przy odbieraniu paczek przysyłanych przez rodziny musiano dozorcóm wprost wyrwać gazety, ponieważ oni również odczuwali brak wielu rzeczy i zabierali z paczek, co najcenniejsze. Tytoń był w cenie, choć był mniej wart niż gazeta. Dla zdobycia najwarteściowszych przedmiotów potrafiono ciężko pobić, a nawet zabić. Wielu więźniów wyprawiono na tamten świat przez gazetę lub tytoń. Nikt nie umiał odmówić sobie tej jedynej przyjemności — palenia i wielu oddawało za to jedzenie, które i tak było podłe, i nie zaspokajało wystarczająco głodu. Kto oddawał część jedzenia za papierosy, kopał sobie grób, jednak namiętni palacze woleli śmierć niż życie bez skręta. W takim środowisku i w takich warunkach mijały dni każdego z nas.

W warsztacie mechanicznym było o tyle dobrze, że nie musieliśmy schodzić do kopalni, ale jedzenie było gorsze — w najlepszym przypadku piąty kocioł. Pracowałem na zmiany. Robota w ruchu ciągłym, trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku, dzień i noc. Początkowo nie mieliśmy żadnych wolnych dni, później — co dziesiąty. Wstawało się dwie godziny przed rozpoczęciem zmiany. Odległość między wartownią obozu a kopalnią wynosiła około sześciuset metrów. Te dwie godziny były potrzebne na ubranie się, pójście do stołówki, zjedzenie posiłku, przejście do wartowni, ustawienie się przed nią brygadami, liczenie przez brygadzystę, *nariadczi*ka, wyczytanie i liczenie przez wartownika, przejście przez bramę, ustawienie się za nią, czekanie aż wszyscy przejdą, przejście z rękoma z tyłu tych sześciuset metrów, zatrzymanie się przed wartownią kopalni, ponowne liczenie przez wartownika i przejście na teren kopalni. Przeważnie te przejścia tam i z powrotem, razem z pracą w kopalni, trwały od dwunastu do szesnastu godzin.

Rano i wieczorem przeprowadzano apel w całym obozie. Wszyscy żywi musieli stanąć w dwuszeregu, by starosta każdego baraku mógł ich policzyć, i czekać na przybycie enkawudzysty, przed którym meldował stan obecnych i pracujących. Wówczas następowało liczenie przez sprawdzającego. W czasie trwania tej apelowej ceremonii w obozie nie było żadnego ruchu. Tragedią były dość częste pomyłki w liczeniu, bo wówczas apel przedłużał się nawet do kilku godzin. Źle było, gdy pomylili się na minus, bo ozna-

czało to ucieczkę. O wiele gorzej, gdy doliczyli się o jednego lub kilku za dużo, gdyż dla służb, które nas pilnowały oznaczało to, że do obozu dostał się szpieg, czego skutki były trudne do przewidzenia. W barakach przeprowadzano rewizje nawet do trzech razy dziennie.

Każda brygada po powrocie z pracy napotykała określone trudności — były one po prostu elementem życia sowieckiego więźnia. Brygadzysta dawał hasło do zebrania się przed bramą wartowni kopalni, gdzie musiały się stawić wszystkie brygady danej zmiany, liczącej do tysiąca dusz. Najpóźniej przychodziły brygady z kopalni, szczególnie wtedy, gdy nie wykonały planu. Musieliśmy wszyscy czekać przed bramą na przyjsię ostatnich osób, bez względu na to, czy padał śnieg, deszcz, szalała zawieja lub dokuczał trzaskający mróz. Często bito tych, którzy przychodzili ostatni, pomimo że byli niewinni. Od momentu zgłoszenia się przy wartowni ostatniej brygady, dalszy rozwój wypadków zależał już tylko od dobrej woli enkawudzystów z konwoju. Najczęściej tej dobrej woli brakowało i konwój wychodził do nas po dziesięciu, a nawet trzydziestu minutach. Znaliśmy osoby z konwoju i wiedzieliśmy, którzy z nich będą trzymać nas dłużej, a którzy zabiorą bez żadnej zwłoki, bo drzemią w nich jakieś iskierki ludzkich uczuć. Po otworzeniu bramy zaczynała się ta sama procedura: przeglądanie, liczenie, mylenie się przy tym liczeniu i przepuszczanie. Czasami urządzano nam dodatkowe przedstawienie, polegające na kładzeniu wszystkich na śniegu na pięć do dziesięciu minut. Uczestniczyłem w epizodzie, podczas którego jeden z konwojentów, po położeniu nas na śniegu, oddał automat drugiemu i zaczął okładać leżących kijem po plecach.

W początkowym okresie nie miałem rękawic i przy silnych mrozach nie mogłem wytrzymać przemarszu między wartowniami z rękami do tyłu. Do marszu ustawiali nas ósemkami. Zawsze trzymałem się środka, żeby być mniej widocznym i móc trzymać ręce z przodu, a dłonie włożyć do rękawów *buszlata*. Pewnego razu jeden z konwojentów zauważył to i nie przepuścił mnie przez bramę. Gdy wszyscy przeszli, musiałem cztery razy przejść odcinek między wartowniami, trzymając ręce z tyłu. Był siarczysty mróz i już po drugim przejściu tego odcinka przestałem czuć dłonie. Leczenie ich trwało bardzo długo.

W końcu, po znalezieniu się w obozie, kierowaliśmy się wprost do stołówki, by w niej oczekiwać na jedzenie. Brygada musiała być w komplecie, bo pojedynczym osobom posiłków nie wydawano. Po powrocie ze stołówki do baraku każdy kładł się spać, chyba że trzeba było pójść na *udarnik*, czyli czyn społeczny, obowiązujący nawet w obozach. Polegał on na przerzucaniu z miejsca na miejsce śniegu albo wynoszeniu go poza baraki. Na terenie kopalni *udarnik* polegał na przeciąganiu, przy udziale wielu osób, różnych maszyn i urządzeń albo na ładowaniu węgla na taśmociągi, które z kolei transportowały go do wagonów.

Z własnej inicjatywy prowadziliśmy walkę z pluskwami, których co jakiś czas było zatręśnienie. Przed wyjściem do pracy wynosiliśmy wszystko z baraku i lampami benzynowymi wypalaliśmy każdą szczelinę, a na końcu wszystko bieliliśmy wapnem. Po powrocie z pracy każdy wnosił swoje rzeczy. Robiliśmy to tak długo, aż nikt nie zauważył pluskwy. Po takiej akcji mieliśmy na kilka miesięcy spokój z tymi insektami.

Oslabiony, zmęczony pracą więzień pragnął się tylko najeść i wyspać. Sen stale przerywano apelami, rewizjami i kontrolami prowadzonymi przez NKWD. Przeszka-

dzali wychodzący i powracający z pracy na innych zmianach, ale najgorsze były częste pomyłki strażników przy liczeniu wypuszczanych więźniów. W takim wypadku kontrola wyglądała następująco: należało zejść z pryczy, ustawić się w dwuszeregu, czekać aż policzą i wejść z powrotem na swoje miejsce. Powtarzano to co godzinę, aż znaleziono przyczynę pomyłki. Nieprzyjemne były też *szmony*, czyli rewizje. Strażnicy wpadali w nocy z wielkim krzykiem: „*Podnimajsia!*” (Wstawać!), które działało na mnie jak niemieckie: „*Raus, schnell!*”. Po zejściu z prycz, zaczynało się buszowanie, wszystko fruwało po całym baraku, a my musieliśmy stać w dwuszeregu i się temu przyglądać. Po przewróceniu wszystkiego do góry nogami strażnicy wychodzili, ale tylko po to, aby gdy doprowadzimy już barak do porządku i zaśniemy, zjawić się ponownie i rozrzucić wszystko po raz drugi.

Wojska ochraniające obozy należały do NKWD. Każdy żołnierz musiał się wykazać. Właśnie dlatego, gdy podczas rewizji nie mogli znaleźć czegoś, co wskazywałoby na naruszenie prawa, a wykrzyki przestępstwa byłyby dowodem ich czujności i gorliwości, podrzucali nam wykonane z brzeszczotów noże, które czasami na naszych oczach wymowali ze swoich kieszeni, twierdząc, że znaleźli je na przeszukiwanej pryczy. Tęgo, który na niej spał, a często również sąsiada, zabierali do karceru, a do wyższych władz mógł pójść meldunek o przygotowywanej przez więźniów ucieczce, w porę udaremnionej przez czujne służby NKWD.

Opierupołnomocennyj^{*}, czyli polityczny śledczy, wzywał więźniów systematycznie na przesłuchania. Sondował opinie i nasze nastawienie do ustroju. Władze obozowe miały swoich donosicieli, zwerbowanych spośród rzeszy stale głodnych więźniów. Taki donosiciel był w każdym baraku. Często, dla podlizania się władzy i zdobycia dodatkowych korzyści, podlejsi z nich rzucali fałszywe oskarżenia na innych katorżników. Prawda nie była wymagana, potrzebny był tylko donos. Na przesłuchania brali dużo osób i nigdy nie wiedzieliśmy, kogo udało im się pozyskać. Polacy byli poza podejrzeniami, inne narodowości nam ufały.

W czasie przemarszu z *zony* obozu do kopalni, i z powrotem, nikt nie mógł wychylić się z kolumny, bo uważano to za ucieczkę i takiego nieszczęśnika natychmiast zabijano. Konwojent, który zastrzelił więźnia otrzymywał pochwałę, nagrodę i odznaczenie. W pierwszych latach konwojujący prowokowali więźniów do wyjścia z kolumny. Jeden z nich rzucał niedopałek papierosa i zachęcał skazańców do podniesienia go, podczas gdy inny żołnierz wyczekiwał już ochotnika i zabijał go, gdy ten wychylił się z kolumny. Miało miejsce kilka takich ohydnych mordów. Każdego zastrzelonego kładli obok trasy naszego przemarszu — musiał leżeć tam trzy doby. Zwłoki miały przekonać każdego, że wszelka próba ucieczki skończy się śmiercią. Z obozów zresztą niemal nie uciekano — zdarzało się to wyjątkowo rzadko. Wyczerpanie, mróz, śnieg, odległości i brak żywności odstraszały każdego śmiałka. Poza tym sowieckie władze wyznaczały duże nagrody za każdego uciekającego więźnia, zdrajcę ojczyzny, dostarczonego żywego lub martwego. W tundrze czekała tylko śmierć. Ci, którzy jej pragnęli, celowo oddalali się od kolumny, wiedząc, że na oczach wszystkich będą zastrzeleni.

W lipcu 1947 byłem pomocnikiem kowala. Na pierwszej zmianie wszedł do kuźni Kałmuk z żywym szczurem w ręku. Nadział go na pręt i zaczął przypiekać na palenisku,

^{*} Skrót od *opieratywnyj upołnomocennyj* (oficer operacyjny).

a następnie, jeszcze półżywego, zjadł razem z wnętrznościami. Po zakończeniu zmiany i po przejściu przez bramę kopalni, Kałmuk odłączył się od kolumny, kierując się w dal tundry. Zastrzelili go na oczach wszystkich, bez żadnego uprzedzenia. Może był nienormalny, a może ten sposób śmierci, jako samobójca, uważał za najlepszy. Leżał przy naszej trasie trzy doby.

W drugim kwartale 1947 roku otrzymałem pracę w narzędziowni, w której pracował doskonale fachowiec ze wschodniej Ukrainy, Kozuch. Dużo się od niego nauczyłem. Zdobyłem nowy zawód i wykonywałem kombinierki, narzynki i pilniki. Wszystkie te narzędzia robiliśmy przeważnie sami, bo rzadko je dostarczano z zewnątrz. Na nocnej zmianie mogłem wykonywać lewe prace, za które otrzymywałem dodatkowe jedzenie, a nawet rękawice. Robiłem papierośnice, rondelki, łyżki, wszystko z duraluminium, którego nawieźli do kopalni nie wiadomo skąd i po co. Za te wyroby dostawałem od czasu do czasu czosnek i cebulę, będące w obozie jedynym źródłem potrzebnych organizmowi witamin.

W końcu czerwca 1947 pracowałem w narzędziowni z sowieckim Ukraincem o nazwisku Timoszenko. Na nocnej zmianie musieliśmy schodzić do kopalni, aby usuwać awarie maszyn wrębowych. Pewnego razu, przed pójściem do pracy Timoszenko opowiadał w baraku swój sen i twierdził, że ktoś z jego rodziny umrze. W tym dniu, w przypadku konieczności usuwania awarii, kolejność przypadła na niego. Około północy zawiadomiono nas o awarii wrębiarki. Przyjmując telefon, umówiłem Timoszenkę z dyżurnym ślusarzem, Litwinem, w rozdzielni na dole kopalni. Schodzenie trwało prawdopodobnie długo, bo ślusarz dołowy nie czekał i udał się na miejsce awarii przy piątej ścianie, prosząc dyżurnego rozdzielni, aby skierował tam ślusarza, gdy ten tylko się zjawi. Timoszenko poszedł we wskazanym kierunku. Rano, po skończonej zmianie, nie przybył na wartownię. Musieliśmy na niego czekać. Oczekiwanie przedłużało się i wszyscy zaczęli mu złorzeczyć. Po kilku godzinach władze zdecydowały odprowadzić do *zony* wszystkie brygady z wyjątkiem naszej, uważając, że Ukrainiec uciekł. Wróciliśmy do warsztatu i czekaliśmy, aż zaginiony się znajdzie. Południe — Timoszenki nie ma. Rozpoczęto intensywne poszukiwania na dole kopalni. Zaangażowali się w to więźniowie z brygad remontowo-montażowych, najlepiej znający wyrobiska. Pod wieczór zaprowadzili naszą brygadę do obozu bez jednego więźnia. Na poszukiwanie skierowali oddziały pomocnicze z aparatami ratunkowymi. Znaleziono go dopiero trzeciego dnia rano. Był martwy. Wszedł do wyrobiska i zatrzał się metanem. Nie wiedział, że nie wolno wchodzić do wyrobisk zakrzyżowanych, nie wiedział, że idąc do góry, znajdzie się w strefie lżejszego od powietrza metanu. Nikt go tego nie uczył, nie przeszedł żadnego szkolenia. Po wywiezieniu na górę trupa Timoszenki, nasza brygada zabrała go ze sobą do *zony* obozu. Nie mieliśmy trudności z przejściem, bo dla pilnujących nas władz nie miało znaczenia, czy w brygadzie byli żywi, czy umarli — najważniejsze było, aby stan się zgadzał. W kopalni ludzie ginęli codziennie, zdarzało się nawet, że kryminaliści wieszali politycznych na stemplach.

W latach 1945–49 ludzie w obozach padali jak muchy. Przestrzenie sowieckiego imperium doskonale nadawały się do ukrycia każdej liczby więźniów i tylko Moskwa wiedziała, gdzie ginęli ludzie. W obozach siedzieli przedstawiciele wielu narodowości, obywatele wolnych narodów. Byli Polacy, Litwini, Estończycy, Niemcy, Rumuni, Czesi,

Ukraińcy, Gruzini, Węgrzy, Chińczycy, Japończycy, ale również Francuzi, Anglicy i Amerykanie. Jeden Amerykanin siedział ze mną w obozie z wyrokiem dwudziestu lat. Jako zwolennik ustroju komunistycznego wyjechał na kilka lat przed 1939 rokiem do ZSRR. Początkowo dobrze mu się powodziło, bo redagował gdzieś artykuły o okropnościach ustroju w USA. Gdy zaczęła się wojna, został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa, bo według sowieckich władz bezpieczeństwa nikt dobrowolnie nie osiedlał się w ZSRR. Niektórzy uczyli się od niego w obozie języka angielskiego. Ślusarz maszyny wyciągowej w kopalni, Polak, również uciekł przed wojną do Związku Radzieckiego, gdzie spotkał go los identyczny, jak Amerykanina.

Głównym mechanikiem naszej kopalni był Rosjanin Golikow, dawny trockista, za co odsiedział piętnaście lat w obozie. Obecnie był już wolny. Pewnego razu podczas nocnej zmiany przyszedł do narzędziowni. Przyglądał się mojej pracy i w pewnym momencie zapytał, gdzie nauczyłem się tak fachowo wykonywać narzędzia. Odpowiedziałem, że tutaj, ale przyszło mi to tym łatwiej, że mam wyższe wykształcenie techniczne. Zainteresowało go to i zaczął przychodzić częściej, by prowadzić ze mną dyskusje na różne tematy. Interesowało go, skąd jestem, za co siedzę, jak wyglądało życie w Polsce, a również, czy umiem konstruować maszyny. Sam też opowiadał o swoich przeżyciach i za co wsadzają w ZSRR. Miał ciekawe podejście do tych spraw. Przekonywał mnie, że w ich ustroju nie trzeba być jego przeciwnikiem, aby zarobić sobie na piętnaście czy dwadzieścia lat „bezpłatnego kurortu”; wystarczy być sympatykiem lub zwolennikiem jakiejś osoby urzędowej, która popadła w niełaskę. Zbiorowa odpowiedzialność za przekonania i znajomości... Golikow zaproponował mi zaprojektowanie i wykonanie stołowej wiertarki z *buryłki* (elektrycznej wiertarki do wiercenia otworów strzelniczych w węglu). Propozycja była interesująca, a rzecz prosta i łatwa do wykonania. Przystąpiłem z zapałem do jej realizacji i po miesiącu wiertarka była gotowa. Nieźle pracowała, wierciła otwory do średnicy dziesięciu milimetrów.

W kopalni stale ginęli ludzie. W 1946 roku władze celowo wydawały górnikom przed zejściem do kopalni solone śledzie z beczki. Głodni górnicy zjadali je natychmiast, nie bacząc na skutki. Słony śledź wywoływał pragnienie, które zaspokajano pijąc szkodliwą, kopalnianą wodę. Chorzy szli do szpitala i tam umierali na krwawą biegunkę, dyzenterię. W ten prosty sposób uśmiercono wielu więźniów, na których miejsce przybywali stale nowi. Wielu ginęło z powodu nieszczęśliwych wypadków. W pierwszych latach w kopalni pracowali ludzie bez żadnej wiedzy górniczej, tak fizyczni, jak i nadzór. Poza tym byli słabi, głodni, zniedołężniali do życia. Rodacy pracujący na dole mieli popękane dłonie, które krwawiły przez dłuższy czas. Na takie rany nikt nie zwracał uwagi. Z biegiem czasu skóra stawała się twarda jak podeszwa.

Ludzie ginęli również dlatego, że chcieli ginąć, po prostu popełniali samobójstwa. Byli również mordowani przez innych. Nie minę się z prawdą, jeżeli stwierdzę, że sowieckie obozy były obozami zagłady — tego nie ukrywali nawet pracownicy NKWD, często przypominający nam, że przywieziono nas po to, abyśmy poumierali. Mawiali: „*Tutaj zginiecie, oddając przed śmiercią przystugę rozwojowi sowieckiej gospodarki*”. Ludzie ginęli również z winy lekarzy, a raczej osób podających się za nich, a w rzeczywistości nie mających nic wspólnego z tą profesją. Zdarzało się, że więźniowie podawali się za lekarzy czy pielęgniarzy w nadziei na zapewnienie sobie lepszych warunków, dających

większe szanse przeżycia. Nikt tego nie sprawdzał, zwłaszcza że więźniowie nie mieli dokumentów. Niektórzy ciągnęli do służby zdrowia swoich rodaków, inni po prostu się wkupywali. Rosjanie najlepiej znali stosunki obozowe, szczególnie ci, którzy byli już wcześniej w obozach, dlatego też często zgłaszali się do służby zdrowia. Trzeba przyznać, że najbardziej rożgarnięci nauczyli się operować. Byli również lekarze z prawdziwego zdarzenia i na szczęście to oni stanowili większość. W obozach mieli fantastyczną praktykę, tu nie odpowiadali za nic. Lekarstw było bardzo mało i jeżeli pacjent wytrzymał ich brak i niewiedzę personelu, przeżywał. Nie wszyscy jednak mieli to szczęście.

Obozy produkowały inwalidów. Byli wśród nich nie tylko ci, którzy stracili siły i zdrowie, lecz również ci, którzy z zimną krwią odcinali sobie palce u nóg lub rąk, by uniknąć kolejnego powrotu do kopalni. Jako inwalidzi mieli jakieś szanse przeżycia, podczas gdy w kopalni były one dużo mniejsze. Część świadomie rujnowała sobie zdrowie, wdychając nadmierną ilość pyłu węglowego lub wcierając w ciało różne szkodliwe substancje. Wszyscy odczuwaliśmy brak witamin i w wielu wypadkach wyczerpany organizm zaczynał gnić, a rozkład najczęściej zaczynał się od nóg. Lekarze, chcąc zahamować proces gnicia, amputowali jedną lub obie nogi. Powstały obozy inwalidów, zwane „Sangorodok”^{*}. Cynga wygrywała z najsilniejszymi organizmami.

W pierwszych trzech latach władza sowiecka nie uczyniła nic, by przeciwdziałać wysokiej śmiertelności wśród więźniów. Jednak nadmierna śmiertelność, a co za tym szło, odczuwany brak rąk do pracy przy zwiększających się planach wydobycia węgla, zmusiły władze do stopniowego poprawiania warunków obozowych, a tym samym do przedłużania nam życia. Sami więźniowie również powoli dostosowywali się do ciężkiego klimatu oraz stworzonych warunków i jak mogli, ułatwiali sobie życie. W obozie wybudowano dużą łaźnię i powoli mechanizowano uciążliwe prace. Zasądzono na piętnaście lat kierowniczkę służby zdrowia, która poleciła wydać więźniom zepsutą rybę, co doprowadziło do śmierci wielu osób. Zaczęto szukać w tundrze roślin bogatych w witaminę C i robiono z nich specjalny wywar. Następnym krokiem było sprowadzenie witaminy C w pastylkach, pochodzącej z amerykańskich dostaw.

Na dalekiej północy, co roku przechodziliśmy epidemię grypy, najczęściej w marcu i kwietniu. Problem ten rozwiązano w sposób czysto sowiecki. Przeznaczono dla chorych na gripę specjalny barak bez ogrzewania — izolatkę. Ładowano do niego wszystkich gorączkujących i jeżeli w ciągu 48 godzin temperatura się zmniejszyła, więzień wracał do pracy, jeżeli utrzymywała się, a stan ogólny chorego się pogarszał, kierowano go do baraków szpitalnych. Byłem tam i musiałem wrócić do pracy, gdy po ponad trzydziestu godzinach stwierdzono, że nie mam gorączki. Wielu więźniów zmarło w tym „doświadczalnym” baraku.

W pierwszej połowie 1947 roku umocniłem swoją pozycję w warsztacie mechanicznym, dzięki skonstruowaniu wiertarki. Główny mechanik zatrudnił mnie w kopalni, w biurze konstrukcyjnym. Jako „nowy”, musiałem zacząć od sprzątania jego gabinetu i pomieszczeń biurowych, porządkowałem również rysunki. Zajęcie dla katorżnika wymarzone, ale mało przydatne dla inżyniera. Zastępcą głównego mechanika był Ukraińiec, Fomenko. Nie lubił mnie. Na początku roku 1948 zdjęto mu wyrok i wyjechał.

^{*} Nazwa pochodzi od słów *sanitarnyj gorodok* (szpital obozowy).

Główny mechanik już po miesiącu zaangażował mnie do opracowywania swoich pomysłów racjonalizatorskich, będących często z pogranicza fantazji. Moim zadaniem było nadanie im realnych kształtów. Pierwszym jego życzeniem było opracowanie ładowarki węgla na taśmociągi. Do mnie należało zaprojektowanie i wykonanie maszyny. Trwało to kilka miesięcy. Korzystałem tylko ze starych części maszyn pracujących w kopalni: wrębiarek, przenośników pancernych i wstrząsających, wagonów oraz różnego typu wciągarek. Do mechanizmu ładującego przystosowałem łańcuch od wrębiarki, do którego przymocowałem czerpaki. Z wyglądu był to prawdziwy potwór z masą przewijających się łańcuchów. Wszystkie te mechanizmy napędzał jeden silnik elektryczny, umieszczony na platformie podwozia. Zaciągnięto tego stalowego stwora na hałdę węgla i w obecności całego kierownictwa kopalni rozpoczęto próby. Dyrektorem kopalni był kapitan wojsk NKWD, Garbunkow, a naczelnym inżynierem Malcow, skazany na dwadzieścia lat obozu, gdyż obarczono go odpowiedzialnością za wybuch w jakiejś kopalni. Wszyscy katorżnicy chcieli, aby moja maszyna działała, ponieważ przynosiłaby więźniom wymierne korzyści. W zwyczaju było bowiem wyprowadzanie nas na powierzchnię o dwie godziny wcześniej lub przetrzymywanie o godzinę dłużej, abyśmy załadowali węgiel z hałd na wagony. Musieliśmy ładować bez względu na pogodę, przeklinając zawsze tę dodatkową pracę w czynie społecznym.

Potwór zrobiony przeze mnie miał swoje kaprysy. Gdy działał napęd podwozia i maszyna poruszała się po torach, nie chciał pracować łańcuch z wiadrami, a gdy pracował łańcuch, maszyna nie chciała się przesuwac. Wszyscy pocili się z wysiłku, złorzecząc i przeklinając konstrukcję, jej autora i wykonawców. Maszyna była jednak nieczuła i kpiła sobie z kierownictwa kopalni i z nas, aż w końcu, dla ukoronowania wszystkiego, pękł główny wał i komedia się skończyła. Byłem pewny, że nikt nie uratuje mnie od posądzenia o sabotaż. Na pewno zamkną mnie do karceru, a potem zapędzą do najcięższych prac w kopalni. W tym dniu wszyscy milczeli i spokojnie przeszliśmy do *zony*. Gdy na drugi dzień przybyłem na swoją zmianę, maszyna stała przed warszatem. Nikt nie powiedział mi złego słowa. Byłem zaskoczony, że to niepowodzenie nie wpłynęło na zmianę opinii o mnie. Widocznie zadziałało tu prawo bezwładności, według którego, gdy raz przyłgnie do kogoś jakaś opinia, potrzeba czasu na jej zmianę. Część ludzi miała do mnie pretensje, że z mojej winy nadal trzeba będzie codziennie dłużej pracować, bo nie postarałem się, aby maszyna sprawnie funkcjonowała.

W obozie istniała prawdziwa wieża Babel, mówiono co najmniej dwudziestoma różnymi językami i często nie było najmniejszej możliwości porozumienia się. Wszyscy głośno w sposób drastyczny reagowali na widok każdego jedzenia. Ileż to okropieństw działo się z powodu takiej drobnej rzeczy jak *garbuszka*, czyli piętka chleba. Jeżeli rozdający dał ją innemu niż powinien według kolejki, rozpętywało się istne piekło. Gotowi byli pobić, a nawet zabić winnego, a wszystko dlatego, że ta zewnętrzna część chleba była lepiej wypieczona i objętościowo większa. Cieszyli się jak dzieci ci, którzy ją otrzymali, a zazdrościli i smucili się ci, którym przypadły kawałki mniejsze, wodniste i źle wypieczone.

Żyliśmy w świecie jednostek silniejszych i bezwzględnych, dyktatury głodu, zimna i szycan, pracy, upodlenia, bezprawia i cyngi. Tysiące ludzi stojących kilka razy dziennie

przed bramami kopalni i obozu, tupiących nogami z zimna, udekorowanych łątami z numerami, złorzeczyło całemu światu. Wielu złościło się o byle drobiazg.

Jak się wkrótce okazało, władze kopalni okazały mi swoją wspaniałomyślność. Głównemu mechanikowi chodziło o stworzenie dobrej maszyny, ale nie bez znaczenia był tu aspekt propagandowy. Temu celowi poświęcano wszystko. Nieudana konstrukcja maszyny posłużyła do wykazania się przed władzami działalnością zgodną z kierunkiem wyznaczonym przez partię, to znaczy prowadzącą do rozwoju przemysłu maszynowego. Wśród sowieckich więźniów roilo się od specjalistów, inżynierów, a nawet dyrektorów, lecz prawdziwych fachowców było mało. Byli nimi głównie robotnicy: tokarze, ślusarze, spawacze, kowale i inni.

Po nieudanej ładowarce przysłała kolej na pług-strug węglowy. Zanim jednak nabrał on realnych kształtów, zdarzyło się w obozie coś nowego. Trzech złodziejasków zakradło się do przechowalni paczek, obezwładniło stróża i zabrano żywność i tytoń. Z tego specjalnego pomieszczenia w magazynie odzieży właściciele paczek mogli codziennie pobierać pewną ilość żywności — tracili część na rzecz personelu magazynu, ale w ten sposób zabezpieczali przed kradzieżą resztę. Po zabranii łupu złodzieje zamknęli się w swoim baraku. „Wochra” otoczyła go i zażądała od nich, by wyszli i oddali się w ręce władz. Wobec braku odpowiedzi, żołnierze NKWD ostrzelali barak, wyważyli drzwi, ujęli bezbronnych winowajców, po czym ułożyli ich na ziemi i po chwili zastrzelili. Ciała zabitych położyli wzdłuż naszej codziennej trasy marszu z obozu do kopalni. Te leżące zwłoki nie robiły już jednak na nikim wrażenia.

Moja maszyna przybierała coraz realniejsze kształty, aż w końcu pług-strug był gotowy. Konstrukcja była ciekawa, mogła się podobać. Projektując ją przestudiowałem wszystkie książki na temat węgla, jakie mi udostępniono ze skromnej kopalnianej biblioteki, do której nikt nie zachodził. Więźniów to nie interesowało, enkawudzystów tym bardziej. Nie mogłem polegać na doświadczeniach wykonywanych metodami bardzo prymitywnymi. W praktyce wycinane na dole sześciany węgla były twarde i stawiały duży opór przy skrawaniu, a po wywiezieniu na powierzchnię rozsypywały się. W oznaczonym dniu kierownictwo kopalni rozpoczęło próby. W świetle górniczych lamp obserwowaliśmy, jak pług powoli, lecz systematycznie zagłębia się w ścianę węgla. Niestety, odcięty pas węgla o grubości pół metra, nie odłamywał się. Próbowaliśmy różnych sposobów, ale bez rezultatu — węgiel na tej ścianie miał większą wytrzymałość niż przypuszczaliśmy. Nie pomogły zabiegi głównego mechanika, by zmusić maszynę do wysiłku, na jaki liczył. Po dziesięciu godzinach wszyscy mieliśmy dosyć. Czarni jak murzyni zrobiliśmy ostatnią próbę. Nagle nastąpiło tąpnięcie i zawalenie stropu w okolicy stempla, przy którym stałem. Na szczęście, wysokość tunelu wynosiła niespełna metr, więc przywaliło mnie, nie łamiąc mi kości. Gdybym stał nieco dalej od stempla, nie wyszedłbym z tego cało. Wszyscy rzucili się na ratunek i po pewnym czasie mnie uwolniono. Na tym wypadku zakończyła się nasza próba i wszyscy udaliśmy się do szybu pochylni, aby jak najszybciej wyjść na górę. Nikt nie komentował fiaska wyprawy. Dla każdego było jasne, że nasze dane o workuckim węglu były niewystarczające. Na drugi dzień dużo dyskutowano na ten temat, postanowiono wywieźć maszynę do warsztatu i dostosować pług do współpracy z wrębiarką o większej mocy. Pług wywieziono, lecz żadnej pracy nad nim nie podjęto, bo i tym razem konstrukcja posłużyła jedynie celom propagandowym. Oczyszczono ją

i pokazywano wszystkim władzom przyjeżdżającym do kopalni na wizytację — zakonserwowany pług stał w widocznym miejscu.

Urzeczywistnianie pomysłów moich zwierzchników nie wypełniało mi całkowicie obozowych dni. Chodziłem do kopalni, by wykonywać szkice różnych konstrukcji i urządzeń wymagających naprawy i modernizacji. Dobrze zapoznałem się z pracami górniczymi, żaden problem kopalni nie był mi obcy, znałem wszystkie jej zakamarki. Nauczyłem się drugiego zawodu — górnictwa. Stało się ono zawodem wielu ludzi nie mających pojęcia o kopalni i mechanice górniczej. Nawet urzędnik bankowy narodowości żydowskiej, Saks, stał się mechanikiem oddziału na dole kopalni.

Dyrektor kopalni pozazdrościł głównemu mechanikowi moich nieudanych konstrukcji. Zainteresował się mną i zapragnął, bym i dla niego zrobił jakąś maszynę. Zawołał mnie do swojego gabinetu i powiedział, że od tej chwili będę pracował dla niego. Dyrektor miał możliwość sprowadzenia dwóch amerykańskich ciągników, podobnych do czołgów, z zepsutymi silnikami spalinowymi, leżących gdzieś na złomie. Gdy zostały dostarczone na teren kopalni, długo wokół nich chodziłem, rozmyślając, na co mogą się przydać. Przypomniałem sobie przymusowe godziny ładowania węgla na taśmociąg, dobrze wiedziałem, co znaczy jeszcze jedna godzina pracy po dwunastogodzinnej harówce w kopalni lub na powierzchni, na dodatek o pustym żołądku — był to bodziec sugerujący mi właściwe wykorzystanie ciągników. Trzeba było jeszcze raz spróbować wykonać dobrą ładowarkę. Na razie nie wiedziałem jeszcze, jak to zrobić. Realizacja początkowo mglistej wizji maszyny pochłonęła moją każdą wolną chwilę. Rozpracowałem całą dokumentację ze wszystkimi szczegółami i z gotowym projektem udałem się do dyrektora, aby wydał polecenia wykonawcze. Dyrektor zgodził się bez zastrzeżeń. Przydzielono mi najlepszych ślusarzy i spawaczy. Jeszcze w czasie wykonywania dokumentacji, dyrektor przychodził na drugiej lub trzeciej zmianie do biura głównego mechanika i, gdy nikt nie widział, dawał mi chleb z masłem, a raz nawet pół wędzonego śledzia, który był dla mnie prawdziwym rarytasem. Gdy wolna władza wchodziła do biura lub pomieszczenia, gdzie pracowali więźniowie, każdy z nich musiał wstać. Gdy i ja pierwszy raz podniosłem się z miejsca, dyrektor powiedział do mnie: „*Siadaj i przed każdym byle chujem nie wstawaj*”. Stworzył mi najlepsze możliwe dla więźnia warunki — zostałem przeniesiony do specjalnego baraku, do tak zwanej „obozowej arystokracji”. Miałem możliwość lepszego poznania tej uprzywilejowanej kasty sowieckich obozów. Otrzymałem pozwolenie na pojedyncze wychodzenie z obozu do kopalni i z powrotem, co było wielkim udogodnieniem, bo nie musiałem oczekiwać na wartowniach, aż zbiorą się wszyscy idący na zmianę. W zamian mogli wzywać mnie w każdej chwili do kopalni, bez względu na porę dnia i nocy. Dostawałem lepsze jedzenie, specjalny zestaw przeznaczony dla obozowej arystokracji i kierownictwa kopalni, od kierownika oddziału wzwyż. Działo się to pod koniec 1947 i na początku 1948 roku. Otrzymałem lepsze umundurowanie, a przede wszystkim „walonki”, czyli wojskowe obuwie. Ci, którzy ich nie mieli, odmrażali sobie nogi. Pracownicy kopalni nie otrzymywali „walonek”, były one przeznaczone jedynie dla pracujących stale na powierzchni i dla obozowej arystokracji. Co prawda, nowe buty były największe w obozie, o pięć numerów za duże, ale dzięki nim nie marzyły mi już nogi.

Po przeszło półrocznej pracy ładowarka była gotowa. Składała się z ciągnika z silnikiem elektrycznym konstrukcji amerykańskiej, który zastąpił zepsuty silnik spalinowy.

Do podwozia dodałem dwa dźwigary, przegubowo umocowane do ramy ciągnika, a do ich końców był przykręcony bęben stały o średnicy jednego metra. Na nim, na wałeczkach obracał się bęben zewnętrzny o średnicy 1700 mm. Na całej swojej dwumetrowej długości miał siedem spiralnych łopatek, przeznaczonych do zabierania i ładowania węgla z hałdy na taśmę umieszczoną w bębnie stałym, otwartym w swojej górnej części. Taśma ta, szerokości 800 mm, miała przedłużenie poza bęben na dwumetrowym wysięgniku, ładującym węgiel na taśmociąg transportujący węgiel na wagony. Wszystkie mechanizmy były napędzane przez jeden silnik elektryczny.

W lipcu 1948 nastąpiło uroczyste przeprowadzenie prób. Na placu warsztatu mechanicznego zebrała się cała władza kopalni i obozu, ta wolna i ta z wyrokami. Prawdę mówiąc, żadna z tych osób w pojęciu Moskwy nie była „czysta”. Każdy miał jakąś skazę, która zaprowadziła go za koło podbiegunowe. Naczelnym inżynierem kopalni Malcow, gdy nie było śniegu, pilnował, żeby na wszystkich placach kopalni był porządek i kazał więźniom zamiatać je po pracy. Przez taki właśnie zamieciony plac miała przejechać ładowarka, zostawiając za sobą głębokie ślady w nie utwardzonym gruncie. Malcow należał do osób, które nie wierzyły w sukces maszyny. Zebrał kilku więźniów z miotłami, by zacierali ślady po jej przejściu. Cały czas spoglądał na mnie bykiem. Bał się dokucać mi w obecności władzy o szczebel wyższej, kapitana NKWD. Niektóre osoby biorące udział w próbach odnosiły się do nich krytycznie, inni obojętnie, a jeszcze inni, i tych było najwięcej, z nadzieją na pozytywny wynik. Osobiście pragnąłem tego najbardziej. Włączono prąd i maszyna ruszyła z miejsca montażu. Do miejsca pracy miała kilometr. Dojechała, a gdy zaczęła działać, wyniki tego przeszły moje najśmielsze oczekiwania.

Ładowarka udała się i bez większych usterek pracowała stale. Od tej chwili przestaliśmy ładować węgiel łopatom. Wiadomość o maszynie dotarła aż do Moskwy, postarali się o to miejscowe władze, z dyrektorem kopalni na czele. Przyjechała nawet specjalna komisja, aby naocznie sprawdzić, ile prawdy jest w przesłanym raporcie. Wszystkie komisje wyjeżdżały zachwycone. Jeden pułkownik z Moskwy zapytał dyrektora, czy osoba najaktywniej działająca przy tworzeniu tej maszyny została podana do wcześniejszego zwolnienia. Mówił to w mojej obecności. Może gdybym był Rosjaninem, zostałbym zwolniony, ale ponieważ byłem Polakiem i to z AK — było to niemożliwe. Dyrektor dawał mi sporadycznie pieniądze, po 50 rubli ze swojej puli. Sam zgłosił maszynę jako swoją konstrukcję, za co otrzymał premię stalinowską — 100 tysięcy rubli. Tak mówili wszyscy wolni. Maszynę nazywano „Kapitan”, a jej opis umieszczono w jednym z czasopism technicznych, które miałem okazję przeczytać. Zgodnie z poleceniem dyrektora całą dokumentację z opisem wykonało biuro miernicze kopalni.

Miałem u dyrektora zawsze otwarte konto i nie odmawiał, gdy się do niego zwracałem. Korzyść z pieniędzy była jednak żadna, bo wówczas za pieniądze nic nie można było kupić, oprócz wódki za pośrednictwem wolnych. Wódka była zresztą towarem o dużym znaczeniu. Można było „kupić” za nią lepsze traktowanie u dozorców. Po prostu nie czepiali się drobnych spraw.

Inaczej obchodzili się ze mną zacięci przeciwnicy Polaków, wywodzący się z arystokracji obozowej. Sam fakt zdobycia marki u władz obozu i kopalni dawał mi możliwość korzystania z większej bezkarności. Nie było to dużo, ale rzeczy błahe, innym nie darowane, mi nie groziły żadnymi konsekwencjami. Przebywanie w baraku arystokracji obo-

zowej pozwoliło mi zobaczyć rzeczy, z którymi inaczej nigdy bym się nie zetknął. Przeważająca część tych ludzi pełniła funkcje kierownicze w kopalni lub w obozie. Byli panami życia i śmierci tych, którzy należeli do ich oddziałów. Od nich zależały wielkości racji żywieniowych. Sami rzadko bili więźniów. Zwykle dobierali sobie kilku „pomocników”, degeneratów, którzy terrorem wymuszali bezwzględny posłuch. Część arystokratycznych władców miała swoją służbę, która dbała o to, aby w baraku było jedzenie, czyściła obuwie i odzież oraz prała bieliznę, czyli krótko mówiąc, troszczyła się o wygody. Często tego szczytu dostępował ten z więźniów, który mógł zaofiarować coś z paczek. Najwięcej paczek otrzymywali Ukraińcy, Estończycy, Łotysze i Litwini; najmniej Polacy. Rodziny przysyłały produkty i rzeczy z trudem zdobyte, nie wiedząc, że otrzymują to inni. Trzeba jednak przyznać, że niektórym paczki uratowały życie, choć być może przyczyniły się też do śmierci wielu innych osób.

Na tle obozowej arystokracji żałośnie wyglądała duża grupa inwalidów pracujących w barakach. W każdym baraku, liczącym przeważnie stu dwudziestu więźniów, było czterech lub pięciu *dniewalnych*. Część z tych ludzi, wyjątkowo głodnych, chodziła do stołówki i zjadała resztki jedzenia pozostałe po brygadach dostających większe porcje. Te odpadki składały się z łbów i ości ryb, i wszystkiego, czego nie mógł przełknąć górnik, gdyż było to dla niego niejadalne. Zbierali resztki ze stołów i z podłogi.

Stołówka, pełna pary, brudnych stołów ustawionych jeden obok drugiego, przedstawiała odpychający widok. Przez długie okresy dawano *uchę*, to jest zupę rybną. Do niezapomnianych wrażeń należy *ucha* z małych rybek. Bardzo często była to cuchnąca masa. Nie chciało się tego jeść, lecz głód łamał wszelkie opory, a gdy zaczynano ją podawać było jasne, że będzie główną strawą przez najbliższych kilka miesięcy. Najgorsze w niej były pływające, „patrzące” na nas oczy.

Nie śniło się nam w najgorszych snach, że po wojnie, w czasie pokoju, będziemy znaczyć mniej niż zwierzęta i w dodatku będziemy uważani za bandytów. W obozach siedzieli ludzie z wyrokami dziesięciu, piętnastu lub dwudziestu lat za granie w lokalach przeznaczonych dla Niemców, za golenie hitlerowców we fryzjerniach, za zabranie dla głodnej rodziny paru kilogramów ziarna z kołchozu, za ujawnienie swoich zapatrywań, za krytykę głupoty. Duża część Rosjan została skazana za dostanie się do niemieckiej niewoli, a głównie za to, że w niej przeżyli. Inne narodowości siedziały za umiłowanie wolności i niepodległości. Żyliśmy w świecie paradoksów. Byliśmy w kraju o niesamowitych bogactwach naturalnych, ale wolni z Workuty wysyłali paczki węgla swoim bliskim mieszkającym w Donbasie — krainie węgla — aby ci nie marzli.

Pewnego razu na teren kopalni przyszedł naczelnik KWCh^{*} ze swoim psem. W krótkim czasie pies zniknął. Naczelnik postawił na nogi „Wochrę” — zwierzę znalezione w garnku na jakimś piecyku. Więźniowie, mający w perspektywie zaspokojenie głodu mięsem, które widzieli tylko w marzeniach, nie liczyli się z żadnymi konsekwencjami.

Spotykaliśmy się z objawami głupoty wręcz obezwładniającej, podkreślającej beznaście naszego położenia. Jednym z jej przejawów było polecenie majora NKWD, zastępującego dyrektora kopalni, wydania dwóch faz z magazynu, gdy dowiedział się, że maszyna stoi, bo *potierali fazu* — zgubili fazę. Poznawaliśmy ten „nowy, wspaniały

* Skróć od *Kulturno-wospitatielnaja czast'* (Wydział Kulturalno-Wychowawczy).

świat”, słuchając w 120-osobowym baraku rozmów prowadzonych przez Rosjan. Musieliśmy słuchać kowala opowiadającego o stosunkach płciowych z własną matką, opowieści o życiu w miastach i kołchozach dotyczące prostytucji, a także różnych przejawów homoseksualizmu. Ukoronowaniem wszystkiego były opowiadania świata przestępczego. Żaden z bandytów nie pracował, bo pracę uważał za hańbę. Istniała jednak zasadnicza różnica między bandytami, która w rzeczywistości podzieliła ich na dwa wrogie sobie obozy i która niejednokrotnie doprowadzała do rozlewu krwi. Różnica owa polegała na różnym traktowaniu pracy. Jedni uważali, że praca hańbi, nie wolno im więc pracować, ale można zmuszać i pędzić do pracy innych. Drudzy również byli przekonani, że wszelka praca jest hańbiąca, ale jednocześnie uważali, że nie wolno do niej zmuszać pozostałych więźniów. Pierwsi nazywali siebie *worami*, drugich nazywano *sukami*.

Specjalną grupę w obozach stanowili starostowie, odpowiedzialni za porządek i spokój w barakach. Starosta był w każdej celi i w każdym baraku. W celi był to albo samowzaniec, albo ktoś wybrany. W obozie natomiast wyznaczały ich władze. Byli to silni ludzie, mający powiązania z poszczególnymi grupami obozowymi oraz z NKWD. Żaden z nich nie pracował. Niektórzy zmuszali mieszkańców do zdejmowania przed barakiem obuwia i wchodzenia do środka na bosaka. W ten sposób więźniowie w mniejszym stopniu zanieczyszczali podłogę. Fakt ten zainspirował niektórych do produkowania drewniaków w celach handlowych.

Poza obozami katorżniczymi były jeszcze obozy karne. W nich wiedli prym najgorsi bandyci. Do tych obozów wysyłano oficerów niemieckich i więźniów nie dość potulnych wobec władz obozowych. Najgorsza jednak była sytuacja tych pierwszych. Bandyci doprowadzali ich do maksymalnego upodlenia. Zawsze uważałem, że Niemcy powinni ponieść karę za swoje zbrodnie, ale byłem przeciwnikiem stosowania tych samych metod, które stosowali hitlerowcy.

W obozie panował zwyczaj, że kraść można było wszystko, oprócz *pajki* chleba. Za udowodnioną kradzież chleba można było złodzieja bezkarnie zabić. Władze się temu nie sprzeciwiały. Z różnych powodów często dochodziło do prywatnych rozgrywek pojedynczych osób i całych grup narodowościowych, których rezultatem były liczne mordy i ciężkie pobicia. Zdarzały się przypadki, że człowiek, nawet słaby, doprowadzony do rozpacz, przychodził wieczorem do baraku i mordował swojego ciemieźcę. W naszym obozie były dwa takie przypadki. Bandyci również chodzili po barakach regulując swoje porachunki z przeciwnikami. Najczęściej kończyły się one ciężkim pobiciem. Zdarzały się sytuacje, że recydywiści dla rozrywki grali w domino o czyjaś głowę. Przegrywający musiał wykonać wyrok na konkretnej osobie. Czasami szło nie o więźnia, ale o kogoś z władzy obozowej. W takim świecie mijało życie każdego więźnia politycznego, także moje.

Tymczasem nadal wykonywałem różne prace konstrukcyjne w kopalni. Musiałem uważać, aby nie dopuścić do jakiejś pomyłki, która mogłaby kosztować mnie życie. Wykonywałem projekty i nadzorowałem ich realizację. Pod moim kierownictwem prowadzono montaż. Wszystkie części maszyn więźniowie musieli ciągnąć lub przemieszczać na własnych plecach. Gdy poszczególne elementy nie pasowały, musieli je wynosić z powrotem na powierzchnię, klęcząc i złorzecząc przede wszystkim temu, kto się pomylił, coś źle obliczył lub zaprojektował.

W drugiej połowie 1948 roku powierzono mi zaprojektowanie nowego wywrotu na tonowe wozy w najniższym punkcie kopalni. Miałem gabaryty tych wagonów, lecz dla pewności chodziłem i wszystko mierzyłem. Pozwoliło mi to stwierdzić różną wysokość wagonów, więc maszynę zaprojektowałem dostosowując ją do najwyższych i najszerzych z nich. Wkrótce wymontowano stary wywrot i zamontowano nowy. Wywracanie pierwszych wagonów szło bardzo sprawnie, ale jedenasty z kolei okazał się za wysoki. Kopalnia stanęła. Trzeba było natychmiast przystąpić do wymontowywania maszyny mojej konstrukcji i ponownego zamontowania starego wywrotu. Nowy natomiast trzeba było wyciągnąć na górę, do warsztatu mechanicznego, dla dokonania przeróbki. Wolałem dyskretnie opuścić miejsce pracy i zniknąć z pola widzenia tych wszystkich, którzy musieli tę pracę wykonać. Nie miało to żadnego znaczenia, że nie było w tym mojej winy. Nikt nie wiedział, że w kopalni znajduje się nieduża partia wagonów wyższych niż te, które zmierzyłem. Zdarzało się, że w starym wywrocie wagony czasami wyskakiwały z torów, hamując ruch rozładunku. Ludzie byli wtedy agresywni, bo musieli na kimś wyładować złość i poczucie bezsilności. Nie pomogłaby mi dobra marka u dyrektora. Wiedziałem, że gdy zniknę im z oczu w krytycznym momencie, ochłoną. Po wyjściu na powierzchnię będą tylko przeklinali, lecz nie dojdzie do rękoczynów. Zemsty nie będzie — to nie byli bandyci.

Poziom życia zaczął się w obozach powoli poprawiać. Budowano więcej baraków, poszerzano łaźnie, naprawiano odzież i obuwie, ale przede wszystkim raz w miesiącu zmieniano bieliznę.

W 1947 roku do głównego mechanika przybył Rosjanin pracujący w kopalni nr 2. Odsiedział swój wyrok i był wolny, ale nie mógł opuścić Workuty. W rozmowie z nim dowiedziałem się, że w kopalni nr 2 jest Polka rysująca i malująca portrety. Z opisu wynioskowałem, że może to być „Krystyna”. Napisałem do niej gryps. Rosjanin zgodził się go dostarczyć, pomimo że wiedział, co mu grozi w przypadku złapania. Wszystkich wolnych rewidowano. Jednak część więźniów po skończeniu wyroku poczuwała się do obowiązku utrzymywania kontaktów z tymi, którzy jeszcze siedzieli. W rejonie Workuty było w tym czasie piętnaście kopalń w promieniu 5–6 kilometrów. Przekazywanie grypsów na tak niedużą odległość trwało w tamtych czasach bardzo długo. Czekano się na okazję, a i tak część grypsów ginęła. Odpowiedź otrzymałem po trzech miesiącach. Przyniósł ją ten sam Rosjanin, który dostarczył mój liścik. „Krystyna” ucieszyła się, że mnie odnalazła. Opisała mi wszystko, co dzieje się u nich, a co mogłoby mieć znaczenie dla nas. Przy kopalni nr 2 był jeden obóz, w którym przebywały kobiety i mężczyźni, odgródzeni od siebie drutem kolczastym. NKWD i władze obozowe stosowały te same miary wydajności pracy dla obydwu płci.

„Krystyna” zaprzyjaźniła się z czterema rodaczkami z Wilna. Poza nimi było jeszcze około dwudziestu Polek. Mimo zakazu, w każdym obozie wśród różnych narodowości tworzyły się grupki osób o zbliżonych poglądach i zainteresowaniach. Podobnie tych pięć Polek starało się trzymać razem i wzajemnie sobie pomagać. Wszystkie — poza „Krystyną” — trafiły do obozu w październiku 1945. Robiły co mogły, aby przebywać razem w jednym baraku, lecz nie zawsze im się to udawało. Dwie z nich, Basia Dudycz i Bronka Kutiuk, pracowały w obozowej służbie zdrowia; Wanda Cejko pracowała początkowo w kopalni, a później w pracowni krawieckiej. „Krystyna”, dzięki talentowi ma-

larskiemu, była zatrudniona w KWCz — wypisywała hasła, malowała portrety twórców ustroju i pomagała w przygotowaniach rozrywki dla władz i elit obozowych. Najmłodsza z całej piątki, Hanna Norska, pracowała na dole w kopalni przy załadunku węgla łopata na przenośnik, z normą dwudziestu ton na zmianę. Kobiety bito, gdy podczas pracy nie były w stanie podołać nałożonym na nie obowiązkom.

W kopalni nr 6 było około stu Polaków, wśród których potworzyły się małe grupki. Ta, do której należałem, składała się z siedmiu mężczyzn — dwóch ze Lwowa i pięciu z Wilna. Byli nimi: Longin Blinstrub, Kazimierz Cis, Mieczysław Orłowski, Teodor Pietryk, Anatol Rymaszcwski, Franciszek Sitnik i Paweł Świetlikowski. Naszą siódmkę nazywaliśmy „Klubem Starych Kawalerów” (KASK), ponieważ wszyscy byliśmy jeszcze nieżonaci. „Krystyna” poprosiła, abyśmy napisali do jej koleżanek, które swoją piątkę nazwały „Pięcioraczkami”. Powstał problem, kto z nas do której ma napisać. Ktoś rzucił propozycję ciągnięcia losów. Wylosowałem najmłodszą, która, jak się później okazało, została w przyszłości moją żoną.

Zaczęliśmy niebezpieczną zabawę — pisanie listów-grypsów z obozu do obozu, co było surowo zakazane. Nie mieliśmy pewności, czy grypsy dojdą i czy nie wpadną w ręce NKWD. Wnosiły jednak do naszego życia coś nowego. Poza tym była to próba buntu przeciwko systemowi. Przesyłaliśmy sobie drobne upominki, własnoręcznie wykonane drobiazgi, nie mogące budzić żadnych podejrzeń w przypadku ich przechwycenia. Nie miało znaczenia to, że przedmioty wysłane przed Bożym Narodzeniem, docierały do adresata na Wielkanoc. W tym państwie nasze święta nie istniały, prawosławne zresztą również. Obchodziliśmy je w pracy, wspominając czasy, w których było inaczej. Czasami schodziło się kilku rodaków i składało sobie życzenia doczekania lepszych czasów, w których nikt nikomu nie będzie bronił wierzyć, w co tylko chce, gdy każdy będzie miał prawo do wypowiedzania swoich przekonań i zniknie obowiązek jednomyślności w każdej dziedzinie życia.

Do przesyłania grypsów wykorzystywaliśmy różne drogi: wolnych, więźniów przerzucanych z obozu do obozu, więźniów wychodzących budować obiekty wspólnego użytku, pracowników służby zdrowia, a nawet osoby z kierownictwa kopalń, które nie zatraciły wszystkich ludzkich odruchów. Takie jednostki spotykaliśmy rzadko i byli to przeważnie ludzie wolni, po odbyciu swoich wyroków.

Z Hanką, od której na Wielkanoc otrzymałem mikroskopijne niedźwiadka i jeszcze mniejsze wielkanocne pisklą, wykonane kosztem snu, szybko straciłem kontakt. Wysłali ją do kopalni nr 18. Tam tylko jeden raz udało mi się coś jej przekazać — medalion zrobiony przeze mnie z duraluminium. Przewiół go nadwoźniak Niemiec i przyniósł mi odpowiedź na skrawku papieru z worka po cemente. Mój gryps i upominek o mało nie stały się przyczyną nieszczęścia. Niemiec, nieświadomy niebezpieczeństwa, wręczył gryps jakiemuś typowi, który uważał, że należy mu się coś za przysługę. Przez cały czas pobytu Hanki w kopalni nr 18 nie dawał jej chwili spokoju i zamienił życie w prawdziwe piekło. Korespondencja z Hanką urwała się, a wносиła tyle nowego do mojego nieciekawego życia. Nie znaliśmy się i nie mogliśmy wyobrazić sobie naszego wyglądu.

Tymczasem dni w kopalni i obozie biegnęły bez większych zmian i jedynie od czasu do czasu były urozmaicane silniejszym przejawem bezprawia. Władze obozowe były niez-

leżne od władz kopalni, ale w czasie nieobecności dyrektora, zastępował go naczelnik obozu lub jego zastępca. Siłę roboczą brano z obozów, ale pracę rozliczano tak, jakby wykonywali ją ludzie wolni. Posunięcia władz obozowych były często sprzeczne z interesami kopalni i powodowały w związku z tym straty.

Na początku roku 1948 chodziłem do pracy razem z brygadą. Władzom zależało, by ci sami ludzie nie przebywali stale razem w barakach. Z tego powodu przrzucono brygadę z baraku do baraku, a ludzi z brygady do brygady. Było to dodatkowym „uprzyjemnieniem” naszego życia. Władze panicznie bały się powstania w obozie jakiegoś spisku, na tym punkcie miały prawdziwą obsesję. Robiły wszystko, aby więźniowie żyli w poczuciu niepewności i strachu.

W styczniu 1948 pracowałem na drugiej zmianie. Wracaliśmy z pracy po północy. Pogoda była wyjątkowo podła — zawieja śnieżna i trzydzieści stopni mrozu. Po czternastu godzinach każdy był wyczerpany i głodny, spieszyliśmy się do baraku, który okazał się zamknięty na zasuwę. Kusiło nas, aby odsunąć ją i znaleźć się w ciepłym pomieszczeniu, ale byliśmy świadomi następstw takiego kroku, więc zaczęliśmy głośno nawoływać żołnierza-dozorcę. Bezskutecznie, jakby zapadł się pod ziemię. Po półgodzinnym oczekiwaniu zdecydowaliśmy się na otwarcie drzwi. Niedługo potem zjawił się żołnierz, który schował się w sąsiednim baraku i stamtąd nas obserwował. „*Kto otworzył barak?*” — spytał. Było nas trzech, lecz żaden do niczego się nie przyznał, zgodnie utrzymując, że barak był otwarty. Zabrał naszą trójkę do izolatora, w którym kazano nam się rozebrać i bosy, w letniej bieliznie, bo innej nie wydawano, zamknęto. Była to cela z zakratowanym oknem bez szyb, przez które dostawał się do środka śnieg. Oświadczono nam, że wypuszczą tego, który wskaże winnego. Solidarnie jednak ponosiliśmy konsekwencje naszego wykroczenia. Początkowo chodziliśmy po celi. Szybko zorientowaliśmy się, że to niewiele pomaga, nasze ruchy stawały się coraz powolniejsze i w końcu ratowaliśmy się przez wzajemne ogrzewanie się własnymi ciałami. Kolejno, każdy z nas wchodził do środka między dwóch pozostałych, którzy mieli za zadanie go ogrzać. W końcu, oparci o siebie, osiągnęliśmy stan zniechęcenia, nie byliśmy zdolni do najmniejszego wysiłku, do jakiegokolwiek ruchu — powoli zaczęliśmy zatracać świadomość tego, co się z nami dzieje. Czuję się nawet dobrze, ogarnął mnie błogi stan lenistwa i zupełnej obojętności. W tym stanie półświadomości przeprowadzono nas do ciepłej celi. Powracanie do rzeczywistości było mniej przyjemne. Na drugi dzień wypuszczono nas na interwencję dyrektora kopalni.

Kary na mrozie, po rozebraniu do bielizny, nie były rzadkością. Najgorsze w takich wypadkach było stawianie rozebranych więźniów w zasięgu żołnierzy znajdujących się na *wyszkach* [wieżach strażniczych], pod groźbą zastrzelenia przy poruszeniu się. Zdarzył się przypadek, że ukarany w taki sposób więzień wybrał śmierć — wołał bowiem zgiąć niż dłużej stać na mrozie.

Od marca 1948 rozsiewano pogłoski o organizowaniu specjalnych obozów dla katorżników. Stały się one przedmiotem spekulacji bandytów, wolnych i enkawudzystów. Przeważały opinie, że więźniowie umieszczeni w takim obozie nigdy nie wyjdą na wolność. Podobno gdzieś już nawet istniały — opowiadał o nich Golikow. Nie były to plotki, bo w połowie 1948 roku zaczęły się pierwsze przetasowania więźniów.

W tym czasie zajmowałem się mechanizacją placu drzewnego. Brygady budowlane wykonały dwie wysokie drewniane podpory, na które wciągnięto konstrukcję mostu i wciągarki, mające przy pomocy lin wyciągać z wagonów pakiety kopalniaków i kierować je na łańcuchy z zaczepami. Te z kolei transportowały kopalniaki na piły, które cięły je na odpowiedniej długości stemple. Podwieszona kolejka, konstrukcji mojego rodaka inżyniera Teodora Pietryka, transportowała je dalej, do szybu. Stalowy most, z braku odpowiednich profili konstrukcyjnych, wykonałem z szyn. Było to sprzeczne z zasadami techniki. Szyny, na polecenie dyrektora kopalni, kradliśmy pod osłoną nocy z budowanej obok trasy kolejowej. Za ich kradzież dyrektor dawał nagrody, ale kazał zamykać każdego, kto dał się przyłapać na tej czynności. Konwój wyprowadzał nas do tej „pracy” jako brygadę porządkującą przedpole kopalni po przesunięciu *zony*. Dziwne, ale prawdziwe.

Kopalnie rozliczały się z więźniami przy pomocy kont, z kolei obóz prowadził rozliczenia każdego więźnia wyprowadzanego do pracy w kopalni. Mieliśmy na ogół na swoich kontach minusy, bo koszty utrzymania obozu, ochraniających go wojsk NKWD, żywienia, odzieży, obuwia i innych, okazywały się wyższe niż wartość pracy katorżnika. Więźniowie najczęściej byli dłużnikami państwa, ale jednostki pełniące ważniejsze funkcje, otrzymujące nagrody za szczególne osiągnięcia w pracy, miały na swoich kontach nieduże kwoty. Na moim koncie przez dwa i pół roku uzbierało się 600 rubli. Teoretycznie istniała możliwość wypisania bonów żywnościowych, ale w praktyce żywności nie było. Moskwa rokrocznie rozpisywała pożyczki, których celem było polepszenie warunków życia klasy robotniczej i które wszyscy wolni obywatele musieli podpisywać. Fakt niepodpisania równał się zakwalifikowaniu osoby odmawiającej do grona wrogów ustroju, ze znanymi każdemu konsekwencjami. Władze zmuszały siedzących w obozach więźniów, zdrajców ojczyzny, do podpisywania takich pożyczek. Gdy zażądano podpisu ode mnie, oświadczyłem, że dobrowolnie tego nie uczynię, mimo świadomości, że władze i tak zrobią to, co zechcą. Wypisali i przyszli, bym podpisał, że daję 300 rubli. Odpowiedziałem, by sami podpisali. Wówczas starszy powiedział do młodszego: „*Pisz: inżynier Orłowski Mieczysław Józefowicz niegramotnyj. Tri kriesta*” [Pisz: inżynier Mieczysław Orłowski niepiśmienny. Trzy krzyżyki]. Może komuś wyda się to dziwne, lecz widziałem inżynierów i dyrektorów mających trudności z podpisaniem się. W taki prosty sposób, przy pomocy trzech krzyżyków, znalazłem się w gronie tych, którzy dobrowolnie podpisali pożyczkę. Ileż razy widziałem tam podobne sposoby rozwiązywania różnych problemów! Pieniądze z konta można było wysłać rodzinom w granicach ZSRR. Na tym obszarze nie miałem nikogo bliskiego, więc wysłałem 300 rubli żonie Antoniego Wróblewskiego, Polaka na stałe mieszkającego w Rosji.

Przetasowanie więźniów poważnie odbiło się na wydobywaniu węgla, które w niektórych kopalniach spadło o połowę. Władze nigdy nie liczyły się ze stratami, gdy wchodziło w grę zagadnienie „bezpieczeństwa”, zawsze ważniejsze od ekonomii. Dyrektor kopalni robił wszystko, by wyreklamować katorżników, na których mu zależało. Chodziło teraz o osiemnaście osób. Zapewniał, że nie zostaną zabrani do obozu o zaostrowym rygorze. Nie wiedziałem, czy mam się śmiać, czy płakać, bo w tych specjalnych obozach umieszczano tylko politycznych z paragrafami 58, podczas gdy kopalnię nr 6 przeznaczono dla więźniów pospolitych i kryminalnych. Wiedzieliśmy aż nadto dobrze, jaki

wśród nich przeważał element. Wolałem ciężki rygor, ale wokół siebie ludzi, niż zezwierzęcone typy, wykorzystujące swoją siłę do dręczenia innych.

Z kopalni wydobywano mało węgla, więc musiano ładować go z hałd. Robiła to ładowarka oraz wspomagający ją więźniowie, gdyż na załadunek czekało wiele wagonów. Było lato. W miarę zabierania węgla z hałd, przesuвано prowizoryczną *zonę*. Jeden Litwin, ładowacz, poszedł za potrzebą w miejsce, gdzie poprzedniego dnia pracował. Przez okno ładowni zobaczył go konwojent. Wybiegł i oddał serię z automatu do przykucniętego człowieka, który — ugodzony — zerwał się, ale zaraz upadł. Żołnierz podbiegł do rannego i oddał drugą serię, ale tak nieszczęśliwie, że nie zabił go, a tylko podziurawił mu brzuch. Litwin umierał w potwornych męczarniach. Na odgłos strzałów wyszedł oficer. Zobaczył, co się stało i powiedział: „*Job twaju mat'! Skolko gawarił, czto nada tak strielat', czto by szrazu ubit'!*” [Kurwa twoja mać! Ile razy mówiłem, że należy tak strzelać, żeby od razu zabić!]. Poleciał dobić rannego. Działo się to w sierpniu 1948. Nikt nie prowadził potem żadnego śledztwa. Spisano protokół, że Litwin uciekał, nagrodzono jego zabójcę i koniec sprawy. Czasami kazano mi wykonywać szkic sytuacyjny insynuowanej ucieczki.

Gdy 18 listopada, około północy, wracałem z kopalni, czekał na mnie konwój, z którym miałem się zabrać do obozu o zaostrzonym rygorze przy kopalni nr 1 „Kapitałnaja”. Nie pozwolono mi nawet się umyć. Zabrali wszystkich osiemnastu wcześniej wyreklamowanych. Nikt nie wiedział, co nas czeka w tych nowych, specjalnych obozach. Od 18 lutego 1946 minęły tylko dwa lata, osiem miesięcy i dwadzieścia sześć dni, a ile przeżyłem, ile zobaczyłem i przemyślałem! Widziałem wokół siebie tyle ludzkich nieszczęść, tragedii i tyle trupów, ile nigdy dotąd nie dane mi było oglądać, nawet w czasie wojny. Sam żegnałem się kilka razy z życiem. W latach okupacji mieliśmy nie tylko nadzieję, lecz pewność, że potworności wojny się skończą, a zbrodniarze zostaną ukarani. W obozie natomiast przez cały czas każdy z nas prowadził walkę o życie, o przetrwanie, wśród ciągłego upodlania, bez żadnej nadziei na powrót do kraju, do swoich rodzin, gdzie wszystko było inne, bliskie.

W kopalni nr 6 nigdy nie zakończono mechanizacji placu drzewnego. Jeszcze za mojego pobytu przybył nowy naczelny inżynier, Koleśnikow, który później zastąpił dyrektora Garbunkowa. Koleśnikow często i mocno bił dozór. Po przeszło dwóch latach był sądzony, bo okazało się, że w czasie wojny służył Niemcom — został rozpoznany przez jednego z więźniów, który początkowo szantażował dyrektora, a później wydał go NKWD. Otrzymał wyrok dwudziestu lat, ale nie za to, że w workuckich więzieniach wysyłał więźniów na tamten świat, lecz za to, że robił to samo dla Niemców, w imię innej ideologii. Była to głośna, duża afera, w którą zamieszanych było wiele wysoko postawionych osób w Komi ASRR.

Osobliwości okolic polarnych

Tundra w okolicach Workuty jest bezkresną przestrzenią, pokrytą śniegiem przez co najmniej dziesięć miesięcy w roku. Na pewno istnieje tam jakieś życie, lecz na tej wiecznie zamrożonej ziemi trudno było dostrzec jego ślady. To ojczyzna śniegów i wichrów. Zasy w niektórych latach dochodziły do dziesięciu metrów wysokości. Wokół rozciągała się bezkresna dal, w której wzrok nie miał się na czym zatrzymać.

Oprócz zimy tak naprawdę trudno wyodrębnić w Workucie inną porę roku. Słońce nie zachodzi od połowy maja do końca lipca — w tym okresie tundra szybko potrafi się zazielenić i pokryć kwieciami, lecz w każdym większym zagłębieniu zawsze leży śnieg. Leżąc na ziemi, nawet w słoneczne dni, dotkliwie odczuwało się zimno, dlatego też kładliśmy się na *buszłatach* lub na deskach. Kwiaty rzadko wydzielały nawet najslabszy zapach, a owoce nie dojrzewały, z wyjątkiem niedużej ilości czarnych jagód. W ciągu dwunastu lat mieliśmy tylko dwa z temperaturą w lipcu do dwudziestu stopni — w pierwszym wypadku stan taki utrzymywał się przez tydzień, w drugim ponad dwa tygodnie. Workuckie „ciepło” było odczuciem względnym — inaczej odczuwali je ludzie, którzy dopiero co przybyli do tego klimatu, a inaczej ci, którzy przetrwali w nim już kilka lat. Ludzie przebywający przez dziewięć miesięcy w temperaturze od minus dwudziestu do minus sześćdziesięciu stopni Celsjusza odczuwali każde podwyższenie temperatury do minus dziesięciu stopni jako ocieplenie, a do zera stopni jako niemal upał.

Grozą tundry była purga. Jest to silny wiatr, wiejący z prędkością czterdziestu i więcej metrów na sekundę, trwający najczęściej trzy doby. Potężne purgi zdarzały się raz lub dwa razy w roku. W czasie pierwszej, którą przeżyłem w kopalni nr 6, widziałem, że zmiana licząca ośmiuset więźniów przeszła po grubej warstwie śniegu, nie pozostawiając po sobie ani jednego śladu. Innym razem, cała nasza zmiana zabłądziła na trasie, którą codziennie chodziliśmy do kopalni — wyszliśmy w innej części obozu i mało brakowało, a ostrzelano by nas z *wyszek*. Na szczęście konwojenci i strażnicy rozpoznali się po głosach.

W czasie purg wzdłuż głównych tras na terenie obozu rozciągano liny, których można było się trzymać. Osoby zaskoczone przez ten żywioł na otwartej przestrzeni nie miały żadnych szans, ginęły i odnajdowano je dopiero latem. Znane były przypadki zasypiania przez śnieg całych pociągów. Purga nanosiła tyle śniegu, że musieliśmy kopać w nim tunele, aby móc dostać się do baraku. Zdarzały się też sytuacje, że nie mogliśmy się wydostać na zewnątrz. Ktoś musiał wtedy odkopać barak z zewnątrz. Cały ruch kołowy w czasie purgi i długo po niej był zupełnie sparalizowany, a po jej przejściu mieliśmy zawsze dużo roboty.

Najpiękniejszym zjawiskiem w tundrze jest zorza polarna. Do rzadkości należy kolorowa zorza polarna, którą w ciągu dwunastu lat miałem okazję oglądać dwukrotnie.

Piękna tego zjawiska nie da się po prostu opisać... Kwiaty, bukiety kwiatów, zwierzęta, mgławice, snopy promieni — wszystko drgające, zmieniające stale swoje natężenie, stopień jasności, a w przypadku kolorowej zorzy polarnej, również barwy.

Oprócz zorzy widziałem i inne rzadkie zjawiska. Jedno z nich miało miejsce w styczniu 1947. Za kołem podbiegunowym słońce w styczniu nie wschodzi, lecz jest schowane za horyzontem. Tamtego dnia powietrze było przepełnione mikroskopijnymi kryształkami lodu, które osiadając uczyniły z nas białe zjawy na tle szarzyny tundry. Nagle na wschodzie pojawiły się bijące wysoko w niebo trzy ogniste słupy, odległe od siebie o około dwadzieścia metrów. Staliśmy przy wartowni kopalni oczarowani pięknem tego niezwykłego widoku. Wiedziałem, że środkowy słup pochodził od słońca schowanego za widnokregiem, a boczne były jego odbiciem. Byli jednak tacy, którzy dopatrywali się w tym zjawisku znaku wróżącego klęski i kataklizmy. Od każdej żarówki w obozie i kopalni były w niebo snopy promieni, przypominające wiązki światła z reflektorów.

Przy silnym mrozie mikroskopijne kryształki lodu, unoszące się w powietrzu, osiadały na brwiach, rzęsach i pod nosem. Między rzęsami było ich czasami tyle, że po wejściu do ciepłego pomieszczenia nie można było nic zobaczyć. Przy lekkim powiewie z północy chowaliśmy twarze lub zakładaliśmy maski własnej roboty. Gdy było bardzo zimno, nawet przy słabym wietrze z północy odnosiło się wrażenie, że cała twarz nakłuwana jest igiełkami. Niektórzy górnicy odmrażali sobie uszy, gdy w hełmie przechodzili odcinek drogi między łaźnią i szybem, odległymi od siebie o niewiele ponad trzydzieści metrów.

W rejonie Workuty tundrę zamieszkują Nieńcy. Pamiętam, że mieszkali w szałasach, lecz gdzieś tam można było spotkać również jurty. Prowadzili życie koczownicze. Ich głównym zajęciem była hodowla reniferów. Z nastaniem większych mrozów wędrowali na południe. Ludzie ci wykonywali piękne wyroby ze skóry reniferów, między innymi znane obuwie, tak zwane *pimy*. Byli bardzo gościnni, a niektórzy z nich przestrzegali zwyczaju oddawania swoich żon nocującym gościom. Niedobór witamin uzupełniali pijąc krew reniferów, często jeszcze ciepłą, oraz spożywając surową wątrobę i surowe mięso. Poza tym mięso kroili w paski i suszyli.

Rdzenni mieszkańcy Komi ASRR nazywali siebie Komiakami. Jeden z przedstawicieli komiackiej inteligencji, pracujący w kopalni nr 1 „Kapitałnaja”, opowiadał mi, że jeszcze długo po rewolucji jego ziomkowie posługiwali się alfabetem łacińskim. Ludność tej republiki skłaniała się ku plemionom zamieszkującym Finlandię i te tendencje u części miejscowych w dalszym ciągu się utrzymywały. Bez świadków chętnie ze mną rozmawiali i zadawali mi szereg pytań. Z prowadzonych rozmów wnioskowałem, że byli nie najlepiej nastawieni do władzy sowieckiej. Do Polaków odnosili się bardzo dobrze i jeżeli mogli w czymś pomóc, chętnie to robili. Byli bardzo pomocni przy przekazywaniu wiadomości do innych kopalń. Dużo opowiadali o gehennie Polaków przywożonych do Workuty w latach 1940–41. Według ich sądów, tylko mała część zesłanych w tamtym okresie dostała się do armii Andersa, bo śmiertelność wśród nich była wyjątkowo duża, a ponadto władze nie ułatwiały im dostania się do polskiego wojska. Niektórzy szli do niego pieszo setki kilometrów i wielu z nich nigdy nie dotarło do celu.

Złoża węgla w rejonie Workuty odkryto jeszcze za panowania carów, jednak ówczesni władcy uznali te tereny za nie nadające się do zamieszkania. Pierwszych więźniów za-

często zwozić kilka lat przed wybuchem drugiej wojny światowej. Miałem możliwość spotkać w Workucie ludzi, którym udało się przeżyć tamte pierwsze lata. Od nich dowiedziałem się wiele na temat wydarzeń, które teraz otaczano tajemnicą.

Kobiety w obozach

W rejonie Workuty kobiety skazane na roboty katorżnicze umieszczono w obozie przy kopalni nr 2. Początkowo trzymano je razem z mężczyznami, tyle że w oddzielnych barakach. Później przedzielono obóz drutami i wszystkie kobiety z wyrokami katorgi umieszczono w jednej z jego części.

W kopalni kobiety pracowały razem z mężczyznami w przodkach węglowych i kamiennych, przy załadunku węgla na przenośniki lub do wagoników, a także przy zakładaniu stropnic i ociosów, czyli tak zwanym *kriepleniju*. Pracowały w sortowniach i przy załadunku węgla z hałd do wagonów kolejowych, czyli na *pogruzce*. Kobiety zatrudniane były również przy wykopywaniu fundamentów w wiecznie zamrożonej ziemi — zwykle jedna trzymała klin, podczas gdy druga uderzała młotem, by odłupać kawał zmarzliny. Wyrabiały beton, ręcznie mieszając cement, żwir i wodę. Dźwigały kamienie na fundamenty. Kamienie musiały być przedtem ogrzane w palenisku, bo podczas mrozu można je betonować tylko po nagraniu do określonej temperatury. Wykonywały obudowy ogniowe na dole w kopalni. Mała liczba kobiet pracowała w służbie zdrowia i w szwalni, przy naprawie odzieży. Jednym słowem, w obozie kobiety pracowały tak jak mężczyźni, wykonując te same prace i przestrzegając tych samych norm. Musiały pracować dostając podle jedzenie, a gdy nie wystarczało im sił, były bite.

Czasami brano je do pracy w kopalniach nr 4 i nr 18. Do kopalni nr 4 wysłano brygadę dwudziestu więźniarek, by spełnić żądania więźniów kryminalnych, odmawiających wyjścia do pracy, jeżeli nie przyślą im kobiet. W tym czasie pracowali tam tylko więźniowie pospolici i kryminaliści. Władze spełniły żądania bandytów i pod pozorem wykonania w kopalni zapór ogniowych, wysłały wspomnianą brygadę, a wśród innych i moja Hankę. Dla władzy był to prosty sposób uniknięcia kłopotów z bandytami. Nie spodziewające się niczego katorżniczki przeszły przez wartownię kopalni i wtedy dopiero zorientowały się w sytuacji. Mężczyźni latami nie mający kontaktów z płcią odmienną, nie mogący zaspokoić swoich żądź, często zwyrodniałych, żyjący stale w sprzeczności z moralnością, na widok przechodzących przez wartownię kobiet wybiegli z łaźni, na śnieg, zupełnie nadzy, a następnie z wrzaskiem i wyciem zaczęli tańczyć jakiś obłąkańczy taniec na oczach swoich przyszłych ofiar. Kobiety, przewidując czekający je los, odmówiły pójścia dalej, nie chcąc bez walki dostać się w łapy bandytów. Usiadły na śniegu koło bramy wartowni, oświadczając, że raczej wolą zamarznąć niż wejść. Nie widząc innego wyjścia, władze zaczęły pertraktować z bandytami. Ustalono, co następuje: „Nie wolno na żadnej kobiecie dokonywać gwałtu, ani zmuszać jej do oddawania się. Przesłępcy żądni kobiet mogą korzystać z tych, które zgodzą się na to dobrowolnie. Jeżeli ten warunek nie będzie przestrzegany, kobiety zostaną zabrane do obozu przy kopalni nr 2”. Z wieloletniego doświadczenia władze i bandyci wiedzieli, że wśród kobiet znajdzie się

kilka chętnych do współżycia w zamian za poprawę warunków bytowych. Gwarancją powyższej decyzji było przydzielenie do ochrony kobiet jednego z hersztów, mającego posłuch u pozostałych kryminalistów. Dzięki tym ustaleniom, co bardziej wpływowi bandyci, w obawie przed utratą chętnych partnerek, trzymali resztę w takich ryzach, że nie było przypadków gwałtu. Mimo to jednak los przywiezionych kobiet był ciężki.

Wśród kobiet w obozach komunistycznego imperium znajdowały się przedstawicielki różnych narodowości, ale najczęściej było Polek, Litwinek, Ukrainek, Łotyszek i Niemek. Większość z nich siedziała z powodów politycznych, a tylko Rosjanki przeważnie za przestępstwa pospolite i bandytyzm. Kobiety-kryminalistki wcale nie ustępowały pod względem okrucieństwa i pomysłowości mężczyznom-bandytom. Za przykład tego może służyć Tamara Kuprijanicha, pochodząca prawdopodobnie z rodziny wymordowanej w czasie rewolucji i wychowana w sierocińcu, w którym, jak większość takich dzieci, zetknęła się ze światem przestępczym. Wpadła i dostała wyrok, zdaje się, że dziesięć lat pozbawienia wolności. W obozie miała dziecko, które zabrano, korzystając z jej nieobecności, gdy była w pracy. Rozpaczała kilka dni i w przyпіlywie matczynego bólu, wywołanego utratą dziecka i bezsilnością, wzięła siekiere, poszła do gabinetu naczelnika obozu i odrąbała mu głowę. Za ten czyn dostała dodatkowy wyrok — dwadzieścia lat katorgi.

Były też dwie Rosjanki nazywane „ciotkami”: Nina i Tania. Robiły wrażenie osób poczciwych, niewinnych, zasługujących na szacunek. Wszystkie kobiety ogarnęło przerażenie, gdy dowiedziały się, że „ciotki” należały w Leningradzie do bandy trudniącej się w czasie oblężenia miasta produkowaniem kielbasy z dzieci. Otrzymały za to wyroki po dwadzieścia lat katorgi.

Niektóre z kryminalistek jawnie uprawiały w barakach miłość lesbijską. Wiele z nich było brygadzystkami lub kimś na liczących się pozycjach — Kuprijanicha, na przykład, stale pełniła funkcję starosty baraku. Prawie wszystkie kryminalistki współżyły z mężczyznami-więźniami. Odbywało się to w kopalni i w barakach. Również wśród innych narodowości zdarzały się przypadki oddawania się kobiet typom należącym do uprzywilejowanych grup. Wśród Polek były to przypadki pojedyncze. Mężczyźni mieli różne sposoby zmuszania słabych kobiet do współżycia, szczególnie ci, którzy sprawowali nad nimi bezpośredni nadzór w pracy. Były również takie, najczęściej wśród Rosjanek, które dobrowolnie, bez żadnego nacisku, uprawiały najstarszy zawód świata. Prawie wszystkie z nich chorowały na syfilis.

Druty nie stanowiły poważnej przeszkody w dostaniu się do żeńskiej *zony*. Nic więc dziwnego, że w kobiecych barakach odbywały się spotkania. Kobiety, te bezpośrednio zainteresowane, organizowały posterunki przed barakami w celu uniemożliwienia narkrycia ich przez władze. Niektóre, bardziej wyrafinowane, wykorzystywały amantów, nie będących w stanie zapanować nad swoimi namiętnościami, do uzyskania maksymalnych korzyści. Robiły to w prosty sposób. Gdy rozpalony żądzą amant zdejmował długie buty i względnie dobre ubranie — bo te ze świata przestępczego z biednymi się nie zadawały — i zostawał już dopuszczony do stosunku, umówione *blatniaczki* [kryminalne], stojące na straży, wpadały z krzykiem, że idzie władza. Zabierały prawie nagiego amanta i chowały, ku uciechu mieszkanek baraku, w jakimś zakamarku, najczęściej pod dolnymi pryzkami. Po pewnym czasie, gdy niebezpieczeństwo niby mijało, zrozpaczony

i wściekły mężczyzna musiał przedostawać się do męskiej *zony* prawie nago, bo odzieży i obuwia bandytki nie oddawały, twierdząc, że w zamieszaniu zaginęły, zabrała je „Wochra”, albo po prostu bezczelnie wmawiała, że niczego nie miał. Mistrzynią aranżowania takich niemiłych niespodzianek była wspomniana Tamara Kuprijanicha.

Po stwierdzeniu przez władzę faktu częstego przechodzenia mężczyzn do żeńskiej *zony*, oddzielono ją wysokim, grubym murem ze śniegu, polewanym w czasie jego wznoszenia wodą — nazywano go murem lodowym. Wykonywali go zawsze głodni inwalidzi, którzy za ochłapy jedzenia powkładali w mur dostarczone przez kryminalistów, pozbawione dna beczki. Były tak dobrze zamaskowane, że nikt ich nie wykrył. Więźniowie w dalszym ciągu przedostawali się do kobiet. Zaczęły się rodzić dzieci. Pierwsze dziecko urodzone w baraku było sporym zaskoczeniem dla władzy. Reakcja jednak była natchmiastowa. Powołana komisja badała uchybienia miejscowych władz odnośnie dyscypliny i czujności. Zarządzono badanie wszystkich kobiet i zaostrzono dyscyplinę, aby uniemożliwić kontakty z mężczyznami poza pracę, lecz życie okazało się przemyślniejsze od nieludzkich metod ustroju i dzieci rodziły się nadal. Nie pomogły groźby umieszczania ojców w obozach karnych, bo kobiety z reguły nie wydawały swoich partnerów.

Dzieci, które nie ukończyły dwóch lat trzymano w baraku, w żłobku, następnie wywożono je do sierocińców, w których były wychowywane na sowieckich obywateli. Podobno matki, po odbyciu wyroku, mogły zabierać swoje dzieci z sierocińców. Było to jednak mało prawdopodobne — jak wszystko głoszone w tym ustroju.

Zarówno w obozie przy kopalni nr 6, jak i przy kopalni nr 2 łaźnie były za małe w stosunku do liczby więźniów. Gdy budowano te kopalnie, więźniów nie było tak dużo. Wówczas więziono własnych obywateli, wyznających tę samą ideologię, mających odmienne zdanie w pewnych kwestiach, skazanych jeszcze za Jeżowa, uznanego zresztą później przez Kreml za wroga ludu. Po wrześniu 1939 przywożono do obozu dużo Polaków, a w 1941 roku nadwołzańskich Niemców, aresztowanych po rozpoczęciu wojny niemiecko-sowieckiej. Wszyscy pracowali w wybudowanych już kopalniach i przy budowie linii kolejowych. W latach masowego dostarczania darmowej siły roboczej z państw demokracji ludowej, nadwołzańscy Niemcy, dłużej tu pracujący, a więc znający lepiej zawód górniczy, byli najczęściej kierownikami oddziałów w kopalniach. Zostało ich mało, bo większość zginęła. Zabory ziem dokonane w Europie umożliwiły Moskwie przywiezienie do workuckich obozów takiej liczby więźniów, że wszystko, co tu wybudowano wcześniej, było za małe.

Polki, przyzwyczajone do większych wygód, szacunku i wyższej stopy życiowej niż obywatelki ZSRR, dotkliwiej odczuwały prymitywne warunki życia. Za chleb musiały kupować od mężczyzn łyżki, kubki, grzebyki, słowem, przedmioty niezbędne, których same nie potrafiły wykonać. Dla większości kobiet najgorsze jednak nie były szykany władzy, podłe warunki życia, bicie i komisyjne badania, lecz środowisko bandytów, z którymi musiały stale obcować.

Przestępcy mieli swoiste poczucie moralności w postępowaniu z kobietami i w praktyce rzadko naruszali swoje zasady. Kobieta żyjąca z jednym z nich była nietykalna dla pozostałych. Gdy kochanek-bandyta odkrył, że jego wybranka go zdradza, okrutnie ją karał. Znany był przypadek wciśnięcia do pochwy jednej z takich kobiet ryby, którą trze-

ba było usuwać chirurgicznie. Prawie w każdej kopalni były przypadki mordowania przez bandytów kobiet winnych zdrady.

Bandyci rzadko dopuszczali się gwałtów, swoje cele osiągnęli metodami pośrednimi, bez konieczności ponoszenia odpowiedzialności za naruszenie prawa. Oporne kobiety były bite, straszone i piętnowane, przyznawano im gorsze jedzenie, a równocześnie ukazywano im nęcące perspektywy łatwego życia i korzyści materialne w przypadku zupełnej uległości. Mniej odporne kobiety ulegały. Nie mogły szukać pomocy u władz.

Gdy bandyta przekonał się, że kobieta, którą sobie upatrzył z nikim nie żyje, nie ma kochanka, dawał jej w przypadku odmowy spokój, choć i od tej zasady również zdarzały się odstępstwa. Zupełnie inaczej wyglądała sprawa, kiedy interesująca kryminalistę kobieta miała sympatię. Wówczas bandyta, któremu wpadła w oko musiał ją mieć, a z rywalem należało się rozprawić. W takiej sytuacji zdarzało się, że dla uratowania bliskiej osoby kobieta oddawała się silniejszemu i bardziej bezwzględnemu typowi. Władze, które wydały zarządzenie zakazu współżycia w obozach patrzyły na to wszystko przez palce.

Moja Hanka niedługo pracowała przy budowie zapór ogniowych w kopalni nr 4. Do kopalni schodziło się po pionowych drabinach. Pewnego razu, zmęczona pracą, po wyjściu na górę oparła się o drzwi przepierzenia, które nie były zabezpieczone i osunęły się. Z blisko trzymetrowej wysokości spadła do wykopu przygotowanego do zalania fundamentów nadszybia. Upadek spowodował uszkodzenie kręgosłupa w okolicach lędźwi i kręgow szyjnych (wiele lat potem stwierdzono, że było to złamanie, lecz po wypadku jedynym zastosowanym leczeniem było leżenie bez gipsu, bo nikt nie zadał sobie trudu, by stwierdzić rzeczywisty stan poszkodowanej). Wypadek ten przesądził o zakończeniu pracy Hanki w kopalni nr 4. Gdy „wyzdrowiała”, zdążyła przesłać mi na Wielkanoc gryps ze wspomnianym już małym upominkiem, kurczaczkiem na malowanej pisance. Było to przed kolejnym wysłaniem jej do pracy, tym razem w kopalni nr 18. Odesłano tam przeszło sto pięćdziesiąt kobiet, ale tym razem nie po to, by spełnić życzenia kryminalistów, lecz do wykonania dużych prac budowlanych. Kobiety umieszczono w barakach starej kopalni. Do miejsca pracy dojeżdżały, w pełnym tego słowa znaczeniu, starą ciuchcią. Nie trzeba chyba podkreślać, jaką „okazję” stanowiły dla mężczyzn ze świata przestępczego, a wszystkimi pracami kierowali oni. I tym razem część kobiet zdecydowała się żyć z bandytami, aby zagwarantować sobie dzięki temu lekką pracę lub w ogóle nie pracować, lecz większość wolała znosić stworzone im piekło, starając się przebywać stale w większych grupkach, choć nie dawało to gwarancji pełnego bezpieczeństwa.

Hanka była napastowana, szykanowana i bita przez typa z czołówki bandyckiej, niejakiemu Siemionowi, który przypadkowo otrzymał mój gryps, przesłany za pośrednictwem Niemca. Prawdopodobnie cała ta historia skończyłaby się tragicznie, gdyby nie wywiezienie Hanki z grupą kobiet do obozu przy kopalni nr 26. Było to w czasie reorganizacji obozów na zwykłe i o zastrzonym rygorze — do tych ostatnich mieli skierować wszystkich skazanych na katorgę. Reorganizację przeprowadzano w wielkim pośpiechu i bez zastanowienia. Spieszono się, jakby od tego zależało bezpieczeństwo imperium. Na całym obszarze ZSRR nastąpiły wędrówki więźniów.

Naczelnikiem obozu przy kopalni nr 26 był enkawudzista polskiego pochodzenia, Lincewicz — po polsku jednak nie mówił. Kobiety pracowały przy budowie jakiejś linii

kolejowej. Najserdeczniejszą koleżanką Hanki była Wanda Cejko, która przebywała w obozie przy kopalni nr 2. Hanka całymi dniami rozmyślała o powrocie do dwójki, lecz Lincewicz nie zgadzał się na to, chociaż od czasu do czasu odsyłał tam małe grupki kobiet. Po większej awanturze, w której Hanka powiedziała mu, że uważała go za człowieka o dobrym sercu, lecz okazał się taką samą kanalią jak inni enkawudziści, zamiast ją ukarać *burem*, wyznaczył ją na etap do obozu przy kopalni nr 2 i osobiście pożegnał przy wartowni. Przyjaciółki jednak niedługo cieszyły się sobą, bo z kolei Wandę wywieziono na „muldy”, co oznaczało kamieniołomy. Praca tam była ciężka, zdecydowanie nie dla kobiet, lecz władze były innego zdania. W roku 1946 w kamieniołomach pracowali mężczyźni, którzy obezwładnili ochronę, zabrali jej broń i oddalili się, znikając w tundrze. Władze zarządziły pościg przy użyciu lotnictwa i wszystkich wymordowali. Była to jedyna ucieczka zorganizowana przez dwóch sowieckich oficerów (jeden był z wojsk ochraniających, drugi odsiadywał wyrok za dostanie się do niewoli), którzy w poczuciu bezradności porwali się z motyką na słońce.

Gdy zaczęto organizować nowe obozy, na pierwszy ogień poszli więźniowie-mężczyźni skazani na katorgę. Od nich trzeba było uwolnić obóz przy kopalni nr 2. Na ich miejsce przywożono kryminalnych i kobiety wpadły w popłoch. Podłogi miały dosyć, a zapowiadało się jeszcze gorzej. Ku zadowoleniu kobiet, zaczęto wywozić je na „muldy”. Wkrótce jednak zabrakło tam miejsca, więc skierowano je do obozu przy kopalni nr 26, gdzie przywieziono również najgorszy element z kobiecego świata przestępczego, który ulokowano w trzech oddzielnych barakach. Kryminalistki nie chodziły do żadnej pracy, nago paradowały po barakach, zapraszając przychodzących dozorców na pryce. Podczas „komisówek” dostawały nagle ataków apopleksji, padały na podłogę, histeryzowały, urządzały między sobą bójki. Według nich jeden barak katorżniczek był uprzywilejowany, ponieważ miał lepsze warunki materialne z powodu przypadkowego doboru kobiet otrzymujących dużo paczek. Te ze świata przestępczego nie mogły ścierpieć, że w pobliżu, tuż pod ich nosem stał barak, w którym więźniarkom powodziło się lepiej niż im. Postanowiły na niego napaść, zabrać co się da, a resztę zdemolować i zniszczyć. Od pomysłu do jego realizacji upłynęło trochę czasu i dowiedziała się o tym władza, która wszędzie miała swoje wtyczki. Naczelnik obozu osobiście powiadomił o niebezpieczeństwie zagrożone kobiety, zachęcając je do przygotowania obrony. Odchodząc, powiedział: „*Brońcie się, jak tylko potraficie. Jeżeli kilka z nich przy okazji zabijecie, nie ponieście żadnych konsekwencji*”. Kobiety pozostawione same sobie poczyniły przygotowania jak w średniowieczu, a więc miały pod ręką wrzątek, cegły, kamienie, kije, pogrzebaczę — wszystko, co mogło się przydać do obrony. Po trzech dniach oczekiwania nastąpił atak. Kryminalistki nie spodziewały się takiego rozwoju sytuacji. Pierwsze, które weszły do środka obezwładniono i wyrzucono na zewnątrz w śnieg. Kolejne zasmakowały kijów, kamieni i pogrzebaczy. Na pomoc napadniętym przyszły Cyganki z sąsiedniego baraku. W końcu przybyli wartownicy, obezwładnili prowodyrównie i zamknęli je w *burze*. Tam jednak również nie było spokoju, bo podpaliły barak. Rezultatem całej historii było wysłanie wszystkich przedstawicielek świata przestępczego do innego obozu.

Kobiety odetchnęły z ulgą, gdy i dla nich przygotowano obóz o zaostrożnym rygorze przy cegielni nr 2, zwany „Kirpicznyj”. W końcu 1949 i w połowie 1950 roku władze przetransportowały do nowego miejsca wszystkie więźniarki z wyrokami katorgi i od te-

go czasu były one wolne od przebywania razem z elementami sowieckiego świata przestępczego. Nie groziło im już jedzenie zupy ugotowanej na głowie kucharza Miszy, odciętej przez bandytów i wrzuconej do kotła. Pewnego dnia brygada, w której była Hanka, wróciwszy z kopalni nr 2 otrzymała zupę, a gdy po jej zjedzeniu, przy wydawaniu posiłku następnym więźniom wyciągnięto z kotła w obecności wszystkich ludzką głowę, wiele osób „pojechało do Rygi”.

W cegielni pracowały przeważnie kobiety. Dyrektorem był Rosjanin Krutow, a naczelnym inżynierem rosyjski Żyd, Kaniewski, były więzień. Jego żona, Rosjanka, była sekretarką organizacji partyjnej cegielni. Kierownikami i majstrami byli najczęściej mężczyźni po odbyciu wyroków lub zesłani bez wyroków za to, że nie można im było niczego udowodnić, ale znali osoby, którym coś udowodniono lub które należały do organizacji wolnościowych. Wśród nich znajdowali się również Polacy.

Na kobietach uczono się również sztuki lekarskiej. Hanka stała się królikiem doświadczalnym, gdy dostała ataku ślepej kiszki. W obozowej służbie zdrowia nie rozpoznano choroby i leczono ją na coś innego. Zapalenie wyrostka robaczkowego rozpoznano tak późno, że musiano przeprowadzić natychmiastową operację. Wykonywała ją żona oficera śledczego, pod nadzorem profesora medycyny z Moskwy, więzionego w workuckich obozach. Operację przeprowadzono przy niedostatecznym znieczuleniu. Owa lekarka, pokazując wyciętą kiszkę, powiedziała do profesora: „*Smatrixie, kakije wriednyje katorżany*” — a zwracając się do ofiary swojej praktyki, rzekła: „*Jeszcze czas, dwa i ty paszłaby w tundru*”. Ponieważ operacja trwała bardzo długo, Hanka o mało nie wykończyła się na stole. W ciągu następnej doby okazało się, że wdała się infekcja. Przeprowadzono natychmiast ponowne otwarcie jamy brzusznej, tym razem w celu jej przepłukania. Rezultatem tych zabiegów była długa choroba Hanki, która ledwo wyszła cała z tej sytuacji. Innym razem, gdy leżała w tym samym obozie chora na gruźlicę, pielęgniarka dała jej zastrzyk z wapnia domięśniowo zamiast dożylnie i wypalone tkanki pozostawiły dużą bliznę na całe życie. Podobne wypadki w obozach były nagminne.

Praca w cegielni była ciężka. Glinę do produkcji cegły przywożono w wagonikach kolejki linowej z drugiego zakładu. Kopali ją więźniowie. Kobiety wykonywały wszystkie prace przy produkcji cegieł. Należały do nich: rozładunek gliny z wagoników, załadunek do bunkrów, by w nich odtajały, wyładunek z bunkrów, formowanie cegły, załadunek do wagoników, pchanie ich do suszarni (gdzie panowała wysoka temperatura), wypalanie, pchanie wagoników załadowanych wypaloną cegłą do miejsc załadunku do pociągów, a gdy ich nie było, wyładowywanie i układanie cegieł w przymy. Wszystkie te prace wykonywano ręcznie. Kierownikiem działu budowlanego cegielni był Litwin z Wilna. W brygadzie miał skazane na katorgę Litwinki i — jak mówiono — stworzył namiastkę Litwy. Szefem jednej z brygad budowlanych kopalni nr 2 był Łotysz, oficer SD*, skazany na dwadzieścia lat katorgi. Znalazł uznanie w oczach władz dzięki bezwzględnemu pędzeniu do pracy tych, którzy nie tak dawno z nim walczyli.

Wszystkie prace były ciężkie. Zważywszy na to, w jakim klimacie i jakich warunkach je wykonywano, nic dziwnego, że pozostawiały trwałe ślady na zdrowiu. Najgorsze było wpychanie i wypychanie wagoników z cegłami do i z suszarek. Więźniarki, odziane tyl-

* *Sonderdienst* (Służba Specjalna)

ko w fartuchy, zalewały się potem. Każda z nich robiła wszystko, aby się od tej pracy uwolnić, lecz musiały stale do niej wracać, do momentu kiedy nie nadawały się już do niczego.

Kobiety w cegielni przeżyły kiedyś straszny wstrząs. Widziały jatkę koleżanek, więźniarek załadowanych na samochód ciężarowy i oddanych pijanemu kierowcy, który wwiózł je prosto pod jedyny pociąg na bezkresnej, śnieżnej równinie. Wszystkie zostały zmasakrowane lub ciężko okaleczone, jak jedna z Ukrainek, która straciła w tym wypadku ręce i nogi. Moja Hania tylko przez przypadek nie znalazła się wśród ofiar. Nikogo z kierownictwa nie ukarano, a osiemnastu rodzin nigdy nie zawiadomiono o śmierci ich najbliższych.

Kopalnia nr 1 „Kapitalnaja”

Kopalnia nr 1 była położona najbliżej miasta Workuty. Nazywano ją „Milionką”, bo roczne wydobycie węgla wynosiło w niej powyżej miliona ton. Bezpośrednio przed naszym przybyciem eksploatację w kopalni prowadzili więźniowie sądzeni z paragrafów o przestępstwa pospolite. W czasie śledztwa wszyscy oni śledzili charakter pięciolatek, wyciągając wnioski o natężeniu aresztowań, wysokości wyroków i warunkach obozowych. My, Polacy, nie orientowaliśmy się w tajnikach współpracy sądów z rządem i partią w celu wypełnienia więźniami obozów w ilościach potrzebnych do wykonania planowanych zadań. Pierwszym, który poinformował mnie o powiązaniach aresztowań i wysokości wyroków z planami pięciolatek był częsty bywalec obozów, Piśmienny — *starszyzna* z karnych batalionów.

Nasz nowy obóz miał bardzo ważne udogodnienie w porównaniu z poprzednim — korytarz łączący go bezpośrednio z kopalnią. Pozwoliło to na wyeliminowanie konwoju przy przechodzeniu z obozu do kopalni i z powrotem, a tym samym ciągłego oczekiwania przed bramami. Długość korytarza wynosiła około stu metrów. Między obozem a kopalnią była tylko jedna wartownia. Wszystko było otoczone wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego. Dziesięć metrów przed i za ogrodzeniem ciągnęła się *zona* śmierci, kontrolowana przez patrole, które sprawdzały, czy na śniegu lub na ziemi nie ma śladów sugerujących ucieczkę. Mniej więcej co pięćdziesiąt metrów stały *wyszki* z żołnierzami uzbrojonymi w karabiny maszynowe. Światłem z reflektorów pokrywano linię ogrodzenia i pasy śmierci wokół całego obozu. Niezależnie od tego, lampy umieszczone na wysokich słupach dodatkowo oświetlały cały obóz. Za ogrodzeniem i pasem śmierci trzymano psy, przystosowane do życia w warunkach polarnych, tresowane w rzucaniu się na więźniów. Byliśmy dobrze strzeżeni. Nie było wypadku przekroczenia tej *zony*.

Przez wartownię przechodzili wolni pracujący w kopalni. Było ich więcej niż w kopalni nr 6. Przy wchodzeniu na teren kopalni i po jego opuszczeniu byli kontrolowani. Przez specjalną wartownię obozu wychodziły brygady więźniów pracujących na budowach poza obozem i kopalnią. Brygady te prowadził konwój z psami.

Kopalnia miała kilka poziomów, na które zjeżdżało się w kłatkach. Na głębokości osiemdziesięciu metrów znajdował się poziom wentylacyjny. Poza dwoma szybami pionowymi, do niższych poziomów prowadziły szybiki do zjazdu ludzi i szybik skipowy do wywożenia urobku. Największa głębokość wynosiła sześćset metrów. Kopalnia była gazowa, ale ponieważ metanu było dużo, nie zawsze tworzył z powietrzem mieszaninę wybuchową. Podczas pracy maszyny wrębowej jej noże nagrzewały się do tego stopnia, że zapalał się metan wydobywający się z węgla. Zdarzało się, że górnicy zdejmowali wówczas fufajki i gasili nimi jęczyczki palącego się metanu, wyglądające jak ogniki świętojańskie. Ściany niskie eksploatowano w pozycji leżącej. Na dole pracowały jeszcze konie,

powoli wypierane przez elektrowozy bateryjne. Od roku 1950 zaczęła się mechanizacja w przodkach węglowych i w chodnikach kamiennych. Kamień wywożono tonowymi wagonikami na *terikonik* [hałdę kopalnianą]. Chodzenie po nim było niebezpieczne ze względu na możliwość zapadnięcia się. *Terikoniki* były charakterystycznym elementem nowego krajobrazu tundry. Na tle bezkresnej bieli, a w lipcu czerni, dominowały wysokie, zawsze czarne, dymiące piramidy.

Należałem do grupy osiemnastu ostatnich katorżników odesłanych do kopalni „Kaptalnaja” z kopalni nr 6. Następnego dnia rano zaprowadzono mnie przed oblicze naczelnego inżyniera Szewieliowa. Słyszał o mnie jako o znawcy ładowarki na licencji angielskiej, pracującej w kopalni nr 6. Uruchamiałem ją i nadzorowałem jej remonty. Pech chciał, że w kopalni nr 1 ładowarka ta nie pracowała ani w czasie pobytu więźniów pospolitych, ani po przybyciu katorżników. Oto przyczyna, dla której Szewieliow, zobaczywszy mnie, powiedział: „*Znasz ładowarkę z łapami, więc pójdziesz na niej pracować, ale najpierw musisz ją uruchomić. Pracę zaczniesz od 21 listopada [1948]*”. Nigdy nie mogliśmy wysuwać argumentów przeciw decyzji władz, bo wymagano od nas bezwzględniego posłuszeństwa.

Wiedziałem, że w biurze konstrukcyjnym nie było miejsca, ponieważ sprowadzono tam więźniów z różnych kopalń — oprócz mojego rodaka Pietryka przyjęto również dobrego sowieckiego konstruktora Walerego Czirkina. Naczelnikiem warsztatu mechanicznego był Estończyk Jostmann, który jako były trockista, po odsiedzeniu wyroku, nie otrzymał prawa do wyjazdu z Workuty. Warsztat był dużo większy niż w kopalni nr 6. Miał cztery tokarki, strugarkę, frezarkę i półautomat do nacinania gwintu na śrubach i nakrętkach. W hali była suwnica, a w kuźni młot pneumatyczny. Przed przybyciem katorżników na frezarce pracował więzień sądzony za przestępstwa pospolite, którego przeniesiono do obozu przy kopalni nr 6. Ważna dla kopalni maszyna stała bezużyteczna, bo z politycznych nikt nie umiał na niej pracować. Kopalnia ponadto potrzebowała kół zębatach do zakończenia remontu kilku maszyn. Nowe części dostarczano rzadko i były one wykonane w bardzo prymitywny sposób. Władze, partia, NKWD nie interesowały się tymi sprawami.

W 1937 roku, będąc na praktyce w batalionie pancernym, pracowałem na frezarce. Praca ta interesowała mnie jako inżyniera, ale nigdy nie przypuszczałem, że nabyte wtedy umiejętności będą dla mnie ratunkiem w obozie za kołem podbiegunowym. Naczelnik warsztatu zaproponował mi pracę frezera, lecz dla przekonania naczelnego inżyniera kopalni o konieczności pozostawienia mnie w warsztacie, a nie przy ładowarce, musiałem zdać egzamin praktyczny. Naczelnik, zadowolony z wyniku egzaminu, poszedł do dyrektora kopalni przekonywać go o większych korzyściach płynących z pozostawienia mnie w warsztacie. Dyrektor przystał na propozycję, a jego zastępca Szewieliow przydzielił mnie do warsztatu.

W kopalni nr 1 panowały dobre warunki sanitarne. Znajdowała się w niej duża łaźnia z oddzielnymi pomieszczeniami na czystą i brudną odzież. Była także suszarnia.

Rieczłag

Rozpocząłem życie w Rieczłagu*. Różnił się od obozu kopalni nr 6 tym, że miał dużą łaźnię i obszerniejszą stołówkę, bo liczył ponad pięć tysięcy więźniów-katorżników. Baraki były typowe. Pod względem czystości Rieczłag stał dużo wyżej niż obóz przy kopalni nr 6.

Na wszystkie okna baraków pozakładano kraty i warsztat miał sporo roboty przy ich wykonaniu. Dlaczego je założono, nikt nie potrafił odpowiedzieć, ponieważ nie było logicznego wytłumaczenia dla faktu, że pospolici przestępcy nie mieli krat w barakach, a katorżnicy musieli przebywać za kratami...

Jak już wspomniałem, każdy więzień, a więc i katorżnik, miał swoje konto do rozliczania się kopalni z obozem. Dla władz obozu stanowiło ono jeden z elementów karty personalnej. Na kontach dokumentowano wszystko, co więzień otrzymywał — od podłego jedzenia, przez rozpadającą się odzież i miejsce w 120-osobowym baraku aż do kosztów ochrony przez wojska NKWD. Wszyscy byliśmy winni za swoje życie partii i władzy sowieckiej. W tym obozie nikomu nie naliczano żadnych pieniędzy i więźniów nie mógł posiadać nawet kopiejki. Rygor zabraniający posiadania pieniędzy był ściśle przestrzegany, a znalezienie przy więźniu choćby kilku kopiejek było karane izolatorem lub *burem*.

Każdemu więźniowi przysługiwało prawo pisania dwóch listów do rodziny w roku i otrzymywania również dwóch. Przestrzeganie tego prawa wyglądało różnie. Wszystkie listy musiały przejść cenzurę, która miała problemy nie do pokonania: brakowało zaufanych ludzi do przeczytania ogromnej liczby listów, pisanych w różnych językach i różnymi charakterami pisma. Nie wolno było wysyłać listów poza granice ZSRR. Duża część korespondencji trafiała od razu do kosza i jeżeli ktoś od czasu do czasu otrzymał odpowiedź, uważany był za człowieka, do którego uśmiechnęło się szczęście. Tłumaczono więźniom, że rodziny nie piszą dlatego, że wyrzekły się ich jako zdrajców ojczyzny.

Na noc baraki zamykano od zewnątrz. W pierwszym okresie naszego pobytu na terenie obozu było jeszcze dużo więźniów kryminalnych. Gdy w trzecim dniu po przybyciu zjechałem z trzema innymi katorżnikami na dół, na podszybie obstała nas grupa bandytów i zabrała naszą odzież, dając w zamian gorszą. Wraz z ubywaniem więźniów kryminalnych, skład narodowościowy obozów zmieniał się tak, że większość zaczęli stanowić obywatele narodów nowo przyłączonych do ZSRR. Zdecydowanie najwięcej było żołnierzy

* W myśl ustawy Rady Ministrów ZSRR z 21 lutego 1948 powołane zostały Obozy Specjalne o zastrzonym rygorze (*Osobyje łagieria — osobłagi*) dla skazanych za „przestępstwa kontrrewolucyjne”. Zaliczał się do nich, utworzony 27 sierpnia 1948 na bazie części podobozów Workułagu, Obóz Specjalny nr 6 (Riecznoj — Rieczny Łagier). Zob. Siergiej Sigaczow, *Łagry OGPU-NKWD-MWD ZSRR w regionie workuckim*, w: *Indeks Represjonowanych*, t. 10 cz. 2, Warszawa 2001, s. 23.

rzy Armii Czerwonej, którzy przeżyli niemieckie obozy. Była również nieduża część bandytów skazanych za morderstwa i rozboje na przedstawicielach władzy sowieckiej.

Więźniom *osoblagów** ciążyła niepewność jutra stale podsycana przez władze, które przy każdej okazji przypominały o czekającej wszystkich śmierci. Mieliśmy świadomość tego, że skoro po trzech latach od zakończenia wojny władze Kremla organizują specjalne obozy o zaostrożnym rygorze, to mają w tym swój cel, który będą realizować z całą bezwzględnością. Wszystko upewniało nas, że stworzony Rieczłag ma charakter obozu śmierci.

W *osoblagach* za najmniejsze przewinienie karano izolatorem lub *burem* i stale przeglądano akta spraw, jakby chciano wykryć coś nowego, aby móc zwiększyć wyrok. Donosiciele byli w każdym baraku i w każdej brygadzie. Kilku śledczych stale werbowało konfidentów. Niezależni od władz obozowych i kopalni, nie przebierali w środkach, gdy szło o zmuszenie do donosicielstwa — grozili, straszili, nękali stałymi wezwaniami na śledztwo, przenosili do gorszych prac, wsadzali do karceru. Gubili się w swojej gorliwości i często doprowadzali do absurdów. Dwóch z nich próbowało zwerbować Niemców pracujących w charakterze konstruktorów w biurze projektowym. Ci ostatni, bojąc się odmówić i tym samym pogorszyć swoją i tak już ciężką sytuację, zgodzili się na współpracę, postanawiając wykorzystać fakt, że każdy z nich został zwerbowany przez innego śledczego. To odkrycie pozwoliło im na zaplanowanie donosów na siebie, jeden na drugiego. Od czasu do czasu karano ich karcerem, ale za donosy otrzymywali tytoń, gazety na skręta i dodatkowe jedzenie. Solidarnie dzielili się każdą uzyskaną zdobyczą. Dość długo udawało się im wodzić śledczych za nos, lecz w końcu zorientowano się w ich grze i obu posadzono w *burze*, a następnie wywieziono do innego obozu.

W Rieczłagu częściej dokonywano rewizji w barakach. Dzień i noc stale czegoś szukano. Opieka zdrowotna była na tym samym poziomie, co w poprzednim obozie, z tym że w służbie zdrowia pracowało niewiele osób ze środowiska kryminalnego. Rano zabierano chorych i rozebranych do naga trzymano do czasu, aż lekarz uznał za wskazane rozpocząć badanie, polegające na obejrzeniu pacjentów i zmierzeniu im temperatury. Część personelu nie miała żadnych kwalifikacji. Chory miał szczęście, gdy trafił na dobrego lekarza.

Codzienne to samo. Malowanie numerów i rewizje w miejscach pracy. Dodatkowo wprowadzono nakaz oddawania honorów wszystkim oficerom i wolnym z obozowej władzy, które polegało na przyjęciu postawy na baczność oraz na zwróceniu głowy w stronę przechodzącej osoby. Na terenie obozu zabroniono również zbierania się w grupy większe niż trzyosobowe, ale po jakimś czasie zakazu tego nikt nie przestrzegał.

W kopalni i na powierzchni pracowało wielu wolnych oraz tych, którzy odsiedzieli swoje wyroki, ale nie mieli prawa opuszczenia okolic Workuty. Tylko nieliczni otrzymywali zezwolenie na wyjazd w czasie urlopu.

Raz do roku nasze obozy kontrolowano. Akcję tę przeprowadzali naczelnicy obozów w rejonie Workuty, ich zastępcy, służby bezpieczeństwa, naczelnicy służby zdrowia i KWCz. Była to wielka uroczystość dla kierownictwa. Z takiej okazji władze każdego

* W oryginale wspomnień „rieczłagów”, lecz w rzeczywistości nie istniała taka kategoria obozów. Chodzi o Obozy Specjalne (*osoblagi*).

wizytowanego obozu z reguły nakazywały zabić jedną lub dwie świnie. Każdy obóz miał niewielką hodowlę świń, które karmiono tym, co w rzeczywistości było przeznaczone dla więźniów. Na miesiąc przed wyznaczoną kontrolą wszyscy więźniowie, przed lub po pracy, musieli dodatkowo przepracować jedną lub dwie godziny przy porządkowaniu obozu. Wywozili śnieg, oczyszczali z niego drogi i place, wykonywali hasła z kamieni. W widocznych miejscach — na placach i przed ważniejszymi obiektami obozu malowano baraki, zamiatano drogi, słowem, upiększano wszystko na pokaz. W dniu przeglądu obozu dodawano nam do drugiego dania 50 gramów wieprzowiny. Do głównego zadania komisji należało stwierdzenie, że jesteśmy dobrze odżywiani, mimo że byliśmy wrogami i zdrajcami sowieckiej ojczyzny. Potem następowała głośna dyskusja na temat, czy władza przypadkiem nie traktuje swoich wrogów zbyt pobłażliwie. Członkowie komisji podchodzili na stołówce do jedzących i smakując przynieszone nam jedzenie, głośno wychwalali obozowe władze za tak smaczne potrawy, a gdy zauważali ten propagandowy kawałek mięsa, krzyczeli: „*Karmicie ich nawet wieprzowiną! Ci zdrajcy ojczyzny nie są warci takiego traktowania. Jak wspaniałe i wspaniałomyślne są nasze władze i ustrój!*”. Odgrywali tę komedię, pomimo że każdy z nich wiedział, że te kilkadziesiąt gramów mięsa było oszustwem. Komisje kadyły sobie wzajemnie, zachłystując się, chwając swoją pomysłowość i prześcigając się w pochwałach dla władzy. Nic dziwnego — ćwiczyli się w tym już wiele lat i niczego innego nie umieli robić. Rosjanie nazywali to *oczkwotiratelstwem* i uznawali za jeszcze jedną formę znęcania się. Był to wypróbowany sposób podkreślania nam naszej bezsilności.

Prowadzący śledztwa stale wszystkich podejrzewali — a to o przygotowania do ucieczki, sabotaż, a to o kontynuację konspiracji, szpiegostwo, przekazywanie wiadomości wrogom ZSRR, a nawet o kontakty z zagranicą.

Na terenie obozu przy kopalni nr 1, oprócz izolatora i *buru*, znajdowało się więzienie dla zasądzonych po raz kolejny i mały obóz dla przestępców małoletnich, składający się z kilku wydzielonych baraków.

Jeszcze jedna makabra towarzyszyła nam we wszystkich obozach północy — były nią ubikacje. Latryny znajdowały się w wolno stojących budach zbitych z desek. Stały w miejscach oddalonych od baraków. Każdy obóz, w zależności od liczby więźniów, miał jedną, dwie, lub trzy takie budy. Między deskami były duże szpary, przez które dostawał się do wnętrza śnieg. Latryna miała rów, a wzdłuż niego drąg do siadania lub deskę, na której można było przykucnąć. Drąg i deski były zawsze oblodzone i zdarzały się wypadki wpadnięcia więźniów do dołów kloacznych. Nie groziło to utonięciem w fekaliach, bo te były zamrożone. Przed udaniem się do latryny każdego ogarniał lęk, szczególnie w czasie zawiei i purg, a także podczas silnych mrozów, dochodzących przy północnych wiatrach do sześćdziesięciu stopni Celsjusza. Kobiety miały szczególny powód do obaw, ponieważ latryny były wspólne... W godzinach od 20.00 do 6.00 załatwialiśmy się do kibli w barakach, ale gdy je otwierano na przełomie drugiej i trzeciej zmiany, to aby nie doprowadzić do nadmiernego zanieczyszczenia powietrza w przepelnionych pomieszczeniach, każdy starał się pójść do latryny. Smród z kibli pogarszał już i tak nie najlepsze warunki, lecz nikogo z władz to nie obchodziło.

Nowa rzeczywistość

W kopalni nr 1 „Kapitalnaja” pracowałem bez obaw, że ktoś inny ma chęć na moje miejsce pracy. Początkowo trzeba było uzupełnić narzędzia niezbędne do wyposażenia frezarki, by można było na niej wykonywać prace, do których była przeznaczona. Pracy było dużo ze względu na zaległości powstałe po zabranii obsługującego ją więźnia. Naczelnicy dość często się zmieniali. Estończyk Jostmann nie był na stanowisku nawet osiem miesięcy, bo nowymi ofiarami władz stali się trockiści, którzy po odsiedzeniu dziesięciu lat byli już na wolności. Nadszedł dzień ponownego „zaopiekowania się” tymi ludźmi. I tak, na wszelki wypadek, wszyscy trockiści, a między innymi główny mechanik kopalni nr 6 Golikow i naczelnik warsztatu kopalni nr 1 Jostmann, znaleźli się z powrotem w więzieniu.

Gdy brakowało pracy przy frezarce, zatrudniano mnie przy innych robotach, przede wszystkim przy konstrukcjach wykonywanych według rysunków. Do tych prac starano się przeznaczać pracownika umięjącego czytać dokumentację techniczną, a takich było niewiele. Zastępcą naczelnika warsztatu był zawsze więzień, tak zwany *zawproizwodstwa* (szef produkcji). W tym czasie był nim Ukrainiec, Kowalenko. Kierownikami, czyli sztygarami poszczególnych zmian, byli więźniowie lub spece z wolności, fachowcy których nikt nie mógł sprawdzić. Do prowadzenia zmiany potrzeba było albo ludzi o pewnym zakresie wiedzy i doświadczeniu, albo o wyjątkowej bezczelności... W wolnej konkurencji brak fachowcy wyszedłby na jaw natychmiast, lecz w dyktaturze, w której wszystko musiało być najlepsze, a mówienie o złych stronach czeokolwiek było uważane za przejaw wrogości wobec władzy i ustroju — zaniechanie krytyki było odruchem samozachowawczym.

W kopalniach dozorem na szczeblach niższym, średnim i wyższym zajmowali się Rosjanie lub przedstawiciele innych narodów ZSRR. Tacy jak my, należący do narodów świeżo ujarzmionych, mieli dopiero uczyć się na niedoścignionym wzorcu. Wśród Rosjan zawsze znalazło się kilku dyrektorów, naczelnich inżynierów i innych fachowców, lecz każdy człowiek znający się odrobinę na technice szybko orientował się w ich ignorancji. Nikt jednak nie dawał po sobie poznać, że o tym wie, bo szybko znalazłby się w kopalni albo otrzymałby najgorsze jedzenie. Ten stan pozwalał sprytniejszym na świadome uprawianie sabotażu przez wykonywanie niedostatecznych remontów lub fatalnych części zamiennych. Byli jednak też tacy, jak wysokiej klasy inżynier elektryk Biereznoj, który nie przyjmował żadnych kierowniczych funkcji, aby nie pędzić do pracy innych więźniów.

Poznając sowiecką rzeczywistość powoli uświadamiałem sobie, dlaczego w tak bogatym kraju żyje się na tak niskim poziomie. Dobre konstrukcje były przeważnie obcego pochodzenia, ale Sowietci i tak uważali swoje za najlepsze, choćby były nieudane. Naj-

lepszy był ten kierownik, który pracowników potrafił zastraszyć krzykiem, umiał agitować i na zebraniach sypać hasłami jak z rękawa. Zdecydowaną większość wszystkich więźniów stanowili robotnicy. Wśród nich byli dobrzy fachowcy, lecz najczęściej znali się tylko na jakimś jednym elemencie cyklu produkcji. Należał do nich również pewien frezzer, który — jak się okazało — był specjalistą tylko od frezowania rowków. Postanowiłem nauczyć go wykonywania wszystkich robót, jakie są potrzebne w warsztacie — i tak się stało.

W obozie przy kopalni nr 1 znaleźli się więźniowie pochodzący ze wszystkich zakątków ZSRR. Spotkałem tam rodaków, którzy wcześniej byli w różnych kopalniach i przez ten czas zdążyli nauczyć się nowych zawodów związanych z górnictwem, ślusarstwem, budownictwem czy medycyną. Nie było zawodu, w którym nie pracowałby jakiś Polak.

W obozach miałem możliwość zebrać ogromną ilość wiadomości o całym imperium pierwszego robotniczego państwa. Spotykałem tam różne osobistości, które jeszcze nie tak dawno decydowały o wielu elementach sowieckiego życia...

Po kłesce Czang Kaj-szeka w 1949 roku, przez cały rok 1950 oraz część 1951 przywzono z Chin dużo rosyjskich emigrantów. Podczas rewolucji przedostała się tam pewna część rosyjskiej arystokracji, między innymi poznany przeze mnie książę Uchtomski, posiadający ogromne dobra na Ukrainie. Często mawiał: „*Jacy byliśmy, tacy byliśmy, ale nikt z naszego powodu nie umarł z głodu, a nowi — ci lepsi — głodem wyniszczyli na Ukrainie miliony*”. Książę Uchtomski miał barwną przeszłość. W Chinach spotykał się z osobami współpracującymi z wywiadem. Otrzymał wysoki wyrok za zdradę ojczyzny. Często wzywano go na śledztwo do Moskwy, bo od czasu do czasu wpadał ktoś z jego otoczenia — uważano go za osobę wiedzącą wszystko o działalności szpiegowskiej na terenie Chin. Dość długo byliśmy w jednym baraku. Miał dwie namiętności: grę w szachy i słuchanie wiadomości podawanych przez moskiewskie radio. Stale usiłował znaleźć ziarnko prawdy w zdaniach płynących z głośników zainstalowanych w barakach. Był namiętnym palaczem. Kiedyś zwierzył mi się, że rodzice, uciekając w czasie prześladowań podczas rewolucji, zakopali w swoich majątkach dużo przedmiotów ze srebra i złota — miał nadzieję na odnalezienie tego bogactwa w przyszłości. W 1954 roku zmarł na żółtaczkę. Miał tylko tę satysfakcję, że przeżył Stalina.

Więzień chory na żółtaczkę był skazany na śmierć, bo choroba ta wymagała przestrzegania ścisłej diety, co w obozie było niemożliwe. W czasie mojego pobytu w baraku szpitalnym z powodu zapalenia nerwów, widziałem jednego Polaka, który umierał właśnie na żółtaczkę. Przed śmiercią omal nie zwariował — krzyczał na cały barak, że chce umierać w kraju, na ojczystej ziemi, wśród swoich. Krzyki te wywierały na wszystkich ogromne wrażenie, bo każdy widział w tym umierającym siebie i swoją bezsilność. Nikt nie mógł mu pomóc.

Najwięcej wiadomości przekazywano w obozie przy pomocy grypsów. Więźniowie byli niepoprawni w naruszaniu perfekcyjnie opracowanych zakazów obozowych, mających gwarantować niewolniczą uległość katorżników. Część osób z wolnej sowieckiej inteligencji, w rozmowie w cztery oczy z ludźmi według nich godnymi zaufania, dyskutowała na tematy stanowiące tabu. *Osobłagi* były chyba jedynym miejscem w ZSRR, gdzie można było rozmawiać o sprawach, których poruszenie na wolności groziło więzieniem lub zsyłką.

Ponownie spotkałem się z Karolem Prassem z celi katorżników we Lwowie. Nie mógł się nacieszyć tym, że ma możliwość prowadzenia rozmów w języku ojczystym, bo tam, gdzie przebywał nie było Polaków — miał wokół siebie tylko Ukraińców i Rosjan.

W obozie nr 1 zebrano ponad stu Polaków, z których większość pochodziła ze wsi lub wywodziła się z klasy robotniczej, przeważnie z województwa wileńskiego i nowogródzkiego. Starali się wcisnąć na stanowiska pracy, na których były większe szanse przetrwania, a więc do służby zdrowia, kuchni, biur, warsztatów, a w kopalni do służby mierniczej. Mogli to osiągnąć tylko ci, którzy wyszli zwycięsko z rywalizacji z Rosjanami, Ukraińcami i innymi Sowieciami. Większość jednak musiała pracować na dole w kopalni albo na powierzchni. Trudno orzec, która z tych prac była cięższa. Na powierzchni, oprócz wysiłku fizycznego, walczyło się z ostrą zimą trwającą trzy czwarte roku, przy jednoczesnym otrzymywaniu gorszego jedzenia.

Część osób, głównie ze służby zdrowia, starała się pisać. Wśród rodaków znalazło się kilka osób z talentem — powstawały utwory pisane prozą i wierszem. Do pierwszych należała *Purga*, do drugich *Hymn Katorżników*. Karol też pisał, bo miał pracę, która mu na to pozwalała; pracował przy pompach głównego odwadniania — *wodootliwie*. Doniósł na niego jeden z Ukraińców, w wyniku czego Karol był przesłuchiwany i bity tak bardzo, że potem nie miał już odwagi, a raczej chęci do dalszego pisania. Spisywał kronikę życia obozowego, ale nie przyznał się do tego podczas śledztwa, a swoje materiały ukrył za obudową jakiegoś wyrobiska. Później zaszły wypadki, które nie pozwoliły na ich odzyskanie.

Udało mi się, jak już wspomniałem, nauczyć jednego z Rosjan pełnego wykorzystania frezarki. Wykonywaliśmy koła zębate, jakich nie robiła workucka fabryka, pomimo posiadania lepszych frezarek. Robiliśmy wszystkie koła, oprócz łukowych — część z nich trzeba było wykańczać ręcznie. Czas nie odgrywał roli. Ten Rosjanin wkrótce zastąpił mnie przy maszynie, a ja zostałem przydzielony do prac nad sześciotonową konstrukcją skipu wyładowującego materiał na *terikonik*. Wykonywaliśmy ją razem z Ukraińcem, pracującym przed aresztowaniem przy budowie mostów. Trwało to pół roku. Gdy konstrukcja była gotowa, zaangażowano dwieście osób do przeciągnięcia jej pod *terikonik* odległy o około 250 metrów od warsztatu. Ludzie pracowali przy tym na czterdziestostopniowym mrozie. W czasie uruchamiania maszyny rozszalała się purga, podczas której musieliśmy usuwać i poprawiać błędy projektantów. Od gryzących dymów wydobywających się z *terikonika* traciliśmy siły i orientację, a popędzani przez niecierpliwą się władzę, o mało przy tej pracy nie skonaliśmy.

Następnie zaproponowano mi prowadzenie zmiany, liczącej w zależności od tego, czy była to zmiana dzienna, czy nocna, od piętnastu do trzydziestu ludzi. Musiałem nauczyć się różnych norm, by znać je lepiej od osób wyceniających naszą pracę. W tej dziedzinie obowiązywały ciekawe zasady: żaden pracownik nie wiedział, za ile pracuje, więzień nie wiedział, jaki otrzyma kocioł, a wolny, ile zarobi. Nikt nie otrzymywał wyceny pracy przed jej wykonaniem. Prowadzący zmianę pisał każdemu na świstkach papieru rodzaj wykonywanej roboty. Te papierki trafiały do biura normowania, do wyceny opisywanych prac, na podstawie której więzień otrzymywał ten lub inny kocioł, a wolny zapłatę w rublach. Niezależnie od ilości wykonywanej pracy, normujący ją otrzymywali górne pułapy poszczególnych kotłów przydzielanych brygadzystom warsztatów. Jeżeli

więzień wykonał mniej niż 100 procent normy, otrzymywał kocioł karny. Każdemu sztygarowi zmiany zależało, aby jego pracownicy dostawali maksymalne ilości jedzenia osiągalne w danej brygadzie i dlatego musiał się orientować, na ile zostaną wycenione opisane roboty. Ilość wykonanej pracy wypisywał magazynier, przyjmujący od pracowników gotowe, wykonane lub naprawione części, podzespoły i zespoły. Ratowały nas prace remontowe, niewymierne, odnotowywane tylko na karteczkach. W nich szukałem natchnienia. Wypisując prace, spoglądałem na suwnicę, obrabiarki, sprężarkę, młot pneumatyczny, kombinując, dla której z tych maszyn mógłbym wypisać fikcyjną awarię. Mój Boże, ileż to razy naprawiano różne urządzenia i maszyny na każdej zmianie! Gdyby w tym ustroju przyszło komuś na myśl analizować papierki, można by wyciągnąć pouczające wnioski i zapewne dużo by się zmieniło. Ale nikomu na tym, na nasze szczęście, nie zależało.

Na mojej zmianie pracował wolny Niemiec o nazwisku Flochner. Był kowalem i miał pomocnika, który był więźniem. Inaczej wypisywałem pracę wolnemu, a inaczej więźniowi. Wolny otrzymywał wynagrodzenie od wykonanej produkcji, a więzień najwyżej piąty kocioł, nawet gdyby urobił sobie ręce po łokcie i zrealizował plan w 300 procentach. Wolnemu dawałem prace lepiej płatne i trzeba było do nich dopisywać fikcyjne. Nie miałem z tym żadnych trudności, bo posługiwałem się metodami wypróbowanymi i powszechnie stosowanymi w ZSRR. Należały do nich: przekuwanie materiału z dużych średnic na małe oraz zamiana małych średnic na większe. Bywało, że na jednej zmianie pisałem przekuwanie części ze średnicy 150 milimetrów na 70, a następnie spęczanie z 70 milimetrów na 150, bez obawy, że się to wyda. Na spęczanie była lepsza norma. W ten sposób, bez wykonania wypisanych prac, więźniowie mogli otrzymać lepszy kocioł, a wolni zarobki, umożliwiające im jako takie życie. Metody te, stosowane szeroko, zadowalały wszystkich, a szczególnie władzę, która mogła wykazać się przed narodem wielkimi osiągnięciami...

Miałem dwóch świetnych kowali: Kartaszowa — obywatela ZSRR — i Ukrainca z terenów zabranych Polsce, Szulgę. Pierwszy był artystą w swoim zawodzie i wykonywał wszystko z niesamowitą dokładnością; drugi robił dziennie do 250 sztuk śrub z sześciokątnymi główkami lub tulej nakrętek z otworami do gwintowania. Dostawy części zamiennych do maszyn były małe, więc musieliśmy wykonywać je w warsztatach kopalnianych. Materiałów walcowanych w ogóle nie przywożono, wobec tego gotowe osie do trzytonowych wagonów dostarczane z fabryk przekuwaliśmy na śruby, nakrętki i inne drobne części. Gatunek materiału nie odgrywał żadnej roli. Fabryki produkowały dużo osi, bo dawały dobry przerób, a my z tych osi robiliśmy masę śrub, nakrętek i sworzni. Fabryki wykonywały rynnny do przenośników wstrząsających i pancernych, a my prostowaliśmy je, cięliśmy na pasy, a potem przerabialiśmy na gwoździe do kopalni, zwane *łapsza*. Nigdy nie zabrakło materiału fabrykom pracującym dla armii...

Od 1949 do końca 1951 roku przywożono do nas części z rozbieranych mostów i innych konstrukcji, odkuwki z wysokogatunkowej stali, wyroby walcowane, a nawet stal narzędziowa, a także kompletne maszyny, między innymi pompy do kwasów z materiałów nierdzewnych. Wszystkie te materiały były źle wykorzystane i większość z nich poszła na produkcję drobnych części. Takiego marnotrawstwa i niegospodarności nie wi-

działem nigdy. Więźniowie i wolni mówili, że to nie ich sprawa. Władze noszą *oczki* (okulary), czytają gazety, ustanawiają prawa i planują. Smutne, ale prawdziwe.

Miałem na zmianie tokarza, rodaka z Warszawy, Aleksandra Bauera. Był dobrym tokarzem i typowym warszawskim cwaniakiem o dużym poczuciu humoru. Dobry i lubiany kolega. Przed aresztowaniem należał do partyzantki wileńskiej. Był jeszcze bardzo młody. Pewnego razu znaleziono zapalnik podczas załadunku węgla, bo w wielu przodkach strzelano. Zapalnik zanieśli Olkowi, a ten niewiele myśląc, poszedł do kuźni i wrzucił go do paleniska, przy którym grzali się więźniowie pracujący na powierzchni. Zapalnik eksplodował i rozrzucił palenisko po całej kuźni. Działo się to na drugiej zmianie i wszyscy mieliśmy dużo kłopotów, bo władze wzięły to za sygnał do buntu. Szalały, gdyż nie mogły dociec, jak do tego doszło. Innym razem miało miejsce starcie między Bauerem i komsomolcem Popowem, pracującym na mojej zmianie w narzędziowni. Do awantury doszło obok mojego stolika, na którym wypisywałem rozdane brygadzie prace. Poszło o pierwszeństwo przy ostrzeniu na szlifierce. Każdy tokarz musiał sam ostrzyć stępione przy pracy noże. Olek przewrócił komsomolca i zaczął go bić. Skoczyłem do niego i odciągnąłem, przemówiłem mu do rozsądku, że nie takimi metodami przeszcze- pia się do komunistycznych głów inne idee. Miałem dużo problemów z załagodzeniem całego zajścia, głównie z tym, aby komsomolski ideowiec nie zrobił z niego użytku. Na szczęście, ode mnie zależało, ile kto wykona pracy...

W sowieckich obozach panował zwyczaj, że więzień na swoim stanowisku w zakładzie pracy miał prawa osoby wolnej, której podporządkowani byli inni, nawet partyjni, lecz po przejściu do obozu stawał się znowu stuprocentowym więźniem. Zdarzyło się, że do warsztatu na terenie kopalni weszła „Wochra” w celu dokonania rewizji — było to w 1952 roku. W czasie przeszukania siedziałem w hali przy stoliku i wypisywałem na papierkach rozdaną robotę. Żołnierze NKWD przeprowadzali rewizję na wszystkich stanowiskach pracy. Za moimi plecami stały szafki nocnej zmiany. Jeden z rewidujących podszedł do mnie, zapytał czyje są te szafki i domagał się ich otwarcia. Odpowiadałem mu, nie przestając pisać. Zauważył to ich dowódca i podbiegł do mnie z pytaniem, dlaczego nie wstaję, gdy mówi do mnie wolny. Odpowiedziałem, że nie muszę wstawać podczas wykonywania pracy powierzonej mi przez władze kopalni. Nie wstałem również, gdy do niego mówiłem, więc wpadł we wściekłość. Odchodząc, groził mi najróżniejszymi karami. Po naszym powrocie do obozu zabrano mnie wraz z połową brygady do karceru. Rankiem następnego dnia nie miał kto w związku z tym rozdać pracy i nie było osób mogących ją wykonać. Dyrektor kopalni interweniował u podpułkownika Woronina, naczelnika obozu. Byliśmy wszyscy obwinieni o brak numerów, co było nieprawdą, bo rano wszyscy je odnawialiśmy, ale rację zawsze miały władze. Naczelnik obozu postanowił zwolnić nas z karceru, lecz tych, którzy po nas przyszli spotkała niespodzianka, bo nie chcieliśmy wyjść. Mieliśmy siedzieć trzy doby. Wiedzieliśmy, że warsztat ma do wykonania pilne roboty i na nasze miejsce nie znajdą nikogo. Byliśmy potrzebni kopalni. NKWD nigdy nie liczyło się z potrzebami gospodarki, ale istniały pewne powiązania na górze. Działo się to już siedem lat po zakończeniu wojny i urodzaj na masowe aresztowania zmalał. Po pewnym czasie przyszedł jakiś oficer i tłumaczył nam, że powinniśmy pójść do pracy. Postawiliśmy warunek: mają nas zaprowadzić do kuchni i porzą-

dnie nakarmić, bo po dwunastu godzinach karceru jesteśmy głodni i niezdolni do wysiłku. Spełnili nasze życzenie i około południa udaliśmy się na nasze stanowiska.

Ludzie ginęli, bo pracy było coraz więcej, plany z roku na rok rosły, natomiast napływ nowych więźniów nie był już tak intensywny. Swoich sadzali stale, ale takiego urodzaju na więźniów, jaki dała wojna, nie było przez cały czas istnienia ustroju komunistycznego, włącznie z rewolucją. W przegranych Niemczech znalazły się niezliczone rzesze jeńców, którzy nieprzerwanym potokiem zasilali wszystkie łagry sowieckiego imperium. W rozmowach często mówili o swojej tragedii. Wśród nich było dużo oficerów, część dostała się do niewoli na polu walki, nierzadko zabierano stamtąd rannych i nieprzytomnych. Wiedzieli i nieraz o tym mówili, że hitlerowcy zwracali się za pośrednictwem Czerwonego Krzyża do władz sowieckich o przysyłanie paczek Rosjanom znajdującym się w niemieckich obozach jenieckich, ale Sowietci odpowiadali, że w niemieckich obozach nie ma żołnierzy Armii Czerwonej, tylko zdrajcy ojczyzny. Hitlerowskie władze wykorzystały to nieludzkie oświadczenie i ograniczyły żywność dla Rosjan do minimum, jednocześnie proponując im wstąpienie do tworzonych oddziałów wojskowych lub pracę w niemieckich fabrykach. Większość, ratując się, poszła do fabryk, a najbardziej rozgorzyczeni zgłosili się do armii współpracującej z hitlerowcami. W jej oddziałach większość stanowili przedstawiciele tych narodowości ZSRR, w których silniej zaznaczały się ruchy wyzwolenicze i narodowościowe — tak powstały w Niemczech oddziały Własowa, Kamińskiego i innych. Po zajęciu Niemiec władza sowiecka przypomniała sobie o tych wszystkich żołnierzach, zasądziła ich i skazała za zdradę ojczyzny. Te rozmowy nasuwały pytanie: kto kogo zdradził? Anglicy i Amerykanie wydali jeńców sowieckich przebywających na okupowanych przez aliantów terytoriach, mimo że ci nie chcieli wracać do swojej ojczyzny. Każdemu z tych jeńców, przed orzeczeniem wyroku, władze zadawały dwa pytania. Pierwsze dotyczyło tego, dlaczego ostatniej kuli nie przeznaczył dla siebie i żywy dostał się do niewoli. Nie pomagały tłumaczenia, że żołnierz był ranny albo nieprzytomny. Drugie pytanie miało wyjaśnić kwestię, jakim cudem jeniec przeżył w obozie, w którym więzień odmawiający pracy otrzymywał głodowe racje żywnościowe. Pojawiał się wniosek, że każdy, kto przeżył, pracował dla wroga przeciwko własnej ojczyźnie. Ta logika wyjaśniała wszystkie okrucieństwa. Sowietcy żołnierze opowiadali mi, że wyższe dowództwo zdradzało ich zawsze, gdy znaleźli się w okrążeniu. Na polu bitwy zostawali tylko szeregowi i niżsi oficerowie. W okresie wycofywania się Niemców dowódców odznaczono jako zasłużonych bohaterów ZSRR. Pozostawionych żołnierzy skazano na piętnaście, dwadzieścia lat katorgi, a znaczną część — rozstrzelano.

Do obozu przy kopalni nr 1 przywieziono na krótki czas Żydów, lekarzy z Kremla leczących Stalina, którzy opowiadali o tarciach wśród władzy i o silnym antysemityzmie panującym w Sowietach. Mówili, że szykują się jakieś rozgrywki na samym szczycie. Nie sądzili, aby długo trzymano ich w workuckich obozach. Coś w tym było, bo wkrótce ich zabrano. Wrogość do Żydów odczułem również na sobie — źle wymawiam „r” i z tego powodu uważano mnie za polskiego Żyda.

W 1953 roku przywieziono dużą grupę Niemców z berlińskiego puczu. Polaków przywożono jeszcze w końcu roku 1952. W tym właśnie okresie z Bydgoszczy przywieziono Jankowskiego, pracownika Komendy Uzuppełnień, a z Warszawy Michałowskiego.

Lata mijały, a w obozach nie zapowiadały się żadne zmiany na lepsze. Coraz więcej było kalek, inwalidów i masa głodnych więźniów. Stale rosła śmiertelność. Władze natomiast zaczęły urządzać tak zwane *sztaby* [odprawy sztabowe]. Oprócz kierownictwa obozowego, kopalnianego i politycznego, byli na nich wszyscy szefowie działów i oddziałów oraz wyróżniający się górnicy, to jest ci, którym z tych czy innych powodów zapisywano duże normy. Bywałem na *sztabach* w czasach, gdy pracowałem jako konstruktor. Władza siedziała obojętna i znudzona, a kierownicy kolejno przemawiali. Mogli mówić, co tylko chcieli, byleby w zakończeniu się zobowiązali, że nie tylko wypełnią nałożone normy, ale także podejmą się dodatkowej produkcji. Więc mówili, a władza tylko się uśmiechała. Mówili, że więźniowie też są ludźmi, że lepsze obchodzenie się z nimi da lepsze wyniki pracy, że skazańcom również zależy na rozwoju i dobrobycie narodów ZSRR, że ich rodziny powinny mieć prawo nie tylko do pisania dwóch listów, lecz również odwiedzania swoich synów, mężów, braci, że jest niedostateczne wyżywienie, że są złe warunki bytowe, zdrowotne... Władze, zadowolone, okłaskiwały zobowiązania i rozchodziły się, aby za jakiś czas powtórzyć całą tę komedię.

Tymczasem w obozach zwiększyła się liczba mordów dokonywanych na więźniach, a nawet na osobach wolnych. Wydano ustawę wprowadzającą karę śmierci dla morderców. Do tej pory patrzono przez palce na zabójstwa wśród więźniów, ale po wejściu w życie ustawy podczas wieczornych apeli coraz częściej zawiadamiano nas o skazaniu kogoś za zabójstwo.

Przez odgradzający nas płot odgrzali się nam przedstawiciele najgorszego elementu, często nieletni. Kopalnia ich nie zatrudniała, bo poza dezorganizowaniem już i tak mało wydajnej pracy, niczego się po nich nie spodziewano. Polityczni bali się ich, a szczególnie obawiali się przeniesienia do karnych obozów, w których recydywiści stanowili większość. W obozach tych, jeżeli więzień nie stał się nędznikiem i skończonym łotrem, aby przeżyć, musiał być bierny i posłuszny, bo w przeciwnym razie jego głowa nie była warta złamanego grosza.

Miałem wielu przyjaciół wśród Estończyków. Trzymali się dzielnie i swoją postawą zdobyli sobie szacunek u innych więźniów. Wyjątkowo trudno przychodziło im opanowanie języka rosyjskiego i kaleczyli go, jak żadna inna narodowość. Było wśród nich wielu dobrych fachowców z różnych dziedzin. Chyba cała estońska młodzież znalazła się w obozach!

W 1949 i w początkach 1950 roku zabierano z naszego obozu fachowców z dziedziny energetyki do specjalnego miejsca w Moskwie, gdzie mieli dużo lepsze warunki niż gdzie indziej — podobno mogli nawet oglądać telewizję. Każdy z nich opracowywał fragment jakiegoś dużego projektu, lecz nikt nie znał go w całości. Rozmawiałem na ten temat z wysokiej rangi specjalistami, którzy tam byli: Estończykiem, niemieckim inżynierem i Polakiem — inżynierem Julianem Wiktorem. Podejrzewali, że opracowują projekty pomocnicze dla zakładów produkujących bomby atomowe. W końcu 1951 roku część z tych specjalistów wróciła do swoich macierzystych obozów.

Wśród Łotyszów był dobry lekarz, chirurg Katpłās. Przeprowadzał poważne operacje żołądka, kręgosłupa i serca. Do cięższych przypadków wzywano go do workuckiego szpitala, aby operował wolnych. Podobnie dobrą opinią cieszył się w innym obozie chirurg Rosjanin. Należy pamiętać, że w obozie każdy lekarz mógł przeprowadzić dowol-

ną operację bez zgody pacjenta i bez odpowiedzialności za jej wynik. Obok dobrych lekarzy byli tacy, którzy nie potrafili postawić właściwej diagnozy nawet w prostych przypadkach. U rodaka Józefa Sznajdera wykryto pęknięcie wrzodu żołądka i zarządzono natychmiastową operację, ale po otwarciu okazało się, że nie ma żadnych wrzodów. Każdy chirurg wykorzystywał obóz do pogłębiania swojej wiedzy. Do dobrych lekarzy wśród Polaków należeli dr Jerzy Dobrzański z Wilna i dr Kamiński, obaj z dyplomami.

Niespełna sto metrów od naszego obozu położony był inny, przy kopalni nr 9-10. Czasami udawało nam się przekazać jakąś wiadomość rodakom, których było tam więcej. Będąc tak blisko, nie wiedzieliśmy, co się tam dzieje. Zdarzały się wybuchy w kopalniach, ginęli ludzie, lecz wieści o tym nie wychodziły poza obręb obozu.

W Rieczłagu nie kładziono trupów na drodze do kopalni. Nie słyszało się o uciekających, bo nie prowadził nas konwój, który strzelał dla nagród i odznaczeń. Gdy złapano uciekiniera, zawieszano mu na piersiach i plecach tablice z dużym napisem „zbieg”, a następnie „Wochra” oprowadzała go po całym obozie, wyganiając wszystkich z baraków, aby mogli mu się dobrze przyjrzeć.

W obozie była biblioteka beletrystyczna, a w kopalni techniczna, w której znajdowały się tłumaczenia zagranicznych opracowań z różnych dziedzin techniki. Więzień, zamknięty przez co najmniej dziesięć godzin na klucz, mógł czytać książki. Przeczytałem masę utworów rosyjskich pisarzy: Tolstoja, Czechowa, Gonczarowa, Puszkina, Niekrasowa, Lermontowa i innych. Czytanie przy słabym świetle osłabiało wzrok. Powszechnym zjawiskiem była kurza ślepota, polegająca na utracie ostrości widzenia po zapadnięciu zmroku. Powodem tej przypadłości był wieloletni niedobór witamin.

Ze względu na wzywianie mnie do awarii maszyn w kopalni, najczęściej przebywałem w baraku uprzywilejowanych, bo telefon znajdował się tylko tam. Różnica między barakiem arystokracji w Rieczłagu, a tym przy kopalni nr 6 była znaczna. Tutaj ludzie siedzieli za przekonania i ich głoszenie, za walkę o wolność i niepodległość. Trafiały się między nimi kanalie, ale większość składała się z ludzi wartościowych. Był to barak najbardziej zróżnicowany pod względem narodowościowym. Stosunek do mnie, jako Polaka, był różny. Miałem wielu przyjaciół, lecz najbliższy stał mi się pewien Gruzin. Często, ze zmiennym szczęściem, grałem z nim w szachy. W baraku arystokracji więźniowie nie byli wykorzystywani, jak miało to miejsce w obozie przy kopalni nr 6.

Podobnie jak w innych obozach, przed każdym świętem narodowym, pierwszym maja i rocznicą wybuchu rewolucji październikowej, zabierano różne osoby do izolatorów. Zabierani byli swoistymi zakładnikami. Wygaszano wtedy również wszystkie piece w barakach i przy panujących mrozach, nierzadko poniżej czterdziestu stopni, było nam bardzo zimno — temperatura w barakach wynosiła poniżej zera. Władze tym się nie przejmowały, bo za wszelką cenę chciały sobie zapewnić w tych dniach spokój.

W *osoblagach* prowadzono uświadamianie polityczne, które polegało na nieustannym wałkowaniu, że wszystko co sowieckie jest dobre, a inne — złe i nic nie warto. Druga ciągle wpajana nam zasada brzmiała, że ZSRR jest potęgą nie do pokonania i że USA nie uda się pozbawić narodów sowieckich korzyści, jakie dało im zwycięstwo w wojnie. Trzecią tezę było zapewnianie, że nigdy nie będzie zgody na uniezależnienie się demokracji ludowych Europy Środkowej, które Zachód i USA starają się oderwać od Związku Radzieckiego. W tamtych czasach mówiono do nas szczerze, bo nie przy-

puszczano, że przeżyjemy. Przekonywano nas, że możemy zmasać część naszych win rzetelną i uczciwą pracą oraz ślepym posłuszeństwem. Zawsze postępowano tak, abyśmy nie zapomnieli, gdzie się znajdujemy i po co nas tu przywieziono. Więźniowie sowieccy oceniali sytuację realnie i w prowadzonych rozmowach stale podkreślali, że władcy Kremla uznają tylko jedną zasadę, a mianowicie: nieprzyjaciel nigdy nie stanie się przyjacielem.

Wielu więźniów umierało na gruźlicę, na leczenie której nie było warunków. Ostry klimat, głód, złe warunki higieniczne i przepełnienie sprzyjały jej rozwojowi. Raz na dziesięć dni chodziliśmy do łaźni wymyć się oraz przeprowadzić dezynfekcję odzieży i koców. Często, mokra dezynfekcja niszczyła odzież, ale likwidowała wszy. Walczyliśmy też z pluskwami i ze szczurami, których nigdy nie udało nam się pozbyć i zdarzało się, że spacerowały po nas, gdy spaliśmy. Do łaźni udawaliśmy się w bieliznie, bez względu na temperaturę, i tak też wracaliśmy po kąpieli. Nigdy nie wiedzieliśmy, o której godzinie zabiorą nas do mycia.

Do pracy chodziliśmy na trzy zmiany i zawsze w każdym baraku część więźniów spała. Człowiek osłabiony pracą i głodem chce tylko spać. Robiliśmy wszystko, aby zaoszczędzić jak najwięcej czasu na sen.

Władze nie mogły przeszkodzić nam w nawiązaniu kontaktów z innymi obozami, a więc również z „Kirpicznym”. Polki z tego obozu różnymi sposobami starały się skontaktować z rodakami. Czyniły tak wszystkie narodowości. Długi czas po wprowadzeniu *osoblagów* nie udawało się nawiązać żadnej łączności i dopiero w 1952 roku otrzymałem list od Hanki. Kobiecte i męskie brygady chodziły na wspólne roboty przy budowach obiektów ogólnego przeznaczenia dla Workuty i właśnie przez te brygady przechodziły grypsy. Nie wiadomo, ile osób brało udział w dostarczaniu grypsów do adresata. Z Polek najczęściej przносиła je Klara Autuchiewicz. Również wśród wolnych Rosjan, a nawet pilnujących nas, trafiały się osoby o ludzkich uczuciach. Te nieliczne jednostki przekazywały czasami wiadomości od innych więźniów. Łączność z Hanką, z małymi przerwami, niezależnymi od nas, przetrwała do końca pobytu w obozach.

Na skutek dużej śmiertelności w obozach władze zaczęły zastanawiać się nad sposobami przedłużenia nam życia. Przeprowadzono inwentaryzację katorżników. W obozie przy kopalni nr 6 zrobiono raz także taką inwentaryzację, lecz celem jej było sprawdzenie zgodności nazwisk z numerami. Wówczas wypędzono wszystkich z obozu do tundry i trzymano nas na mrozie i śniegu dwanaście godzin. Wyczytywali literę i numer, a wyczytany podchodził do stolika i podawał wszystkie dane personalne, które enkawudzista sprawdzał z posiadanymi dokumentami. Po tym zabiegu więzień przechodził na teren, gdzie czekali już sprawdzeni. W tym czasie „Wochra” skrupulatnie kontrolowała wszystkie baraki. W Rieczłagu inwentaryzacja miała podobny charakter — chodziło jedynie o uporządkowanie liter i numerów.

Gdy przywożono więźniów, przydzielano im kolejne litery rosyjskiego alfabetu od „A” do „Ja”, a każda litera obejmowała 999 osób. Gdy litery alfabetu skończyły się, zaczęto od początku, dodając przed każdą literą cyfrę „2”, na przykład: 2A-998. Więźniów nie będących katorżnikami było kilkadziesiąt razy więcej i wypełniali obozy w każdym zakątku ZSRR, było ich pełno w tajgach Komi ASRR. Katorżnicy z niektórymi literami wymarli niemal co do jednego — rzadko spotykało się żyjących, mających numer z li-

terą z pierwszej połowy alfabetu. Po inwentaryzacji otrzymałem nowe nazwisko i imię: G-510, czyli z dwudziestej siódmej litery alfabetu awansowałem na czwartą, a było nas przeszło dwa alfabetu, i to tylko w rejonie Workuty... Katorżnicy znajdowali się w obozach północnej Syberii, na Kamczatce, w Karagandzie i wszędzie, gdzie panowały trudne warunki i szybciej się umierało. Tylko Moskwa wie, ilu ich było i gdzie. W obozie przebywał ze mną Rosjanin Kudrawcow, ślepy od urodzenia. Miał doskonały słuch i wyczuloną skórę. Nosił czarne okulary. Skończył konserwatorium i w obozie wykorzystywano go do tego, aby przygrywał na bajanie więźniom idącym do kopalni. Miało to na celu zagrzenie ich do pracy. Otrzymał wyrok dwudziestu lat katorgi za terror. Nie wiem, jak sąd wyobrażał sobie terror ślepca, fakt jednak pozostanie faktem. Był na froncie i grał dla żołnierzy Armii Czerwonej. Twierdził, że wyczuwa każdą przeszkodę, do której się zbliża i w baraku poruszał się dość pewnie. Siedziało z nami też dwóch liliputów z cyrku, uznanych za niebezpiecznych dla ustroju.

Po zwycięstwie w Chinach przywieźli do nas aktora Laurowa, który wcześniej zamierzał zrobić karierę jako tenor. Miał ku temu podstawy. Na przeszkodzie w realizacji tych marzeń stanął fakt urodzenia się w Chinach z rodziców rosyjskich emigrantów, co stało się również podstawą jego aresztowania i zasądzenia za zdradę ojczyzny. Po wyroku przywieźli go do Workuty. Jako pracownik KWCz organizował obozowy teatrzyk. Chętnych artystów było dużo i dzięki nim obejrzelśmy niezłe wykonane operetki: *Baron Cygański*, *Księżniczka Czardasza*, *Rose Marie*, *Marica* i inne. Było to w latach 1951–53.

Mniej więcej w tym czasie przywieźli do Workuty oficera armii sowieckiej, syna generała zasłużonego podczas drugiej wojny światowej. Ten naprawdę ideowy oficer, komunista, otrzymał 4000 rubli i delegację do Moskwy w celu dokonania zakupów dla swej jednostki. Wieczorem, przy zakrapianej kolacji zabawił się w restauracji z dziewczynkami. Kiedy wytrzeźwiał w hotelu, stwierdził brak pieniędzy. W dobrej wierze zgłosił się do NKWD i opowiedział tam całą historię. Oficer NKWD z uwagą go wysłuchał i zdecydował, że dla dobra sprawy musi chwilowo u nich pozostać. Poczciwy i łatwowierny młodszy lejtnant nie zorientował się w sytuacji. Dobrze, że wcześniej zadesperzował do ojca, mieszkającego w Taszkencie. Ojciec, po przyjeździe do Moskwy szukał go po wszystkich urzędach NKWD, a gdy go odnalazł, oświadczone mu, że jego latorośl została chwilowo zatrzymana. Enkawudziści okazali się bardzo wyrozumiali i zapewniali zasłużonego generała, że syn niedługo wyjdzie. Ojciec zapłacił za niego skradzione 4000 rubli i chciał czekać na jego uwolnienie, lecz enkawudziści w trosce o zdrowie tak zasłużonego żołnierza poradzili mu, aby pojechał do domu i tam oczekiwał powrotu syna. Pełen nadziei wrócił więc do Taszkentu. I faktycznie, syna wywieźli z więzienia w Moskwie, lecz nie do Taszkentu, a do Workuty, z wyrokiem piętnastu lat. I tak on, ideowy komunista, spotkał się z takim zdrajcą jego ojczyzny jak ja, z pańskiej *Polszy*. Może na szczęście dla niego pracował ze mną w biurze konstrukcyjnym. Nic nie umiał, ale nie o to chodzi. Rozmowy z nim bardzo dużo mi dały, jemu również. Nie należał do tych, którzy nie uznają i nie chcą wysłuchać argumentów innych. Chciał przekonać swoje otoczenie o wyższości ustroju, w którym się wychował i żył, ale całkiem możliwe, że w istocie potrzebował sam siebie przekonać co do słuszności tego, w co wierzył. Nie doniósł na mnie, chociaż nie szczędziłem mu gorzkiej prawdy, doprowadzając go chwilami do białej gorączki. W niektórych przypadkach przyznawałem mu rację, lecz najczęściej on mu-

siał kapitulować przed moimi argumentami, mimo że czynił to z wielkimi oporami. Miałem do dyspozycji zbyt wiele faktów. Gdy raz, na jego argument, że w tych zachwalanych demokracjach Zachodu tolerowane są legalne domy publiczne, odpowiedziałem, że wolę takie legalne domy od ustroju, w którym wszystko jest nielegalnym burdelem, to tak się zdenerwował, że obawiałem się o jego życie. Ciekawe było jego stanowisko odnośnie wizji przyszłego świata, w którym, według niego, zapanuje wszędzie komunizm i zniknie wówczas potrzeba pracy dla pieniędzy, bo każdy weźmie z wielkich magazynowych sklepów tyle, ile potrzeba dla zaspokojenia potrzeb życiowych. W sklepach tych, pozbawionych obsługi, będzie wszystkiego pod dostatkiem, bo praca dla jednej światowej rodziny stanie się przyjemnością. Wydajność pracy dla przyjemności, a nie dla pieniędzy, wzrośnie. Znikną wojny w jednakowo myślącym społeczeństwie, w którym zabraknie miejsca na walki wywołane różnicą poglądów. Każdy będzie posiadał wszystko, więc znikną powody do zazdrości i morderstw na tle rabunkowym. Pozostaną jedynie zakłady wychowujące ludzi ze „zwichniętą osobowością”, aby przywrócić ich społeczeństwu. Nie będzie granic państwowych ani żadnych państw. Ja widziałem jedynie skutki ustroju, w którym pozbawiono jednostkę wszelkich praw i wyeliminowano ją z życia narodu. Jedyłą moją odpowiedzią na jego wywody było: „*Nawet w tym ustroju poznali się na takim wariacie i zamknęli cię jako bardzo niebezpiecznego*”. Nie dziwiłem się, że wpadł za stosunkową błahą sprawę. Może znał *Utopię* Thomasa Morusa, a może nie, jednak ten młody oficer był na pewno ideowym komunistą. Ta ideologia najbardziej mu odpowiadała, bo innych nie znał, a jeżeli coś o nich słyszał, to jedynie same okropności. W obozach obywatele sowieccy mogli poczynić dużo obserwacji, jeżeli potrafili jeszcze samodzielnie myśleć. Ja również poznałem wiele aspektów życia, o których nie miałem pojęcia.

W ZSRR w tych czasach zabraniano gry w karty i grą narodową stało się domino. Bandy ci grali dla swoich bandyckich celów i notowano przypadki gry o ludzkie życie. Inni więźniowie grali o bardziej przyziemne cele — dla zabawy. Na przykład przegrywający przełazili pod stołem tyle razy, ile uzgodnili przed rozpoczęciem gry. Często jednak grano dla samej sztuki i niektórzy byli nie do pokonania. Do baraków uprzywilejowanych zachodzili grać oficerowie NKGB [NKWD?] i oni najczęściej przechodzili pod stołem, bo w grze oszukiwano. Oszukiwali wszyscy, lecz lepiej robili to więźniowie. Rytuał mający miejsce po przegranej nie pasował do prestiżu i autorytetu władzy, która wymagała oddawania honorów od tych, przed którymi przechodziła pod stołem na czworakach.

Jeżeli komuś z pospolitych przestępców udało się nawiązać romans z wolną kobietą zesłaną do Workuty, a tylko takie pracowały w kopalni nr 1, w przypadku zdrady z jej strony, mordował ją. Zdarzyło się to z wybranką brygadzysty szewców, który swojej kochance robił buty, jakie tylko chciała, lecz gdy go zdradziła z innym, zjechał za nią do kopalni i zarznął ją szewskim nożem. Podobne zabójstwa zdarzały się we wszystkich kopalniach.

Prawdziwą bombą dla władz i obozu okazała się afera ze świniami. Niektórzy z obozowej elity, a także ze służby zdrowia, w porozumieniu z odpowiedzialnymi za hodowlę więźniami, chodzili tam jak do domów publicznych, by wyładować swój nadmiar energii seksualnej. Wszystkich uczestników tej afery wywieziono. W obozach zaczęła wzrastać

liczba homoseksualistów, a wśród bandytów szerzyła się narkomania, choć nie wiadomo, jakimi drogami dostawały się do obozu narkotyki.

Nasz obóz leżał nad Workutą, niedużą rzeczką, która w czerwcu wylewała, sprawiając wrażenie wielkiej rzeki. W okresie tajania śniegów wody płynęły po wierzchu zamrożonej Workuty i dopiero po jakimś czasie nagle pojawiała się kra. Działo się tak z powodu zamarzania rzeki do samego dna i dopiero wody z topniejących śniegów, gdy słońce już nie zachodziło, powodowały uwolnienie lodu. Rezultatem było nagle pojawienie się dużych brył lodu na czystych przez dłuższy czas wodach. Na drugim, wyższym brzegu znajdowała się kopalnia nr 8 „Rudnik”. Obóz przy niej pełnił funkcję punktu przesyłowego. Przywożono do niego wszystkich więźniów przeznaczonych w rejon Workuty i dopiero z niego kierowano ich do poszczególnych obozów. Zanim to nastąpiło, część z nich werbowano do pracy w kopalni nr 8, nie szczędząc kuszących obietnic. Główni są szczególnie podatni na perspektywy poprawy wyżywienia. Najczęściej ulegali tej propagandzie więźniowie polityczni. Chętnych do pracy umieszczano w specjalnym baraku. Więźniowie kryminalni nakładali na nich haracz, polegający na zabieraniu im odzieży przywiezionej z wolności oraz części ich racji żywieniowych. Przywiezieni w roku 1952 odmówili płacenia bandytom okupu, za co ci postanowili ich przykładnie ukarać. Zdobyli drut, zadrutowali nim drzwi i okna baraku „buntowników”, który następnie oblali zdobytą gdzieś benzyną i podpalili, czekając z pałkami na tych, którym by się udało wydostać z płonącego pomieszczenia. Pożar zaalarmował „Wochrę”, która zaczęła strzelać do widocznych na jego tle przestępców. Również z *wyszek* strzelano krótkimi seriami w kierunku palącego się baraku. W powstałym bałaganie zginęło dwóch czy trzech bandytów i jeden żołnierz. Zdołano uwolnić więźniów. Bandyci zabarykadowali się w swoim baraku i wywiesili czarną flagę na znak żałoby po zabitych koleżkach. Flaga wisiała przez cały następny dzień, bo nie chcieli skapitulować i wyjść na zewnątrz. „Wochra” zdobyła barak siłą, powiększając tym samym liczbę ofiar. Wszystko to działo się na naszych oczach.

W 1950 roku zaangażowano mnie jako wykładowcę w dziale szkolenia w kopalni. Wykładałem konstrukcję maszyn górniczych i elektroślusarkę. Zaczęto zwracać uwagę na podwyższanie kwalifikacji dozoru. Po roku 1952 trzeba było zapoznawać z pracą w kopalni nie tylko więźniów, ale i wolnych — urządzono kursy dla głównych mechaników oddziałów, kombajnistów, maszynistów maszyn wyciągowych i kierowników działów. Od roku 1953 zaczęto werбовать siłę roboczą z głębi ZSRR. Niewielu chętnych skuszono również obietnicą podwójnych zarobków, bez precyzowania, że otrzymują je po odpracowaniu określonego czasu. Urlopy miały być również w podwójnym wymiarze. Zwerbowani przechodzili szkolenie, otrzymywali nowe robocze ubrania i — po zorientowaniu się w warunkach pracy — uciekali. Wykłady prowadzili wolni. Byłem jedynym więźniem wykładającym dla wolnych i dopuszczonym do komisji egzaminacyjnej. Oprócz mnie był jeszcze bardzo zdolny rosyjski inżynier, który zajmował się wyłącznie maszyną wyciągową, bo dołowe maszyny górnicze go nie interesowały. Teorii maszyn górniczych nikt nie znał, bo więzień miał tylko pracować, a nie uczyć się i poznawać maszyny — wystarczyło, by umiał je uruchomić. Trudno było wytłumaczyć kierownikom kinetykę, bądź co bądź dość złożonej konstrukcji maszyn górniczych. Od lat nikt tego od

nich nie żądał. Było kilka udanych urządzeń sowieckiego pomysłu, jak na przykład kombajn marki Donbas, ale zwykle wzorowano się na rozwiązaniach zagranicznych.

Gdy przybyłem do kopalni, główny mechanik był jeszcze więźniem. Nazywał się Sołdatow i kończył dziesięcioletni wyrok. Był oficerem artylerii i w 1940 roku dostał się do niewoli fińskiej, z której uciekł. Oskarżono go o jakąś zdradę swoich towarzyszy i otrzymał za to dziesięć lat obozu. W 1953 roku zrehabilitowano go i pozwolono mu na powrót do partii oraz zwrócono zabrane odznaczenia. Stracił dziesięć lat aktywnego życia i wiarę w sowiecką sprawiedliwość. Jako człowiek był bez zarzutu. Często zdarzały się skazania niewinnych na wiele lat lub na śmierć, a po wykonaniu wyroku okazywało się, że byli to wzorowi obywatele. Nikt za to nie odpowiadał, bo uważano to za normalne.

Zawsze brałem udział we wszystkich poważniejszych remontach w kopalni. Odbывały się dwa razy w roku, w święto pierwszomajowe i w rocznicę rewolucji październikowej. Nieraz musiałem siedzieć w najniższym punkcie kopalni czterdzieści osiem godzin. Pracowaliśmy bez snu, a jedzenie dostarczano nam do miejsca pracy. Było nam zimno — na poszybiu wisały sople lodu i aby nie zamarznąć trzeba było pracować. Do najgorszych prac należały roboty w bunkrze na nadszybiu. Pracowaliśmy tam w pyłe węglowym i w przeciągu świeżego, mroźnego powietrza. Po dwóch dniach takiej pracy pluliśmy węglem przeszło tydzień. W początkach maja panowały temperatury około minus trzydziestu stopni. W bunkrze nie można było długo wytrzymać, więc co godzinę wychodziliśmy się grzać. Po remoncie większość chorowała na ciężkie przeziębienia, z zapaleniem płuc łącznie.

Cięcie metalu odbywało się przy pomocy acetyleny z wytwornic. Butli z acetylenem nie dostarczano, z butlami tlenu również było źle i gdy ich brakowało, cięliśmy wszystko elektrycznie. Elektrody wyrabialiśmy sami, często z nieodpowiedniego drutu. Przy silnych mrozach wytwornice i węże często zamarały i praca stawała się prawdziwą makabrą. Była męcząca i nerwowa, szczególnie gdy władza popędzała, by skończyć remonty w terminie. Wolni w takich warunkach na pewno by nie pracowali.

Gdyby komuś zależało na uwięzieniu połowy ludności ZSRR, mógłby w tym ustroju zrobić to bez większych trudności. Zeznania osób należących do aparatu władzy nie nasywały żadnych wątpliwości i były przyjmowane za pewnik. Duże pole do popisu mieli zatem wariaci i sprytni oszuści. W drugiej połowie 1950 roku i w pierwszej 1951 zaszły wydarzenia potwierdzające taki stan rzeczy. Najprawdopodobniej w konsekwencji obsesji władz, stale posądzających więźniów o wrogą działalność przeciw ustrojowi, zaczęły się aresztowania Ukraińców, a następnie Polaków. Z rodaków aresztowali: Karola Prassa, Teodora Pietryka, Pawła Świetlikowskiego, Olgierda Zarzyckiego, Kazimierza Cisa, Longina Blinstruba, Anatola Rymaszewskiego, Aleksandra Bauera i innych. Wszystkim zarzucano tworzenie organizacji na terenie obozu, szpiegostwo i kontakty z zagranicą. Kilku Ukraińców zostało rozstrzelanych. Karola oskarżano o zaprzysięganie członków jakiejś organizacji i kontakty z zagranicą przez maszynistów parowozów. Pozostałych obwiniano o różnego rodzaju wrogą działalność. Jak wyobrażano sobie realizację tego wszystkiego — nie wiem. Zarzuty były jednak konkretne. Początkiem sprawy związanej z aresztowaniem rodaków był przypadek Mieczysława Załugi, który opowiadał historie wysrane z palca. Może chciał zwrócić na siebie uwagę lub zamierzał wpłynąć na zmianę atmosfery beznadziejności, która nas otaczała? A może marzył

o przejściu do obozowej historii? Jednak ogólnie panowało przekonanie, że wszystko zaaranżowali oficerowie śledczego aparatu NKGB, by wykazać się czujnością. Długo panujący spokój był największym wrogiem służb bezpieczeństwa tego ustroju, podobnie jak to jest w każdej dyktaturze. Zwerbowali do współpracy Załugę, ponownie go aresztowali i wymyślili historię na tyle ważną, że postawiła na nogi cały aparat bezpieczeństwa i wzbudziła zainteresowanie Moskwy, o co głównie zresztą chodziło. Zawrzało jak w ulu. Zgoda Załugi na tego rodzaju porozumienie dowodzi złego stanu jego psychiki. Nie można się temu dziwić, bo warunki i stosowane metody u wielu więźniów wytworzyły odchylenia od normy.

Sfabrykowane zarzuty postawiły moich kolegów w obliczu śmierci. Pietryk nie wytrzymał bicia podczas śledztwa i przyznał się do zarzucanych mu czynów. Wszyscy byli torturowani. Przemówili jednak do rozsądku Pietrykowi i ten na następnym przesłuchaniu odwołał wszystko, do czego wcześniej się przyznał, za co został ponownie pobity. Karolowi zarzucali odbieranie w baraku przysięgi od wstępujących do organizacji. Prawdopodobnie śledczy otrzymali donosy, że Polacy przychodzący do Karola łamali się chlebem, podawali sobie ręce i całowali się. Władze dopatrzyły się w składaniu sobie przez Polaków życzeń z okazji Bożego Narodzenia przejawu działalności groźnej organizacji, zagrażającej bezpieczeństwu ustroju.

Najgorzej wyszedł na tym wszystkim Karol. Był moim bardzo bliskim przyjacielem, lecz nic nie wiedział o tym, że Polki, z którymi prowadziliśmy zakazaną korespondencję nazywały siebie „Pięcioraczkami”, a my siebie KASK-iem. Minęły już trzy lata od przerwania korespondencji z powodu ściślejszej izolacji *osobłagów*. Potrzeba było kilku lat na znalezienie dróg przekazywania sobie grypsów. Do władz bezpieczeństwa dotarły jakieś grypsy, w których wymienione były nazwy KASK i „Pięcioraczki”. W barakach również padały te słowa i współpracujący ze śledczymi mogli je usłyszeć, a następnie donieść o tym za miskę zupy. Tak czy inaczej nazwy te doszły do władz, które zapragnęły wyjaśnić ich znaczenie, tym bardziej że podejrzewały, że stanowią one kryptonimy jakichś groźnych sekcji. Sowieci byli specami od fantastycznych podejrzeń. Podczas śledztwa pytali Karola, co wie o KASK-u i ten, w dobrej wierze, zaczął opowiadać o zaletach i wadach wprowadzonego w kopalniach hełmu, bo po rosyjsku hełm to *kask*, a o KASK-u — czyli „Klubie Starych Kawalerów” — biedak nie miał zielonego pojęcia. Śledczy uznali, że Karol się z nich nabija, więc obrzucili go wiązką przekleństw, spuszczać mu przy tym solidne lanie. Po ulżeniu sobie i odpoczynku zadali Karolowi następne pytanie, a mianowicie: co wie o „Pięcioraczkach”. Biedny Karol wiedział tylko o kanadyjskich pięcioraczkach i zdziwił się, skąd u śledczych takie zainteresowania, lecz to, co jeszcze pamiętał, starał się przekazać ciekawym oficerom NKGB. Ci do reszty stracili cierpliwość. Rezultatem było ponowne obrzucenie Karola plugastwami i powtórne pobicie niewinnego. Karol dowiedział się prawdy dopiero w 1956 roku, gdy spotkaliśmy się na stopie „półwolnych”* i gdy opowiadał, za co został pobity.

Cała ta „enkawudowsko-załugowska” afera skończyła się na znęcaniu się nad niewinnymi, rozrzuceniu ich po różnych obozach, z karnymi włącznie, w których od nowa musieli układać swój świat. Życie i bez tych dodatkowych utrudnień było nie do poza-

* Więźniowie żyjący na prawach osób wolnych, ale pozostający na zesłaniu.

zdroszczenia: klimat, atmosfera obozowa, szykany i monotonia głodowych racji napały nas obrzydzeniem. W naszej ojczyźnie i na Zachodzie, ludzie syści, dobrze ubrani, nawet w futra i kozuchy, narzekali, gdy w zimie przez parę dni temperatura spadała poniżej dwudziestu stopni i zalegał metr śniegu, a biadolili, gdy stan taki trwał miesiąc. My, tam, za kołem polarnym, mieliśmy takich dni z temperaturą nawet do minus sześćdziesięciu stopni Celsjusza przeszło dziewięć miesięcy w roku. Byliśmy głodni i słabo ubrani w porównaniu z tubylcami — Nieńcami, chodzącymi w skórach reniferów. A gdy zaczęto podawać nam kaszę jęczmienną, uszczęśliwiano nas nią przez pół roku, a przez następną połowę — kaszą owsianą z łuskami, bo owies był tylko zgniatany, a nie oczyszczany. Tę zupę i drugie danie nazywaliśmy „plujką” z powodu stałego wypluwania łusek podczas jedzenia. Wstrętne były dania z gotowanej koniny, często bez soli. Zaczęto je serwować, gdy konie pracujące w kopalni zastępowano parowozami. Konie były stare i chude. Dziesięć lat takiego jedzenia dodatkowo obrzydzało nam życie.

Od 18 listopada 1948, od dnia przywiezienia mnie do Rieczlazu do połowy 1950 roku, to jest od nagonki na Polaków i Ukraińców, dużo zmieniło się na świecie, tylko u nas wszystkie dni były do siebie podobne, jak dwie krople wody — dokładnie można było określić, jak jakiś dzień będzie wyglądał za dwa lub trzy lata. Nie ma nic gorszego niż znać przyszłość, w dodatku tak okrutną i beznadziejną.

W drugiej połowie 1952 roku zaczęły napływać wiadomości wróżące nam jakieś zmiany. Coraz częściej przebąkiwano o zarysowujących się różnicach w łonie partii. Narody sowieckiego imperium stale żyły nadzieją na zmiany, lecz najbardziej pragnęły tego miliony siedzących w obozach i więzieniach. Najbliższa przyszłość miała pokazać, czy były to tylko marzenia, czy też zetknięcie się ludzi tego ustroju z innymi odcisnę na jego zastraszonych obywatelach jakieś piętno i da początek ciężkiej i długiej drodze przyszłych przemian.

Przebłyśki nadziei (lata 1952–1955)

W czasie przebywania w moskiewskich więzieniach przeczytałem książkę o życiu polskich robotników w okresie międzywojennym. Po lekturze pytałem poszczególnych więźniów w celi, obywatele sowieckich, czy wierzą w to, co jest napisane w tej książce. Większość wierzyła. Gdy zapytałem, czy są przekonani co do tego, że w ZSRR są wolne wybory, wszyscy odpowiedzieli negatywnie. Ciekawe było uzasadnienie ich poglądów. Wierzyli w to, co pisali o polskich robotnikach, bo jeżeli ich własna partia robotnicza tak mało dba o robotnika i bez skrupułów go wykorzystuje, to cóż mówić o ustroju kapitalistycznym, który zgodnie z ich wiedzą opiera się na wyzysku. W obozie spotykałem się z podobnymi opiniami często. Nasuwał się jeden wniosek: umysły obywateli sowieckich są wyjąłowane na skutek braku informacji i izolacji od świata. Wszyscy byli zdani wyłącznie na ciągłą, kłamliwą propagandę. Sowiecka młodzież, podobnie jak młodzież niemiecka z Hitlerjugend, wierzyła we wszystko, co głosiła propaganda. Duża część społeczeństwa nie była zdolna do samodzielnego, twórczego myślenia... W książce, o której wspominałem, napisano o wyzysku kapitalistów, o bardzo niskich płacach, które pozwalały robotnikowi na odżywianie się wyłącznie śledziami. Podawano przykład robotników z Łodzi, pomijając oczywiście fakt, że śledź w Polsce międzywojennej był towarem importowanym i wcale nie był tani. Było szereg produktów tańszych od niego, jak chociażby jajka. Tak się złożyło, że w 1936 roku byłem w Łodzi na praktyce w zakładach Weigta. Żaden robotnik nie zarabiał tak mało, jak ja. Owszem, zdarzało mi się jeść śledzia, ale tylko na zakąskę. Wynajmowałem pokój u biednych robotników i wiem, jakie prowadzili życie. Życzyłbym jednak robotnikom sowieckim, aby ich stopa życiowa dorównała kiedykolwiek tamtej.

Sowiecki obywatel nie wiedział, jak żyją inne narody. Nie wolno mu było wyjeżdżać z własnego kraju. Nie miał pojęcia o zjawiskach zachodzących w innych państwach. Ze względu na to, że nawet w ZSRR miał ograniczoną możliwość poruszania się, jego wiedza odnośnie własnej ojczyzny była również znikoma. Po wojnie, z upływem lat coraz nieufniej zaczęto się odnosić do sowieckiej propagandy komunistycznej. Złożyło się na to kilka przyczyn, a mianowicie: pierwsza — zetknięcie obywateli sowieckich na terenach zajętych i włączonych do ZSRR z innymi narodami europejskimi; druga — przejście milionowej armii na zachód i szokująca konfrontacja zastanej tam rzeczywistości z głoszoną propagandą; trzecia — wymiana informacji między ludźmi masowo przesiedlanymi do ZSRR oraz z ZSRR; czwarta — zwiększająca się ilość przedmiotów powszechnego użytku. Dzięki fabrykom przywiezionym z państw europejskich zaczęły pojawiać się towary, o których dotychczas można było tylko marzyć, a więc: zegarki, aparaty fotograficzne, adaptory, radia, pralki, samochody osobowe. Pracownikom pracującym na *trofejnych maszynach* rzuciła się w oczy ich wyższa jakość i estetyczny wygląd.

Cisnęło się pytanie: dlaczego narody zachodnie mają więcej niż narody ZSRR? Pytanie to było niebezpieczne. Paragraf o szkodliwej propagandzie zapewniał wszystkim zbyt docieklwym wyrok od dziesięciu do piętnastu lat obozu.

Przemiany zachodziły wolno, ale były nieuniknione. Nawet kapitan, oficer pilnujących nas oddziałów, przychodził do mnie czasami, gdy pracowałem na nocnej zmianie i byłem sam, by dowiedzieć się czegoś o życiu innych narodów. Kiedy wchodził ktoś trzeci, momentalnie przyjmował postawę oficjalną i zmieniał temat rozmowy. Obywatele sowieccy zaczęli pokpiwać między sobą ze stałego chwalenia sukcesów państwa sowieckiego. Rosnąca liczba aparatów radiowych umożliwiła ludziom słuchanie audycji zagranicznych.

Tymczasem w obozie było coraz mniej bezpłatnej siły roboczej, przede wszystkim więźniów politycznych, którzy najlepiej pracowali. Wielu z nas zginęło, ale ci, którzy przeżyli, byli zahartowani i nauczyli się żyć w obozowej rzeczywistości. Wydajność spadała. Więźniowie nigdy zresztą nie byli nią specjalnie zainteresowani. Władze musiały patrzeć przez palce na drobne uchybienia. Za byle co już nas nie sadzano do izolatorów i *burów*. Władza musiała liczyć się z tym, że cierpliwość i strach mają swoje granice.

W końcu 1952 roku do obozu zaczęły dochodzić wiadomości o tarciach na Kremlu i o złym stanie zdrowia Stalina. W wielu rejonach ZSRR, w wielu miejscowościach Syberii zgrupowano ogromną liczbę więźniów. W przypadku nagłego konfliktu mogli się oni okazać niebezpieczni. Wśród więźniów krążyła opinia, że ewentualny wróg nie miałby żadnych problemów ze zorganizowaniem partyzantki na terenach ZSRR. Wystarczyłoby rzucić broń w okolice odizolowanych obozów, by miliony głodnych, przeznaczonych na zagładę ludzi pchnąć do walki. Niektórzy politycy brali to pod uwagę.

Władze obozowe nadal jednak czyniły wszystko, abyśmy nie zapomnieli, gdzie się znajdujemy. Jedną z corocznych szyskan była przymusowa wymiana — w drugiej połowie maja — odzieży zimowej na letnią, drelichową. Mrozy, panujące do końca czerwca, dotkliwie nam wówczas dokuczały. Niektórzy więźniowie próbowali podczas wymiany zachować watowane spodnie oddając porwane, nieprzydatne, otrzymane w kopalni. Oficerowie NKWD jednak często takich wyławiali i ściągali z nich cieplejsze ubranie. Nie mieliśmy żadnej ciepłej bielizny.

W dalszym ciągu głód zmuszał więźniów do różnych metod zjadania *pajki* chleba. Większość z nas zjadała swoją *pajkę* natychmiast, ale nieliczni jedli ją pomału, niekiedy przez całą dobę. Otrzymywaną od czasu do czasu przydziałową, miesięczną porcję cukru (0,3 – 0,6 kilograma) jedni zjadali błyskawicznie, drudzy jedli z chlebem, a jeszcze inni wykorzystywali do słodzenia *kpiatoka* [wrzątku]. Byli też tacy, którzy więcej na cukier patrzyli niż go jedli — oni przeważnie byli okradani. Zadowolony był tylko ten, kto zjadał niemal natychmiast wszystko, co otrzymał, chociaż potem chorował.

Przez głośniki codziennie musieliśmy wysłuchiwać różnych informacji, do których trudno nam było się przyzwycząić. Bardzo często były to sprawy osobiste rzekomych bohaterów socjalistycznego *truda*. I wiecznie ta niekończąca się gadanina, jak to w dostatku, dobrze i radośnie żyje się w tym najlepszym na świecie ustroju... Był to ciężki okres.

Jako konstruktor w kopalni nr 1 miałem dużo pracy. Większość maszyn była konstrukcji sowieckiej, lecz brakowało do nich części i dokumentacji warsztatowej. Znaczącą część elementów wykonywaliśmy we własnym zakresie, bo zamówienia często nie do-

czekiwały się realizacji. Musiałem robić wiele rysunków z natury. Wzywano mnie do każdej poważniejszej awarii na dole i na powierzchni. Byłem przy montażu i odbiorze wszystkich maszyn, urządzeń dołowych i warsztatowych. Wykonywałem dokumentację na wszystkie nowe i modernizowane urządzenia oraz konstrukcje w kopalni, sortowni i na powierzchni. W związku z eksploatacją ścian o małej miąższości węgla, dążono do zastąpienia ludzi kombajnami. Jeden z takich kombajnów otrzymała nasza kopalnia. Był to kombajn UKT-1, zaopatrzony w łańcuch z nożami i cztery skrawające głowice. Jako mechanizm był pomyślany dobrze, lecz nie nadawał się do pracy w kopalni i musieliśmy wywieźć go na powierzchnię. Po czym główny mechanik powierzył mi zadanie przerozbienia kombajnu „Donbas” w taki sposób, aby mógł pracować przy niskich ścianach. Po zmontowaniu nowego kombajnu rozpoczęliśmy próby, a następnie oddaliśmy go do eksploatacji. Nie powiem, że była to bardzo udana maszyna, ale pracowała wystarczająco dobrze. Otrzymałem za nią nagrodę — 2000 rubli — bez wiedzy władz obozowych, ponieważ był to jeszcze okres, kiedy katorżnikowi nie wolno było posiadać pieniędzy.

Kierownikiem warsztatu, po zamknięciu Jostmanna, został Wiszniakow, jeden z dyrektorów WMZ*. Pilnowanie porządku było jego pasją. Dbał szczególnie o to, aby oddawany do magazynu produkt finalny był czysty. Magazynier przechodził fikcyjnie wykonany na zmianie towar i otrzymywał rozchodowe asygnaty od zmianowego, jednego z katorżników pracujących na dole. Najważniejsze było, aby papierkowo przychód zgadzał się z rozchodem.

Po Wiszniakowie przyszedł starszy lejtnant Jonas, który przez pewien okres przebywał w armii polskiej i jako „mądrzejszy” uczył polskich oficerów i żołnierzy. Od niego uzyskałem różne informacje o polskiej kadrze oficerskiej. Twierdził, że w armii polskiej jest wielu oficerów nie znających języka polskiego i że sowieccy oficerowie bili czasami polskich po twarzy. Po prostu nie mogłem w to uwierzyć. Ręczył, że sam również bił. Opowiadał mi dużo innych nieprawdopodobnych historyjek, w które nie wierzyłem. Myślałem, że się chwali, lecz jeszcze w Workucie usłyszałem potwierdzenie takich wypadków z ust innego żołnierza.

Z otrzymanych pieniędzy nie mogłem korzystać. Wiedział o nich mój szef, więc od czasu do czasu pożyczał ode mnie na pół litra „Wołogockiej”. Dawałem mu pieniądze, aby zapewnić sobie spokój. Wiedziałem, że nigdy ich nie odda. Kiedyś przyniósł pół litra i musiałem wypić z nim pełną szklankę duszkiem. Inaczej nie pito. Czułem po tym się fatalnie. Nie piłem przez lata, a poza tym ta wódka miała nieprzyjemny zapach, który czuło się jeszcze na drugi dzień. Ów starszy lejtnant, pijaczyna, jako człowiek nie był jednak najgorszy. Gdy był pijany, chodził po warsztacie i urządzał awantury, a ponieważ nie lubił Żydów, odgrażał się im przy każdej okazji. Chciał ich wszystkich wieszać. Był przekonany, że na wyższych uczelniach w Polsce wszyscy kupują sobie dyplomy. Powiedział to, gdy odmówiłem wykonania pracy dyplomowej dla jednego ze studentów, będących w kopalni na praktyce. Trudno było dyskutować z człowiekiem nie znającym zagadnienia i ślepo wierzącym w propagandę.

Komunistyczny socjalizm jest dziwnym tworem. Nie jest dostosowany do rzeczywistości. Weźmy chociażby sprawę poruszanych już wniosków racjonalizatorskich, zaga-

* Skróć od *Workuckij maszynostroitielnj zawod* (Workucka Fabryka Budowy Maszyn).

dnienie szczególnie mnie interesujące w tym ustroju. Niby wszystko było dobrze, wniosków dużo, efektów ekonomicznych na papierze jeszcze więcej, lecz konkretnych wyników mało. Rząd i partia przy każdej okazji podkreślały w swoich programach znaczenie racjonalizacji i postępu technicznego. Wydawało się, że w tej dziedzinie osiągnięte zostaną wyniki najlepsze na świecie. Tymczasem rzeczywistość i konfrontacja z Zachodem obaliły takie przypuszczenia. Hasła racjonalizacji i postępu technicznego były jedynie sposobami na zdobycie wyróżnień i dodatkowych zysków.

Przez dziesięć lat byłem świadkiem realizacji założeń centralizacji i decentralizacji przemysłu. Jedni łączyli oddziały węglowe z kamiennymi w celu wykazania dużych osiągnięć wydobywczych i otrzymania solidnych nagród; drudzy, po paru latach decentralizowali zastane struktury, również wykazywali dobre wyniki ekonomiczne i — jak ich poprzednicy — otrzymywali podobnie wysokie nagrody. I wszystko pozostawało w najlepszym porządku!

Pewien więzień z wyrokiem dwudziestu lat katorgi, z pochodzenia Rumun, złożył kiedyś wniosek racjonalizatorski. Proponował w nim zamianę kombajnu „Donbas”, najlepszej wówczas maszyny, na piły mechaniczne. Przed podjęciem decyzji, komisja poleciła mi zaopiniować wniosek. Musiałem ocenić go negatywnie, jako projekt cofający o wiek pracę w kopalni. Rumun zabezpieczył się na taką okoliczność. Był sprytny i wiedział, jak podejść do władzy partyjnej. Na początku wniosku napisał: „Działając zgodnie z wytycznymi najwyższych władz partii i rządu, zalecającymi szukania nowych technologii, zwiększających wydajność i jakość, proponuję całkowicie nową technologię wydobycia węgla, zezwalającą na uzyskanie węgla o lepszej jakości niż przy wykorzystaniu kombajnu «Donbas», który 50 procent węgla zamienia na miał”. Rumun proponował urabianie węgla piłami. Brygada z pięciu osób miała wycinać piłami bloki o wymiarach 350 na 350 milimetrów. Wszyscy, nawet najgłupszy, wiedzieli, że coś tu jest nie tak, ale jak tu odrzucić wniosek zgodny z polityką rządu i partii? Partyjni wiedzieli, że katorżnikowi nic nie zrobią za opinię negatywną, ale im? Może ich ktoś posądzić o działanie przeciwko partii. Lepiej się nie narażać. Wniosek poszedł do zjednoczenia, potem do kombinatu, a następnie do Syktywkaru, do najwyższych władz Komi ASRR. Każda władza coś napisała i w końcu zdecydowano, że należy wykonać pięć doświadczalnych egzemplarzy pił mechanicznych. W trakcie realizacji całej sprawy napotymano na duże trudności, a ja po roku straciłem z nią kontakt. Zapytałem Rumuna, dlaczego to robi, wiedząc, że jego wniosek nie ma sensu. Odpowiedział: *„Obaj to wiemy, lecz niech mi udowodnią, że jest bezsensowne coś, co na pozór jest zgodne z zapatrywaniami partii i rządu. Ciekawy jestem, który z nich odważy się odrzucić nawet i największą lipę, ale podbudowaną zaleceniami partyjnymi”*. Ileż ten Rumun miał racji...

Władze kopalni zleciły mi zaprojektowanie oraz wykonanie roboczych rysunków, a następnie miniatury kombajnu „Donbas”. Robiliśmy go pół roku. Wykonaliśmy prawdziwe cacko — zabawkę dla dorosłych, potrzebną kierownictwu kopalni do wzbudzenia podziwu ludzi z Moskwy i z pozostałych kopalń. Ostatecznie, przy tak taniej robociźnie, dlaczego nie mieliby sobie pozwolić na pewnego rodzaju luksus?

Warto również wspomnieć o jednej, zupełnie nieudanej konstrukcji. W tym odciętym od świata miejscu trudno było cokolwiek kupić. Wolni zamawiali u nas wszystko. Ich zlecenia wykonywaliśmy ukradkiem, tylko władza polecała realizować swoje zamówienia

w godzinach pracy. Robiliśmy wszystko: naczynia kuchenne, papierošnice, grzebień, łóżka, wózki dziecięce, sanki. Naczelný inżynier kopalni polecił mi zaprojektować i wykonać parasol myśliwski, który wbija się w ziemię lub śnieg i myśliwy oczekuje pod nim na zwierzynę. Parasol miał ochraniać przed śniegiem, deszczem i wiatrem. Nie wiem, gdzie chciał polować na tę zwierzynę. Swoim zamówieniem zabił mi prawdziwego klina. Prawdę mówiąc, nigdy nie przypatrywałem się konstrukcji normalnego parasola. Rozpocząłem projektowanie od obliczeń na działanie śniegu i wiatru. Po zaprojektowaniu i wykonaniu rysunków roboczych, rozpoczęto prace nad prototypem. Parasol obszyto grubym brezentem — bo innego materiału nie było — a rurki zastąpiono prętami. Naczelnego inżyniera zawiadomiono o zakończeniu prac. Po dwóch dniach wezwał mnie do siebie i przywitał wiązanką przekleństw. Parasol myśliwski naszej konstrukcji ważył 20 kilogramów. Ładna rzecz, lecz naczelnemu się nie spodobała. Nigdy nie pretendowałem do awansu na stanowisko konstruktora parasoli myśliwskich, przeznaczonych do wykorzystania za kołem podbiegunowym, w krainie śniegów i purgi.

Pracując okresowo jako konstruktor przeżywałem więcej wzlotów i upadków niż zwykły katorżnik. Postanowiłem zdobyć jak największe doświadczenie, aby móc je wykorzystać w przyszłości po powrocie do kraju, jeżeli w ogóle będzie mi dane kiedykolwiek do niego wrócić. Nie groziło mi wyrzucenie z pracy, bo byłem na nią skazany.

Dyrektorem kopalni nr 1 był kapitan NKWD Pryskoka. Jego żoną była pewna sportsmenka. Wśród wolnych, mających prawo wyjazdu z Workuty, przyjął się zwyczaj niekorzystania z urlopu przez dwa lata, aby w trzecim roku wziąć cały zaległy, czyli sześć miesięcy. Pieniądze otrzymywało się z góry. Dyrektorzy kopalni zarabiali w tamtym okresie około 15–20 tysięcy rubli miesięcznie. Byli bogaczami, więc niektórzy z nich po przyjeździe do Moskwy kupowali samochody marki Pabieda, dając łapówki. Dzięki temu otrzymywali je bez kolejki. Po skończonym urlopie samochód pozostawiali jednej z kochanek, bo w Workucie był im niepotrzebny. Zdarzały się przypadki, że do bez troskich urlopowiczów, po pewnym czasie przyjeżdżały w odwiedziny „przygodne żony” i wówczas dochodziło do ich konfrontacji z żonami workuckimi. Jedna z takich konfrontacji miała miejsce między żoną dyrektora, kapitana Pryskoki, a jego „żoną” z czasu urlopu, przybyłą do Workuty. Walka rozegrała się koło teatru workuckiego, gdy dyrektor przybył tam z kochanką. Przed teatrem czekała już prawowita żona. Po chwili tarzały się po śniegu i wrywały sobie włosy. Nikt im w tym nie przeszkadzał, a kapitan Pryskoka się ulotnił, chociaż był głównym winowajcą całego zajścia.

Plugawienie pięknego języka rosyjskiego, zamiast zanikać, z roku na rok kwitło. Powstał język „sowiecki”, pełen ohydnych słów i zwrotów. Przedstawiciele władzy posługiwali się podczas spotkań produkcyjnych najgorszymi przekleśtnami. Prześcigano się w ich dosadności i oryginalności, wpajano przekonanie, że ten, kto nie przeklina jest słaby, bez charakteru. Nie liczone się z obecnością kobiet, które pod tym względem nie ustępowały zresztą mężczyznom. Miałem na zmianie kobietę wolną, spawaczkę, mówiącą językiem najgorszych mętów społecznych. Stałe plugawienie języka zaniepokoiło władze centralne, które upoważniły kierowników poszczególnych zakładów pracy do nakładania kar na osoby, które przeklinały w ich obecności. Kary polegały na wyznaczaniu dodatkowych, bezpłatnych prac, takich jak porządkowanie miast i osiedli, kopanie rowów i odśnieżanie. Władzy nikt za plugawienie języka nie karał, więc skrzętnie ko-

rzystała z danego jej przywileju — sama klęła w najlepsze, ale chętnie karała za przeklinanie innych. Czy ktoś może powiedzieć, że władza sowiecka jest bezmyślna? Odtąd plugawiła język po dawnemu, a inni, im więcej odpracowywali bezpłatnych godzin, tym częściej przeklinali. Po roku zarządzenie przestało być przestrzegane...

Rok 1953 nie zapowiadała żadnych zmian. Aż tu nagle, jak piorun z jasnego nieba, spada na nas wiadomość: Stalin nie żyje! Wydawało się, że narody ZSRR spotkał największy kataklizm. Można było przewidzieć, co nastąpi w najbliższej przyszłości. Będzie ta sama partia, ale nie będzie dwóch Leninów. Może być tylko jeden niezjący i jeden żyjący. Nowy nie zechce być gorszy od Stalina i zapragnie takiego samego kultu, jakim otaczany był jego poprzednik. Nawet gdyby nie chciał, wokół niego znajdzie się wystarczająca rzesza partyjnych, którzy nałożą mu aureolę nieomylności i mądrości, aby bezpiecznie żyć. My, więźniowie obozów komunistycznego państwa, mogliśmy najlepiej ocenić monstrualność jego ustroju, w którym przez dziesiątki lat dokonywano masowych zbrodni. Stalin musiał pójść w zapomnienie — jak każdy władca. Nie wiedzieliśmy jednak, że w jego przypadku będzie gorzej, że nie tylko go zapomną, ale będą jeszcze go opluwać.

Bezpośrednio po jego śmierci, we wszystkich zakładach pracy, również w obozach, wszyscy byli okryci głęboką żalobą i zajęci przygotowaniami do uroczystości pogrzebowych. My, katorżnicy, uważani za zdrajców ojczyzny i najgorszy element społeczny, musieliśmy oddać Stalinowi ostatni hołd jedną minutą ciszy. Musieliśmy słuchać propagandowych przemówień o wielkiej stracie, jaką poniósł świat i ZSRR.

Po uroczystościach pogrzebowych ludziom powoli zaczęły się rozwiązywać języki. Wśród wolnych krążyły różne hipotezy na temat śmierci Stalina. W Workucie opowiadali sobie o tym, że partia pomogła władcy Kremla w odejściu z tego świata, bo stał się niewygodny. Tylko w Moskwie wiedzą, ile w tym było prawdy. Początkowo bardzo ostrożnie mówiono na temat następcy Stalina. Bezpieczniejsze było milczenie. Każdy wiedział, że na nic nie może liczyć w razie posądzenia o niełojalność. Sowietami między sobą nie rozmawiali na tak niebezpieczne tematy, ale wobec nas, Polaków, a do tego więźniów politycznych, byli bardziej szczerzy. Wiedzieli, że siedzimy za inne zapatrywania, w obronie których poświęciliśmy wolność oraz wiele lat życia i że nie interesuje nas ustrój sowiecki, dopóki nie działa na szkodę Polski.

Kierownikiem zaopatrzenia i magazynu centralnego w kopalni był partyjniak narodowości greckiej. Po śmierci Stalina powiedział do znajdujących się w jego gabinecie Polaków i Estończyków, wskazując na portret Berii: „*To jest mądry człowiek, dobry organizator, będzie dobrze rządził*”. Po paru tygodniach Beria został uwięziony. Ten sam partyjniak, w obecności Leona Tejwana i dwóch Estończyków zdjął portret Berii, rzucił na ziemię i deptając po nim, krzychał: „*A nie mówiłem, że to podlec, bandyta i szpieg! Powiesić go!*”. Zdarzało się, że ludzie skazani na dwadzieścia lat katorgi, w dniu śmierci Stalina płakali po nim jak dzieci.

Niezależnie od tego, co miało teraz nastąpić, wszystkie narodowości cieszyły się z odejścia Stalina. Będzie zmiana — mówiono — cokolwiek nastąpi, nie będzie gorzej. Nie mieliśmy żadnych praw, więc nic nie mogliśmy stracić. Sądziliśmy, że ten, który teraz nastąpi niczego nie zmieni i co najwyżej pójdzie na jakieś drobne ustępstwa. Ale to

byłoby już coś. Miliony umierały z głodu i nie buntowały się, nawet nie szemrały przeciwko władzy i partii. Każde niezadowolenie było dławione w zarodku.

W tym czasie los przyniósł nam prawdziwą, dotkliwą stratę. Mieliśmy serdecznego kolegę, cieszącego się szacunkiem wszystkich więźniów. Był bardzo uczynny, jak mógł pomagał innym, głównie w uzupełnianiu wiedzy technicznej, ponieważ z wykształcenia był inżynierem elektrykiem. Przed aresztowaniem piastował stanowisko naczelnego inżyniera w jednym z zakładów energetycznych we Lwowie. Właśnie on, Julian Wiktor, cieszył się z nami ze śmierci Stalina. 7 maja 1953, przed zjazdem do kopalni, Leon Tejwan i ja rozmawialiśmy z nim o naszych perspektywach na przyszłość w nowej sytuacji. O godzinie 9.00 zjechał na dół, a około godziny 12.00 otrzymaliśmy wiadomość o wypadku w upadkowej skipowej, w którym podobno zginął człowiek. Wiedzieliśmy, że właśnie tam pracował Wiktor. Czekaliśmy na ewentualne sprostowanie wiadomości, bo czasami były fałszywe. Niestety, ta okazała się prawdziwa... Wszystkie naprawy upadowych skipowych musieliśmy wykonywać bez zatrzymywania skipów. Trzeba było bardzo uważać, ponieważ między skipem a obudową nie mieścił się człowiek. Wiktor otrzymał zadanie naprawienia światła. Zajęty naprawą nie zauważył przechodzącego w dół skipu. Powinien po jego przejściu pójść na drugą stronę. Prawdopodobnie, gdy zdał sobie sprawę z zagrożenia było już za późno na to, aby przebiec. Przywarł więc do obudowy i przeciągnęło go po niej. Długo nie mogliśmy pogodzić się z faktem, że do tundry odszedł jeden z najwartościowszych rodaków. Miesiąc po nim odszedł następny. Nazywał się Jankowski. Mogliśmy zrobić dla nich tylko tyle, że zdobyliśmy jakąś bieliznę, dzięki czemu nie byli pochowani nago w tej nie naszej, wiecznie zmarzniętej ziemi. Opłaciliśmy więźniów wyznaczonych do grzebania, aby się potrudzili i wykopali dół w ziemi, a nie tylko w śniegu. Po wyjściu na wolność postawiliśmy tam krzyże.

Iskierki nadziei na lepsze jutro dla więźniów sowieckiego imperium pojawiły się już z końcem 1952 roku. Po śmierci Stalina wiedzieliśmy, że nie będzie gorzej. Wprawdzie wybrano następcę, Malenkowa, lecz wiadomo było, że wybór ten pozwoli jego konkurentom na złapanie drugiego oddechu. Jednego z nich, Berię, ogłoszono zgodnie ze starym zwyczajem zdrajcą, wrogiem narodu i szpiegiem amerykańskim. Zginął od miecza, którym sam wojował. Malenkov utrzymał się krótko, bo po wykończeniu Berii sam stał się ofiarą walki o władzę. Za jego kadencji, zanim pożegnał się z funkcją pierwszego sekretarza, zdjęto nam łatki — symbole katorgi — oraz ogłoszono amnestię dla kryminalistów. Zniesiono również wiele drobnych ograniczeń: pozwolono na częstszą korespondencję, odwiedzanie katorżników przez najbliższych, noszenie dłuższych włosów i nieoddawanie honorów osobom wolnym. Wszystkie te ulgi w rzeczywistości nic władzę nie kosztowały. Mało tego, zyskała na nich, a najbardziej na dopuszczaniu do odwiedzin więźniów przez rodziny, co było oczywiście uwarunkowane wydajnością pracy. Tylko wyróżniający się pracownicy mogli uzyskać zgodę na odwiedzanie ich przez rodziny — chodziło głównie o odwiedziny żon. Więźniowie zaczęli więc lepiej pracować, sądząc w swojej naiwności, że zgoda zależy rzeczywiście tylko od wydajnej pracy. Obok wartowni, a najczęściej w samej wartowni zorganizowano pomieszczenie — pokój przyjęć dla odwiedzających żon. Pierwsze widzenia odbywały się w obecności strażnika. Następnie władze zezwoliły więźniom spędzać jedną bądź dwie noce z ich wybrankami. Do pokoju wstawiono łóżko. Początkowo wspólnym nocom stęsknionych za sobą par towarzyszył

strażnik, który nawet na moment nie opuszczał pokoju. Dopiero protesty wolnych i więźniów doprowadziły do jego usunięcia.

Strach przed represjami w stosunku do członków rodzin spowodował, że bliscy aresztowanych wypierali się współmałżonków, zwłaszcza gdy w trakcie postępowania wyjątkowego miały miejsce publiczne potępienia i samooskarżenia. Nie należało również do rzadkości pozbywanie się niewygodnego współmałżonka przez składanie donosów, które stanowiły ważny element sprawowania władzy. Dobrze zredagowany donos załatwiał wszystko.

Gdy pozwolono na spotkania z kobietami, każdy z więźniów chciał mieć żonę. Jeżeli prawowita małżonka wyrzekła się męża, o nową nie było trudno. Ocena pracy więźnia zależała od kierownika z obozowej arystokracji, a następnie od pracownika NKWD. Faktem jest, że zdarzały się wypadki oddawania żon na jedną noc naczelnikowi, od którego zależała decyzja o następnych widzeniach. Zależało to oczywiście również od decyzji żon, które najczęściej jednak nie znajdowały powodu, aby nie przystać na taką propozycję. Każda kobieta, która przybywała na widzenie z mężem musiała się zgłosić w siedzibie NKWD. Sposób, w jaki kobiety załatwiały w NKWD zezwolenie na takie spotkania był powszechnie znany. Część więźniów, głównie z arystokracji obozowej, sprowadziła sobie kochanki. Musiały mieć tylko papier, że są związane z którymś z mężczyzn. Taki papierek można było zdobyć w stosunkowo prosty sposób, świadcząc „usługi” wystawiającym je urzędnikom.

W czasie odwilży po śmierci Stalina nastąpił w kopalni wybuch. Zginęła wtedy cała zmiana jednego oddziału. Podejrzewano kierownika wentylacji o niedopatrzzenie, lecz nie udowodniono mu zaniedbania obowiązków. Podczas pracy wszyscy musieli coś zauważyć, gdyż opuścili swoje stanowiska i schodzili w dół. Tam zastał ich wybuch.

W 1953 roku, w wigilię Bożego Narodzenia znaleziono powieszono sztygara zmianowego, Ukraińca. Władze przeszły nad tym do porządku dziennego, uważając to za samobójstwo. W 1954 roku w obozie wydarzyło się coś, co można porównać z eksplozją bomby — uciekło pięciu więźniów, którzy z chodnika wentylacyjnego, z poziomu osiemdziesięciu metrów wybili szyb w górę. Było to w rejonie workuckiego lotniska. Nie wiadomo, jak długo nad nim pracowali. Drażnienie szybu w górę jest bardzo trudne. Był to prawdziwy majstersztyk, dzieło fachowców dużej klasy. Ustalono, że kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym szyb był drażniony, uciekinierzy wchodzili za obudowę chodnika. Ta ostrożność utrudniała pracę, bo cały materiał z drażenia i tak musiał być wynoszony za obudowę. Skład grupy był następujący: oddziałowy sztygar wentylacji (podejrzany o wspomniany wcześniej wybuch), dwóch Estończyków i dwóch Łotyszy. Wszystkim zarzucono współpracę z niemieckim wywiadem w czasie wojny. Widocznie nie było na to dowodów, bo ich nie rozstrzelano. Ucieczka ta rzuciła nowe światło na wcześniejsze rzekome samobójstwo Ukraińca. Przypuszczalnie coś zauważył i dlatego musiał zginąć. Wylot szybu koło lotniska został zabetonowany. Władze przypuszczały, że uciekinierzy mieli przygotowane narty i żywność oraz zorganizowaną pomoc z zewnątrz. Twierdziły, że udało się ująć i zlikwidować zbiegów, lecz nie wierzyliśmy w to, ponieważ na pewno pochwaliliby się pokazując schwytych, żywych lub martwych. Jedno było pewne, wojsko i NKWD na całej północy ZSRR postawiono na równe nogi.

W latach 1953–54, według poufnych informacji z narad aktywu partii, w workuckich kopalniach było więcej wypadków śmiertelnych niż w całym przemyśle węglowym Stanów Zjednoczonych. W 1953 roku przywieziono do Workuty wielu Niemców z puczu berlińskiego. Wśród nich był lekarz stomatolog. W obozach zębów nikt nie leczył. Nikt ich również nie czyścił, bo nie było czym. Przywieziony dentysta miał pełne ręce roboty. Wierzyć się nie chciało — berliński dentysta wykonywał i zakładał więźniom koronki. Nie każdemu, rzecz jasna. Zakładał je tylko tym, którzy otrzymali zezwolenie władz obozowych, a to zależało od wyników w pracy. Nareszcie znalazłem praktyczne zastosowanie nierdzewnej stali pochodzącej z wałów *trofejnych* pomp. Zaczęliśmy je przekuć pod młotem na najcieńsze blachy, jakie tylko udało się uzyskać, a te z kolei młoteczką przetwarzaliśmy na blaszki o grubości potrzebnej dentyście. Powstało nowe źródło zarobku. Miałem materiał i zezwolenie, więc wstawiłem sobie dziesięć koronek.

Mniej więcej w tym czasie przywieziono do obozu francuskiego żołnierza. Był naprawdę biedny — chorował, męczył go kaszel. Pochodził z Paryża. Miał tam kawiarnię. Z naszych rozmów wynikało, że Francuz był sympatykiem ustroju komunistycznego i chciał się przekonać, czym ów ustrój jest w istocie. Uważał, że najwięcej dowie się na ten temat w Berlinie Wschodnim — niby omyłkowo przejechał *zonę* i bardzo szybko zapoznał się z systemem, który go tak fascynował. Workuta jest dobrą szkołą dla wszystkich, którzy chcą poznać prawdziwe oblicze komunizmu.

Podobny przypadek był z pewnym, starszym już Austriakiem, moim sąsiadem z przychy. Był zwolennikiem ustroju sowieckiego, uważał go za coś lepszego. Gdy wkroczyły wojska sowieckie zaczął z nimi współpracować. Niektóre posunięcia władzy komunistycznej mu się nie podobały, więc zaczął je krytykować, w nadziei, że swoimi wypowiedziami wpłynie na zmianę mylnych decyzji. Został aresztowany i wysłany do Workuty. Tu poznał wyższość nowego ładu. Zapewniał mnie, że zna już wystarczająco dobrze „lepszy ustrój” i obecnie ma tylko jedno marzenie — wrócić do kraju i poświęcić się wprowadzaniu z błędu innych komunistów.

Przyjaźniłem się ze starszym Rosjaninem, Kołomasowem. Przywieźli go do Workuty jeszcze przed drugą wojną. Nie było wtedy baraków i wszyscy żyli w namiotach. Od niego dowiedziałem się historii Workuty, miejsca zagłady inaczej myślących obywateli ZSRR. W początkowym okresie więźniowie padali jak muchy. Ich towarzysze niedoli nie trudzili się chowaniem zwłok. Po prostu zabierali nieboszczykowi wszystko i nagiego wyrzucali na śnieg, niedaleko namiotu. Czasami, gdy było to możliwe, zatajali fakt śmierci kolegi przez jeden, dwa dni, aby pobierać za niego jedzenie. Zmarłych z głodu i wycieńczenia nie chowano również w czasie wojny i zaraz po jej zakończeniu. Dlatego latem w tundrze można było oglądać rozrzucone, ludzkie kości. Do grzebania zwłok zmusiła władzę ogromna liczba umierających. Od Kołomasowa i Kowalenki dowiadywałem się o losach Polaków przywiezionych do Workuty w latach 1939–41. Pracowali przy budowie kolei. Umierali masowo. Ich bezimiennymi mogiłami stały się nasypy kolejowe i tundra.

Kołomasowowi pozostało w 1953 roku tylko jedenaście miesięcy do zakończenia swojego wyroku — dwudziestu lat. W połowie roku zawiadomiono go o zwolnieniu z obozu. Okazało się, że był niewinny i że nie było żadnych podstaw do jego aresztowania. Omal nie zwariował. Dziewiętnaście straconych lat! Lecz nie tylko o lata chodzi-

ło. Stracił również wiarę w ludzi i w sens życia. Mógł opuścić Workutę i wrócić do rodzinnych stron, ale nie miał do kogo. Pozostał, bo przez te lata zdobył nowy zawód, a do emerytury brakowało mu tylko pół roku. Nie mógł liczyć na żadne odszkodowanie, bo takich jak on były miliony. Był już staruszkciem i pragnął tylko spędzić w spokoju resztę życia.

Po śmierci Stalina dużo mówiono się o amnestii. Gdy wreszcie do niej doszło, rozczarowała nas, bo dotyczyła jedynie kryminalistów. Władze obozowe rozpoczęły przygotowania do szybkiego zwolnienia wszystkich bandytów. Zorganizowano specjalny pociąg do wywiezienia ich w głąb ZSRR. Zwolnieni z więzień i obozów kryminaliści nie zajęli daleko. W tajdze zatrzymali pociąg i przystąpili do załatwiania porachunków między sobą. Kilku zginęło, reszta się ulotniła. Amnestia przyczyniła się do zalania całego ZSRR przez element bandycki. Mieszkańcy wszystkich miast byli w niebezpieczeństwie — rabowano ich i mordowano. Do ponownego wyłapania zwolnionych przestępców użyto NKWD. Mój szef, starszy lejtnant Jonas, brał udział w moskiewskich obławach na wielu z nich. NKWD w końcu opanowało sytuację. Nie wyłapało wszystkich, ale 80 procent recydywistów trafiło z powrotem do więzień i obozów.

W obozach o zaostrowym rygorze zapanowało przygnębienie. Uświadomiliśmy sobie, że dla więźniów politycznych nie ma żadnej nadziei na lepsze jutro. Dużo osób się załamało. W tej beznadziejnej sytuacji nastąpiła jednak rzecz nieoczekiwana. Zaczęto likwidować nadmierną liczbę pracowników NKWD. Redukowano etaty we wszystkich przedsiębiorstwach i w całej administracji, a zatem w obozach również. NKWD musiało więc jakoś udowodnić narodowi, że bez jego siły nie będzie spokoju. Wykorzystało w tym celu niezadowolenie więźniów politycznych, których nie objęła amnestia. Na terenie całego ZSRR zaczęły się dziać rzeczy, które dotąd nie miały precedensu. Latem 1953 prawie we wszystkich obozach zaczęły wybuchać strajki. Jasne, że tylko strajki organizowane przez ludzi z zewnątrz mogły w tak krótkim czasie, w ciągu niespełna trzech miesięcy, opanować wszystkie obozy od Kamczatki aż po europejską część ZSRR. W kopalniach workuckich wydobywanie węgla spadło o 50–75 procent. Górnicy zjeżdżali na dół, lecz nie pracowali. Żądali skrócenia wyroków i wynagrodzeń za pracę. Byłem świadkiem przekazywania informacji o strajkach w innych kopalniach i nawoływania do buntu w kopalni „Kapitalnaja”. Robiły to osoby z zewnątrz, które przechodziły niedaleko *zony* obozu. Tylko pracownicy NKWD mogli czynić to bezkarnie. Słyszałem, jak ktoś powiedział: „*Kopalnie 7 i 29 strajkują, a wy nie. Strajkujcie. Pomóżcie innym*”. Najdrastyczniejszą formę przyjął strajk w kopalni nr 29, który rozpoczął się w lipcu 1953. Zadecydowano nie wychodzić z obozu do pracy oraz usunięto władze obozowe. Powołano komitet strajkowy, a kierownictwo strajku wybrano drogą losowania. Na jego czele stanął Polak z Sambora, Edward Buca, który siedział w celi śmierci we Lwowie razem z „Rysiem”. Zastępcą Bucy był Łotysz. Całą akcję zorganizowano dobrze i sprawnie. Kierownik strajku nie dopuścił do żadnej samowoli. Zabezpieczył całe miasto obozowe, utrzymywał wzorowy porządek. Kuchnia działała normalnie i korzystała z zapasów magazynów obozowych. Miejscowe władze czyniły wszystko, aby zlikwidować strajk. Obiecywały złote góry tym, którzy wyjdą do pracy, prowadziły nawet pertraktacje z komitetem strajkowym. Strajkujący domagali się rozmów z przedstawicielami władz, którzy mogliby podejmować decyzje w sprawie zwolnień więźniów politycznych. Czę-

ściowo osiągnęły swój cel, bo Workutą zainteresowała się Moskwa, która wydelegowała na rozmowy gen. Iwana Maslennikowa. Cały obóz przy kopalni nr 29 został otoczony wojskami NKWD, wyposażonymi w broń maszynową. W ten sposób moskiewska delegacja rozpoczęła negocjacje. Generał Maslennikow oświadczył, że jeżeli w ciągu pół godziny strajkujący nie zaczną wychodzić z baraków, rozkaże otworzyć ogień w kierunku obozu. Po naradzie więźniowie postanowili wyjść, lecz gdy to uczynili, wówczas żołnierze otworzyli ogień. Jako jeden z pierwszych padł Polak, Witold Ignatowicz. Nie wiadomo dokładnie, ile osób zginęło tego dnia. Mówiono, że ponad trzysta. Strajk został złamany, żołnierze NKWD utworzyli szpaler, przez który wszyscy strajkujący musieli przejść. Wybrano najaktywniejszych działaczy komitetu strajkowego, rozebrano ich do naga, a następnie na oczach wszystkich załadowano do przygotowanych samochodów i wywieziono. Starano się stworzyć pozory, że wszyscy zostaną straceni, ale w rzeczywistości członków komitetu strajkowego oskarżono o sabotaż i dywersję. Potem zamieniono wszystkim sabotaż na chuliǵaństwo. Buca do swoich dwudziestu lat otrzymał dodatkowe dziesięć i został wywieziony do Spaska. (Znałem więźniów z wyrokami pięćdziesięciu lat, a krążyły opowieści o wyrokach dochodzących do stu lat.)

Strajki w obozach, również ten krwawo zakończony w obozie przy kopalni nr 29, po pewnym czasie dały polepszenie warunków życia więźniów politycznych. Przyczyniły się do tego dalsze zmiany we władzach. Otrzymaliśmy *zaczoty*, czyli ulgi. Polegały one na odjęciu jednego dnia wyroku, jeśli w ciągu jednej doby wykonano plan pracy za dwa lub trzy dni. Pojawiły się także możliwości wychodzenia do miasta Workuty w dni wolne.

Jeszcze w 1953 roku wielu więźniów nosiło bryły węgla z kopalni do obozu. W stołowie otrzymywało się za to dodatkową zupę. Kuchnie nie dostawały dobrego węgla, gdyż władze obozowe płaciły za niego kopalni i starały się brać ten najtańszy, a więc najgorszy. O lepszy opał starali się sami pracownicy kuchni. Im z kolei zabierali węgiel strażnicy, bo również dostawali najgorszy jego gatunek i to w minimalnej ilości.

Po dojściu do władzy Chruszczowa stosunki między ZSRR a RFN zaczęły się poprawiać. Więźni Niemcy odczuli to natychmiast, szczególnie gdy zapowiedziano spotkanie Adenauera z Chruszczowem w Moskwie. Niemcom zezwolono na pisanie listów, otrzymywanie książek i prasy, a także paczek z Czerwonego Krzyża. Dla nas, Polaków, nic się nie zmieniło.

W maju i czerwcu 1954 wszyscy Polacy przebywający w obozach workuckich przeprowadzili akcję pisania skarg do prokuratora generalnego w Moskwie. W skargach tych protestowali przeciw sądzeniu ich jako obywateli ZSRR. Ja również napisałem dwa razy. Na pierwszy list, napisany 1 czerwca 1954, nie otrzymałem odpowiedzi. Rodacy, mieszkający przed 17 września 1939 na Kresach Wschodnich otrzymali odpowiedź, że wszystko jest zgodne z prawem, gdyż obywatelstwo sowieckie otrzymali automatycznie z momentem włączenia tych ziem do ZSRR. Byłem ciekaw, co mi odpiszą, ponieważ nigdy nie mieszkałem na terenach zabranych Polsce. Odpowiedź nie przychodziła, więc 11 grudnia napisałem drugą skargę. Ta również nie odniosła żadnego skutku. Łudziliśmy się, że może władze PRL zaprotestują przeciwko bezprawnemu odebraniu nam polskiego obywatelstwa i narzuceniu obywatelstwa obcego państwa. Nie doczekaliśmy się jednak takich wystąpień.

Latem 1954 roku rozeszła się wiadomość o wyrażeniu zgody na pisanie do swoich rodzin przez Czerwony Krzyż. W obozach zawrzało, bo do tego czasu nie wolno było wysyłać niczego poza granice ZSRR. Polacy postanowili skorzystać z tego zezwolenia. 12 lipca 1954 napisałem na specjalnym druku do domu. Pisząc tę kartkę musiałem ściśle stosować się do wskazówek władz: zamiast workuckiego adresu należało umieścić adres moskiewski i można było pisać wyłącznie to, że jest się zdrowym, że ma się dobrą pracę i że wszystko jest w porządku. Te kłamstwa dawały podobno gwarancję, że kartka dojdzie do adresata. Każdy z piszących miał nadzieję, że za miesiąc otrzyma odpowiedź. Po miesiącu napisałem ponownie. Wkrótce potem rozpuszczono wieść, że prawo do pisania przez Czerwony Krzyż mają tylko Niemcy i więźniowie z państw spoza obozu sowieckiego. Kartki mimo to wysyłałem z uporem, aż do momentu, gdy zaprzestano je wydawać Polakom. Miesiące upływały, a odpowiedzi nie było. Stało się jasne, że jeżeli jakaś kartka doszła do kraju, to tylko na skutek błędnego tłumaczenia przez władze niejasnego zarządzenia Moskwy. Tak wielu obcych obywateli zasądziło jako swoich, że pogubili się w ocenie tego, kogo zaliczyć do obcokrajowców.

Niemcy nadal regularnie otrzymywali przez Czerwony Krzyż paczki żywnościowe, gazety i książki. Po wizycie kanclerza Adenauera w Moskwie ogłoszono amnestię dla wszystkich Niemców i wszystkich sowieckich obywateli sądzonych za rzekomą współpracę z Niemcami. Początkowo część rodaków łudziła się, że ta amnestia może rozciągnąć się na sądzonych za przynależność do AK. Władza sowiecka jednak szybko rozwiała te złudzenia. Gdy nas sądzono, każdemu zarzucano współpracę z Niemcami, ale po ogłoszeniu amnestii dla skazanych za taką współpracę, ogłoszono, że nie dotyczy ona Polaków należących do AK, bo ta nigdy nie współpracowała z Niemcami. Władze w Warszawie nie tylko nie zakwestionowały posunięć władz sowieckich względem Polaków, lecz na dodatek, jeszcze w 1952 i 1953 roku, zezwalały na wywożenie osób aresztowanych w Polsce do obozów w ZSRR. Moskwa chętnie „opiekowała się” tymi, którymi nie chciały się zajmować władze w Warszawie.

Tymczasem jeszcze przed ogłoszeniem amnestii dla Niemców, zabierano ich stopniowo z Workuty do specjalnych obozów z dobrym wyżywieniem. Adenauer doprowadził również do zwolnienia więźniów niemieckich przywiezionych do Workuty w 1953 roku. W obozach zostali tylko Polacy, Ukraińcy, Litwini, Łotysze i Rosjanie mający wyroki za działalność polityczną.

Jakie były nastroje wśród Polaków w obozach od połowy 1954 roku ukazuje moja korespondencja prowadzona z Polkami z obozu przy cegielni. Korespondencję tę umożliwiały osoby zwolnione z obozów, solidaryzujące się z tymi, którzy jeszcze w nich pozostawali. 28 czerwca 1954 Czesia otrzymała kartkę od „Rysia”. W tym okresie obóz katorżniczek przy cegielni nie był najgorszy. Kobiety wychodziły do pracy w tundrze bez konwojentów. Pozwoliło im to na nawiązanie kontaktów z rodakami z obozu przy kopalni nr 40. W tej kopalni niektórzy otrzymywali już przepustki. 2 lipca obóz kobiecy przy cegielni odwiedził Paweł Świetlikowski. Otrzymał przepustkę z obozu przy kopalni nr 3. Wynika z tego, że w różnych obozach sprawy ulg dla więźniów wyglądały różnie i chociaż wszystko kierowane było centralnie z Moskwy, każdy kierownik miał możliwość realizacji dyrektyw według własnego uznania.

20 lipca 1954 Czesia zamieszkała w barakach za *zoną*. 26 września rozeszła się wśród kobiet wiadomość, że mają na dniach sędzić dwadzieścia kobiet, które odbyły już dwie trzecie wyroku. Mówiono, że wszystkim, które odsiedziały dwie trzecie wyroku urzędzą rewizję procesów i większość z nich będzie zwolniona. Kilkanaście kobiet wysiedlono za *zonę* obozu. Zamieszkały w osiedlu na prawach wolnych, bez możliwości opuszczania Workuty. Płacono im za pracę, potrącając jakąś kwotę na koszty prowadzenia obozu. Codziennie musiały meldować się w wartowni. Te same ulgi wprowadzano stopniowo w obozach męskich. W naszym obozie tylko kilku mężczyzn otrzymało przepustki uprawniające do wyjścia na kilka godzin do miasta. Przeważnie byli to ludzie należący do obozowej arystokracji lub współpracujący z NKWD. W późniejszym okresie kilku z nich otrzymało zezwolenie na zamieszkanie poza obozem. Z upływem czasu coraz częściej słyszało się o możliwości zwolnień osób, które odbyły większą część wyroku. Dotyczyłoby to wszystkich zasądzonych na piętnaście lat katorgi.

W połowie października do „Pięcioraczków” napisał Kazik Cis z Irkucka. Dowiedzieliśmy się, że u nich ponownie zaczęły się jakieś strajki, bo nikt jeszcze nie otrzymał odpowiedzi na kartki wysłane przez Czerwony Krzyż.

W listopadzie 1954 uzyskałem zgodę władz na stołowanie się w specjalnej stołówce wybudowanej w obozie. Od tego czasu płacono mi również za pracę, potrącając koszty obozowe — za odzież i obuwie. Za jedzenie płaćłem jak wolny. W nowo utworzonych stołówkach królowała konina. Był to drugi etap likwidacji koni pracujących jeszcze w kopalni. Myśl o jedzeniu przez pół roku tylko koniny — w zupie i na drugie danie, często bez przypraw i soli — napawała rozpaczą. Potrawy były mdłe i obrzydliwe. Wyboru jednak nie było.

18 grudnia 1954 zabrali od nas dwudziestu jeden więźniów. Był wśród nich jeden Polak. Mieli jechać pulmanem prosto do Moskwy. 25 grudnia rozeszła się wiadomość, że mają wywieźć wszystkich obcokrajowców, prawdopodobnie do miejsc ich aresztowania. Również w grudniu, wyszedł na wolność mój rodak, Adolf Leśniak ze Lwowa. Zamieszkał w osiedlu wolnych, nie mających prawa wyjazdu z Workuty.

W końcu grudnia wyjaśniło się, że tych dwudziestu jeden obcokrajowców, wśród których był jeden Polak, podobno spóźniło się na pociąg i czeka na nowe rozporządzenie w innym obozie. Do końca 1954 roku wywieziono z obozu kobiecego przy cegielni prawie wszystkie kobiety z niesowieckim obywatelstwem, a na początku stycznia 1955 zabrano z obozu przy kopalni nr 1 sześćdziesięciu obcokrajowców, wśród nich pięciu Polaków i trzech Ukraińców z obywatelstwem polskim.

Od czasu do czasu wprowadzano pewne zmiany w przysługujących nam ulgach. Manipulowano nimi, byśmy nigdy niczego nie byli pewni. Kobietom zaczęto ograniczać przepustki. Wydawano je tylko na cztery do sześciu godzin, a czasami w ogóle je wstrzymywano. W pierwszej dekadzie stycznia razem z cudzoziemcami wyjechał Olek Bauer z kopalni nr 3. Gdy przybył do kraju, zamiast spotkania z rodziną czekało go polskie więzienie, gdzie został zamknięty razem z innymi repatriantami. Prokurator przeprowadził śledztwo i całą swoją wiedzę prawniczą skierował na udowodnienie, że wyroki skazujące Polaków na długie lata w sowieckich obozach były słuszne i zgadzają się z linią PZPR.

Gdy my nie korzystaliśmy już w obozie z kartek Czerwonego Krzyża, kobiety mogły korzystać z nich nadal. 16 stycznia 1955 władze ogłosiły kobietom, że Polacy i Żydzi za-

mieszkujący do 17 września 1939 na terenach należących do Polski, mają prawo powrotu do domu.

Baraki wybudowane przez więźniów obozowych przy cegielni i kopalni nr 3 zostały odebrane przez komisje. Stały nie zamieszkałe. Widocznie wśród władz nastąpiła kolejna zmiana poglądów. Zapowiedziano kobietom, że nie mogą wychodzić do miasta, a swoje „wychodne” dni mogą spędzać na osiedlu przy cegielni. Częściej dokonywano tutaj obław i łapanek na mężczyzn odwiedzających swoje znajome. Mężczyźni z różnych kopalń zaczęli więc unikać tego miejsca.

20 stycznia 1955 przyszedł list od Polki zabranej razem z Niemkami. Znajdowały się w Incie, w obozie na dokarmianiu. Komuniści sowieccy znali ludzką psychikę i wiedzieli, że zawsze znajdą się tacy, którzy raczej uwierzą temu, co widzą, a nie ponurym, okropnym opowiadaniom. Czy znajdzie się wiele osób, które uwierzą dobrze wyglądającemu więźniowi opowiadającemu o głodzie? Władze sowieckie nie tylko dobrze odzywały wracających z obozów, lecz również ubierały ich w nowe ubrania, które były dopasowane do figury.

Początkowo byliśmy przekonani, że obcokrajowcy wrócili do swoich krajów. Pojawiły się jednak dowody na to, że nie wszyscy tam dotarli i część z nich przebywa nadal w obozach specjalnych. Wywożenie inwalidów i cudzoziemców wskazywało na możliwość zmniejszenia liczby obozów leżących bliżej miasta Workuty. Usuwano z nich element niepewny i zbędny. Wiadomości te były rozpowszechniane przez władze. Należało raczej przychylić się do opinii, że w przyszłości będą tu pracować wolni — więźniowie po odbyciu wyroków.

Każdy dzień przynosił drobne zmiany. Wszyscy nimi żyliśmy. Wnosiły one coś pozytywnego po dziesięciu latach upodlenia, głodu, szykan, bezprawia, mordów i śmierci ludzi, którzy nikogo nie obchodzili. Najbliższa przyszłość miała odpowiedzieć na wiele nurtujących nas pytań. Wiedzieliśmy, że w okresie walki o władzę na Kremlu wszystko może się zmienić jeszcze wielokrotnie. W końcu lutego 1955 rozpoczęły się sądy inwalidów. Tak je nazywano. Nie były to rewizje procesów, bo te w pojęciu prawa wyglądają na świecie inaczej. Te sądy miały za zadanie odjęcie od wyroku tylu lat, aby inwalida uzyskał wolność. Wśród sądzonych ponownie byli dwaj nasi seniorzy: Antoni Kokociński i podpułkownik Władysław Zarzycki. Oczekiwali na wyjazd z przekłętą kraju.

Nastroje były różne. Część rodaków zajęta była pisaniem podań o przyznanie polskiego obywatelstwa. Co za ironia losu! Polacy z krwi i kości, będący obywatelami Polski z dziada pradziada, musieli prosić, by przyznały się do nich władze polskie, gdyż do tej pory ich nie zauważały.

W sprawie wysiedlania za *zonę* wyjaśniono nam, że w najbliższej przyszłości nie przewiduje się żadnych przeniesień. Dotychczas robiono to omyłkowo. W przygotowaniu natomiast był obóz o złagodzonej rygorze. Wydzielono na niego pięć baraków. Powiedziano nam, że więźniowie z tego obozu będą wychodzić do pracy bez konwoju i nie będzie on pilnowany przez strażników. W niedzielę i w dzień wolny będą wydawać przepustki do miasta. Liczbę więźniów określono na 500–600 osób. Osoby prowadzące się wzorowo, nie mające na koncie żadnych naruszeń przepisów obozowych oraz dobrze pracujące, mogą uzyskać zezwolenie na zamieszkanie w Workucie lub w jednym z jej osiedli.

W końcu lutego 1955 do obozu kobiecego przy cegielni przybyła moskiewska komisja, która na spotkaniu z więźniarkami oświadczyła, że nic im się nie należy od władzy sowieckiej, a za wszystko, co otrzymywały w obozie, powinny być ustrojowi wdzięczne. Po wyjeździe komisji kobiety nadal wychodziły do pracy na budowy w tundrze pod eskortą konwoju. Przedłużało to pobyt w pracy o jedną do dwóch godzin.

W pierwszej dekadzie marca zmieniono przeznaczenie wspomnianych wcześniej pięciu baraków. Postanowiono umieścić w nich nieletnich kryminalistów.

18 kwietnia z naszego obozu zabrano wielu więźniów. Wśród nich znalazła się osoba przenosząca moją korespondencję do obozu przy cegielni. Coś się działo, lecz władze trzymały wszystko w tajemnicy. Segregowano nas, ale nie wiedzieliśmy, według jakich kryteriów. Tworzony mógł być nowy obóz lub etap do innych obozów. Władze stały się czegoś obawiały — kontrrewolucji lub ujawnienia prawd skrzętnie skrywanych przed światem. Przygotowywano się do odseparowania elementu niewygodnego, w przypadku ogłoszenia ulgi dla części więźniów. Możliwe było również, że pewne kategorie więźniów zostaną zwolnione, bo władze ogłoszą amnestię z okazji dziesiątej rocznicy zakończenia wojny.

20 kwietnia [1955] w liście do Hanka napisałem: „Przypuszczamy, że chcą zrobić ukłon w stronę społeczeństwa, ale przede wszystkim w stronę Zachodu. Pragną w ten sposób zaakcentować, że ZSRR dąży do pokojowego współżycia z innymi narodami świata. Sytuacja jest napięta, a ewentualna wojna bardzo niewygodna. Ustąpiono w sprawie Austrii. Zgadzą się obecnie na to, na co nie chcieli się zgodzić w Berlinie. Krzyczeli wówczas, że dla przestępców wojennych nie ma litości. Dziś głoszą, że z momentem wyjścia z Austrii wojsk sowieckich ani jeden obywatel austriacki, jeniec czy więzień, nie zostanie na terenie ZSRR. Esesmani wracają na zachód. Napisz, czy u Was w ostatnim czasie również kogoś zabrali”.

Z tego, co zdążyliśmy zauważyć, zabierali więźniów często skazywanych na izolator lub *bur*. Przypuszczalnie kierowali ich do obozu przy kopalni nr 7. Olek Zarzycki również przygotowywał się do etapu. Wyznaczonych zabierali z pracy i w ciągu dwóch godzin wywozili. Spisy tych, których należy zabrać przysyłali z drugiego oddziału. Karol Prass, Kazik Jankowski i inni byli w tym czasie w obozie przy kopalni nr 7. Jako niepewnych nie wypuszczano ich do pracy w kopalni. Pracowali przy budowie dróg.

Restrykcje wzrosły w okresie święta pierwszomajowego. Organizowano łapanki na osiedlach. Z osiedla przy cegielni zabierano nawet wolnych Rosjan, udających się tam w odwiedziny.

3 maja Natalii Odyńskiej zdjęli piętnaście lat z dwudziestu pięciu lat wyroku. Rozeszły się pogłoski o ewentualnym skróceniu wszystkich wyroków do dziesięciu lat. Były to wiadomości mało wiarygodne, gdyż wszyscy siedzieliśmy już ponad dekadę. Mówiono również, że z obozu kobiecego zabiorą wszystkie kobiety, które nie zamieszkają na wolnym osiedlu. Skierują je do obozu przy kopalni nr 4. W tym czasie opuściło teren obozu trzydzieści kobiet, które wcześniej uzyskały wolność na podstawie odbycia dwóch trzecich wyroku. Wszystkie te wydarzenia wnosily w nasze życie nadzieję i niepokój. W naszym obozie 13 maja zwolniono czterdzieści siedem osób po odsiedzeniu dwóch trzecich wyroku i dwudziestu pięciu nieletnich. Zwiększało się tempo odgradzania pięciu baraków obozu o złagodzony rygorze.

Z naszego polskiego środowiska zaczęły wyjeżdżać Polki — Irena Nicińska, Stenia Szantyr i inne. Wszystkim dawaliśmy adresy rodzin w Polsce, by czynili starania o nasz powrót. Uważaliśmy pierwszych wyjeżdżających za szczęśliwców.

Prawdopodobnie z powodu przetrucenia obcokrajowców pod Moskwę i w inne miejsca, paczki wysyłane przez Czerwony Krzyż rzadko do nich dochodziły. Podobno wracały bez jakichkolwiek adnotacji. Jedna z pozostawionych w obozie Niemek otrzymała 18 maja pięć paczek jednocześnie.

W odgrodzonych pięciu barakach ostatecznie umieszczono różnych złodziei, bandytów i nieletni element przestępczy. Pozostałą część obozu zaczęto dzielić na dwie części. 25 maja wywieziono od nas sześćdziesiąt osób. Wyłączenie baraków dla innych celów automatycznie zwiększało zagęszczenie w pozostałych. Zlikwidowano przejścia. Więźniowie leżeli wszędzie. Nikt się tym nie przejmował. Nie do takich niewygód byliśmy przyzwyczajeni. Ale mimo wszystko utrudniało nam to życie. Do 31 maja zabrano z naszego obozu wszystkich inwalidów, przeszło dwieście osób. Zabrali ich do Inty i Uchty. W barakach nie było komu palić w piecach i sprzątać.

Po 3 czerwca ponownie zaczęto forsować oddzielenie baraków, tym razem ośmiu. Nie znaleźmy jeszcze ich przeznaczenia. To samo działo się w Karagandzie. „Ryś” napisał, że tam również wszyscy żyją w niepewności. Na temat ośmiu baraków wysuwano szereg przypuszczeń, a najbardziej fantastyczne rozsiewała władza. Nasz los zależał od tego, jak daleko pójdą zmiany w ZSRR. Czy Nikita się utrzyma, czy też inna osobistość z Kremla zdąży go odsunąć.

W połowie czerwca urządzono w teatrze workuckim naradę racjonalizatorów. Pierwszy raz szedłem przez ulice Workuty. Za nami szło czterech ludzi z ochrony. W dalszym ciągu rozsiewano informacje o przeprowadzaniu segregacji, bez ujawniania jej kryteriów, a jeszcze w czerwcu zaczęły przychodzić z kraju pojedyncze listy na adresy wolnych. Podawano, że Polacy mają wrócić do kraju na podstawie zmian zaszłych w ZSRR i jakiejś umowy zawartej między ZSRR i PRL. Na ten temat brak było jakichkolwiek oficjalnych oświadczeń. Podobno do kraju zaczęli wracać Polacy, którzy bez wyroków zostali wywiezieni w różne rejony ZSRR. Rodacy znajdujący się na zsyłce w Workucie jeszcze nie wracali.

22 czerwca [1955]: „U nas wszystko biegnie starymi, utartymi torami. OŁP* rozdzielili i wszyscy milczą. Jeden barak zmieniają na kuchnię. Przebudowa może potrwać jeszcze miesiąc. Z miasta mam informację o przeprowadzaniu w drugim oddziale rejestracji Polaków. Nie wiadomo, w jakim celu to robią”.

Nasze nadzieje na powrót do ojczyzny rosły. Przypuszczaliśmy, że po zwolnieniu Niemców muszą coś zrobić z setkami tysięcy Polaków. Nadzieje te miały oparcie w sytuacji międzynarodowej.

24 czerwca: „W naszym obozie zwalniali coraz więcej rodaków. W ostatnich czterech dniach zwolniono czterech. Sądzę, że zwolnią Cię na podstawie napisanej skargi. U nas wyznaczono około dwustu osób do obozu o złagodzonej rygorze. Nie ma mnie wśród nich. Wszyscy wyznaczeni chodzą się fotografować. Nie wiadomo, kiedy tam pójdą”.

* Skrót od *Odzielny tagiernyj punkt* (wydzielony punkt obozowy).

30 czerwca: „Podobno mam przejść do obozu o złagodzonej rygorze. Mam się przygotować. Wszystko zależy od naczelnika obozu”.

Wanda Cejko nie otrzymała blankietu Czerwonego Krzyża. Powiedziano, że się jej nie należy, bo jest obywatelką sowiecką. Od tego czasu zwracano dużą uwagę na ten szczegół, umieszczony wbrew naszej woli w aktach sądowych.

Na początku lipca sprawa mojego przeniesienia do obozu o złagodzonej rygorze przedstawiała się tak, że w kwietniu władze obozowe zwróciły się do mnie z propozycją prowadzenia kursu dla spawaczy elektrycznych i gazowych. Początkowo odmawiałem, lecz później, pod naciskiem, zgodziłem się na wykłady i zajęcia praktyczne, które prowadziłem w godzinach 18.00–19.45. W końcu czerwca przyszedł do mnie kierownik kursu z pytaniem, czy chciałbym dostać się do obozu o złagodzonej rygorze. Było to pytanie retoryczne — każdy więzień chciał się tam znaleźć. Po prostu dawał mi do zrozumienia, komu winien będę wdzięczność. Miał ze sobą blankiety. Mógł typować do przeniesienia konkretnych więźniów za zasługi podnoszenia kwalifikacji i szerzenia wiadomości fachowych wśród katorżników. Typowane przez niego osoby nie musiały być zatwierdzone.

Na początku lipca część rodaków otrzymała odpowiedź z Moskwy w sprawie obywatelstwa. Jednym odpowiedziano, że są oni obywatelami sowieckimi, innym, że po wyjściu na wolność mają prawo podjąć sprawę obywatelstwa w miejscowej komendzie milicji. Na moje odwołanie w sprawie bezprawnie nadanego obywatelstwa nadal nie było żadnej odpowiedzi.

8 lipca zwolniono następnych czterech Polaków. Wyszedł za *zonę* nasz biały staruszek — Antoni Kokociński. Wraz z Władysławem Zarzyckim czekali na wyjazd do domu inwalidzkiego w Uchcie. 25 lipca wreszcie ich tam zabrano. Moje akta były natomiast nadal rozpatrywane. 26 lipca zapadła decyzja, że nie ma przeciwwskazań do przeniesienia mnie do obozu o złagodzonej rygorze. W tym samym czasie z kopalni nr 3 do takiego obozu przeszli Paweł Świetlikowski i Olgierd Zarzycki. W *speczasti** tymczasem sporządzono spisy więźniów, którzy odbyli dwie trzecie wyroku. 29 lipca otrzymałem zezwolenie na przebywanie w obozie o złagodzonej rygorze. W tym dniu urwała się moja korespondencja z cegielnią. Jej miejsce zajęły spotkania organizowane przez rodaków z poszczególnych kopalń, a najczęściej przez Polaków zesłanych bez wyroków, przebywających w Workucie bez prawa wyjazdu.

3 sierpnia kobiety z cegielni napisały: „W kopalni nr 9-10 i w kopalni nr 3 już drugi dzień odbywa się rejestracja obcokrajowców”.

Rejestrowali się wszyscy Polacy, a nawet Ukraińcy mający rodziny w Polsce. Całą rzecz prowadził kapitan z miasta. Przeprowadzali ją w pośpiechu. Zaświtała nam nadzieja, że może chodzi o wyjazd Polaków. W naszym obozie nic się jednak nie działo. Rejestrację przeprowadzono tylko w kopalniach nr 3, 9-10 i 32. Wyglądało na to, że wyjazd uda się nielicznym.

* *Specjalnaja czast'* (sekcja specjalna).

Wolnoje posielenije — półwolność

Obozy o złagodzonej rygorze nie były pilnowane przez straż. Przebywający w nich więźniowie żyli na prawach wolnych przywiezionych na przymusową zsyłkę lub wolnych, którzy odbyli swoje wyroki w workuckich obozach, ale nie mieli prawa opuszczenia tych okolic. Różnicą między obiema grupami była wysokość zapłaty za pracę. Nasza wynosiła połowę płacy wolnych, którzy mogli się poruszać po obszarze o promieniu siedmiu kilometrów. To ograniczenie było jednak w praktyce trudne do kontrolowania... Raz w tygodniu musieliśmy meldować się w wartowni macierzystego obozu. Pierwsi wolni Polacy, jak na przykład Weberowie, Galińscy i Żeromscy, przywiezieni z Polski nie wiadomo za co, musieli meldować się częściej.

Otrzymaliśmy prawo zakładania rodzin. *Wolnopoosielenicy* sprowadzali sobie kobiety, których w ZSRR było dużo. Wojna, a następnie więzienia i obozy zabrały masę mężczyzn. Kobiety zatem przyjeżdżały na daleką północ, w nadziei na znalezienie mężów. Mężczyźni woleli jednak żyć bez ślubu i zmieniać partnerki, gdy te już im nie odpowiadały. Tęgo typu pary żyły w różnych pomieszczeniach, często po dwie rodziny w izbie. Zdarzało się, że sprawy życia intymnego stawały się udziałem całego baraku. Nikomu nie przeszkadzał fakt, że działo się to na oczach wszystkich. Nie krępowano się. Bardzo często, w przeszło stuosobowym baraku, udzielano głośnych rad parom oddającym się seksualnym uniesieniom. W baraku, w którym mieszkaliśmy były cztery takie pary. Dwie z nich ulokowały się na górnych pryzkach. Czasami kobiety starały się zasłonić pryzce zwisającym materiałem, który przeważnie spadał w najmniej odpowiednim momencie. Lata obozów zrobiły swoje i większość sowieckich obywateli była przyzwyczajona do tego typu zachowań. Warunki wytworzone przez władzę sowiecką ukształtowały specjalny rodzaj społeczeństwa — żyjącego wyłącznie dniem dzisiejszym i nie widzącego żadnych perspektyw na przyszłość. Wśród tego społeczeństwa znajdowało się dużo jednostek wartościowych, bezradnie obserwujących nienormalne przejawy życia. Szukali jakiegoś kąta w mieście lub w przylegających do niego osiedlach. Pośród zwolnionych znaleźli się również przedstawiciele świata przestępczego, na skutek chodzenie po osiedlach było dość niebezpieczne.

Decyzja o wprowadzeniu obozów o złagodzonej rygorze dała władzy duże korzyści, a życie więźniów zmieniła na lepsze. Półwolni, ci bez prawa wyjazdu nawet po odbyciu wyroków, mieli w przyszłości, gdy obozy zostaną ostatecznie zlikwidowane, stanowić podstawę wolnego społeczeństwa w rejonie Workuty. Jednocześnie pojawiło się nowe pokolenie, którego rodzicami byli więźniowie i zesłani.

Nie obowiązywało nas noszenie odzieży obozowej i każdy ubierał się według własnego gustu. Nie orientując się w obowiązującej na świecie modzie, ubierano się zgodnie z przyzwyczajeniami sprzed dziesięciu, dwudziestu lat. Wyglądało to zabawnie, lecz

przynajmniej nie było monotonii. Życie kulturalne było ubogie. Istniał jeden teatr, który i tak nie spełniał swojego zadania. Silne mrozy i śnieg, a także częste zawieje nie zachęcały do wychodzenia dokądkolwiek. Zabawy często kończyły się bijatyką i łamaniem mebli. Sport można było uprawiać przez nie więcej niż dwa miesiące w roku.

Przejsie do obozu o złagodzonej rygorze pozwoliło nam kontaktować się z rodakami — najczęściej w niedziele i święta. Kontakty te umożliwiały przepływ informacji na temat tego, co dzieje się w innych obozach i w kraju. Wymienialiśmy również między sobą prasę i książki. Obchodziliśmy wszystkie nasze święta narodowe z okresu Polski międzywojennej. Po prostu tkwiliśmy głęboko w wolnej i suwerennej Polsce sprzed 1939 roku. Zapoznawaliśmy się także z okolicami, w których przyszło nam żyć i gdzie zginęło wielu naszych przyjaciół.

Po wyjściu na półwolność wielu z nas kupiło sobie aparaty fotograficzne, by zrobić jak najwięcej zdjęć Workuty, jej okolic oraz tundry, w której koczowali Nieńcy ze swoimi stadami reniferów.

W drugiej połowie lipca, dokładnie rok po wysłaniu pierwszej kartki przez Czerwony Krzyż, otrzymałem odpowiedź z domu, od rodziny. Radość w rodzinie była ogromna. Uważano mnie za zaginionego, sądzono, że nie żyję. Znaleźli się świadkowie, którzy widzieli, jak w 1941 roku Niemcy prowadzili mnie na rozstrzelanie. Tylko matka nigdy nie uwierzyła w moją śmierć. Zmartwychwstałem...

Pracowałem z Ukraińcem ze wschodu, ślusarzem o nazwisku Bowt. Po wyjściu na *wolnoje posielenije* znalazł sobie pokój w Workucie i natychmiast sprowadził do niego kobietę. Strasznie się zmartwił, gdy rozpuszczono pogłoskę, że wszyscy mężczyźni będący kawalerami lub żonaci, ale nie mieszkający ze swoimi żonami, muszą wrócić do baraków w obozie. Poradziłem mu, żeby ożenił się z kobietą, z którą żyje. Stwierdził, że nie może tego zrobić. Opowiedział mi całą swoją historię. W śledztwie, w nadziei otrzymania lżejszego wyroku, podał, że jest żonaty. Teraz nie mógł tego sprostować, gdyż zostałby oskarżony o świadome wprowadzenie władzy w błąd, za co z całą pewnością dostałby dodatkowy wyrok. Sytuacja była bez wyjścia. Wszystko skończyło się jednak pomyslnie, gdyż okazało się, że wszystkie te groźne zmiany były tylko plotkami.

Każdy z nas po wyjściu na półwolność miał lepsze samopoczucie. Nic dziwnego! Dziesięć lat nie widzieliśmy herbaty, kawy, masła, owoców, mleka, mydła, pasty do zębów i prawdziwego chleba... Dziesięć lat! Obecnie można było już wychodzić do miasta Workuty, obserwować nieco inne życie i organizować po części swoje własne. Po dziesięciu latach izolacji każdy z nas wchodził do tego życia, jak do czegoś normalnego, ale zapomnianego. Czulem się, jak człowiek wracający po wielu latach do miejscowości, w której żył, ale w której zaszły wielkie zmiany. Po powrocie wszystko jest inne od tego, co wyciąga się z zakamarków pamięci.

Półwolność była początkiem życia towarzyskiego. Ze względu na pojawienie się w nim kobiet, każdy starał się jak najlepiej wyglądać. Polacy, podobnie jak inne narodowości, trzymali się razem. Od tego czasu porozumiewanie się między obozami nie naręczało już większych trudności. Władze nie były w stanie utrzymywać nas w izolacji.

W tym czasie bardzo trudno było zdobyć cukier. Zastępowano go cukierkami. Wkrótce i ich zabrakło. Kto chciał słodzić herbatę, kupował lody. Lody były przez cały rok, nawet w największe mrozy. Były droższe niż cukierki, ale były. Z materiałami na

ubrania też nie było najlepiej. Wybór był mały i dotyczył cienkich materiałów na lekkie ubrania, które nie nadawały się do warunków polarnych. Największy problem był z koszulami — albo nie było ich wcale, albo nie te numery. Przysyłano je w paczkach z innych republik ZSRR lub były przywożone przez kobiety. Chętnych do zakupu było wielu, bo każdy wychodzący na półwiołość chciał jak najszybciej pozbyć się obozowych łachów. Był to również okres pojawiania się w ZSRR zegarków i aparatów fotograficznych, które produkowano w fabrykach uruchomionych w ZSRR, ale przywiezionych z Niemiec. Upowszechnienie się tych towarów przedstawiało dla Rosjan widoczny dowód rosnącego dobrobytu.

Nasza półwiołość miała i złą stronę. Do wydzielonych baraków trzeba było iść pięć kilometrów. Ta droga była gehenną. Nie chciało się wychodzić z ciepłego pomieszczenia na trzaskający mróz, podczas śnieżycy lub purgi. Podczas drogi cała postać pokrywała się szronem. Wypluta ślina zamarzała, nim upadła na śnieg. Zimny wiatr przenikał do szpiku kości, a my nie mieliśmy kożuchów ani ciepłej bielizny. Czasami pragnąłem, aby śnieg zasypał mnie na zawsze.

Półwiołością cieszyłem się niedługo. Na początku września 1955 udałem się do obozu kobiecego przy cegielni, aby odwiedzić rodaczki i zrobić kilka zdjęć. Pierwszy raz znalazłem się w baraku kobiecym. Barak był podobny do naszego, lecz wyglądał inaczej wewnątrz. Były w nim pozawieszane firanki, zasłony i szereg innych ozdób, które tworzyły wrażenie, że barak nie jest taki obcy i chłodny. Gdy wyszedłem na teren obozu, natknąłem się na patrol ochrony. Miałem pecha, ponieważ właśnie tego dnia uciekli jacyś więźniowie i szukano ich na całym terenie Komi ASRR. Po wylegitymowaniu, zabrano mnie do obozu „Sangorodok”. Przez trzy dni nie dostałem nic do jedzenia. Trzeciego dnia przybył po mnie patrol z obozu przy kopalni nr 1. Konwojenci odgrazali mi się za to, że musieli po mnie tak daleko iść. Znalazłem się z powrotem w obozie strzeżonym. Przy okazji wysłuchałem wiązanki dosadnych i soczystych przekleństw. Zapewniali mnie, że więcej na półwiołość nie wyjdę, ale potrzebujące moich usług kierownictwo kopalni czyniło wszystko, by mnie wypuszczono.

Od momentu ponownego zamknięcia prowadziłem korespondencję z rodaczkami.

14 września 1955: „Przyjechali po mnie dopiero w niedzielę wieczorem, o godzinie 21.00. Zaprowadzili mnie do ogólnej *zony* naszego obozu. Przepustkę odebrali. Mogę spać w dowolnym baraku. Nie mam swoich rzeczy i pościeli, więc śpię na deskach. W niedzielę nałapali bardzo dużo osób. Przypomniałem sobie niemieckie łapanki w czasie wojny”.

16 września: „Określonego miejsca nie mam, gdyż obecnie w ogólnej *zonie* jest takie przepełnienie, że część z nas nie ma gdzie spać. Czasami będę musiał spać na terenie kopalni. Jestem w fatalnym nastroju. Wpływają na to pertraktacje prowadzone w Moskwie w sprawie uwolnienia wszystkich Niemców. Krew człowieka zalewa, bo o nas, walczących najdłużej o swoje istnienie i niepodległość, nikt się nie stara. Polacy nie mają rządu wszystkich Polaków. Nasz naród ma rząd dbający przede wszystkim o interesy swoich mocodawców z Moskwy... Władza sowiecka nie musi zmuszać ich do milczenia, bo te lizusy odgadują w lot ich życzenia. Dlatego właśnie milczą już dziesięć lat o uwięzionych w ZSRR Polakach i nawet uzupełniają ich nowymi, z terenów między Bugiem i Odrą.

Pogodę mamy fatalną. Cała jesień deszczowa i od czasu do czasu mokry śnieg. Czy u was w dalszym ciągu urządzają łapanki? U nas mówią, że bardzo często. Opowiadają, że mają wszystkim zabronić wychodzenia do miasta. [...] Panuje opinia, że mimo wszystko powinniśmy wyjechać do kraju”.

18 września ogłoszono przez obozowy radiowęzeł, że za naruszenie marszruty i wyjazd do obozu kobiecego zostaje ukarany pozbawieniem prawa do przebywania w obozie o złagodzonym rygorze. Cóż miało znaczyć zamknięcie mnie z powrotem tam, gdzie siedziałem dziesięć najgorszych, koszmarnych, głodowych lat! Zaczęłem żałować, że napisałem do domu. Od czasu tego listu matka stale myślała o moim powrocie. Przez dziesięć lat pogodziła się niemal z tym, że nie żyję, choć w głębi duszy łudziła się, że może tkwić gdzieś w głębi ZSRR. Przysporzyłem wszystkim niepotrzebnych kłopotów. Każdy członek mojej rodziny pisał prośby o moje zwolnienie, sądząc, że to może w czymś pomóc. Pisali wszędzie. Łudzili się, że polskie władze uczynią coś w naszej sprawie. Nie wiedzieli, że to właśnie ta władza i partia zgodziły się na pozbawienie obywatelstwa każdego Polaka, którego chciały sądzić władze ZSRR. Uważaliśmy jednak, że to dobrze, że ktoś o nas wie. Gdyby tak nie było, dawno leżelibyśmy w tundrze.

21 września: „Zabrali dziś wszystkich Niemców, a właściwie dali im *otchodnyj* [sygnał], by byli gotowi. Po ostatniej wywózce zostało u nas jeszcze dziesięciu Niemców z dożywotnimi wyrokami. Przed nimi wolność. Wracają do kraju. Czy ktokolwiek mógł przypuszczać coś podobnego? Władze ZSRR wypuszczają Niemców, sądzonych za zbrodnie przeciwko ludzkości, ale twardo trzymają Polaków, którzy pierwsi przeciw Niemcom walczyli. Stale zapominamy o tym, kto pomógł rozpętać Niemcom wojnę w 1939 roku i kto pomagał im do połowy roku 1941. Mamy szansę powrotu do Polski tylko wtedy, gdy pod naciskiem opinii świata [...] w ZSRR zajdą zmiany w kierunku uwolnienia dziesiątek milionów więźniów”.

23 września: „Pomimo wszystko pojedziemy do kraju. Dużo wyjedzie na podstawie amnestii i gdyby nawet nasze władze stwarzały jakieś trudności, to z chwilą wyjścia na wolność na podstawie decyzji władz ZSRR każdy z nas będzie miał prawo starania się o powrót do kraju. Być może zdobędziemy prawo do repatriacji. Wszyscy Polacy odzyskają wolność i wrócą do Polski. Dotyczy to także nas. Pozostaje tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać”.

1 października: „Połowę *zony* zabrali dla zorganizowania osiedla dla zwalnianych. Z tego powodu w *zonie oblegczonnego** jest także przepelnienie. Niektórzy nie mają miejsca do spania. Władz to nie interesuje. Obecnie w *zonie* ogólnej jest więcej miejsc. W tym ustroju nigdy nie wiadomo, gdzie lepiej. W baraku jest chłodno i budzę się od zimna. Cień na nastrój rzuca możliwość wyjazdu. Trochę to dziwne, lecz prawdziwe. Myślałem o innym powrocie. Pomyśl tylko: w każdym państwie rządy usilnie starają się o swoich obywateli i los ich stawiany jest na pierwszym miejscu, nawet gdy jest ich niewiele, jak na przykład szesnastu Amerykanów. A Niemcy! Wracają z radością, bo wiedzą, że czekają na nich nie tylko ich bliscy, lecz również przedstawiciele władz i dziennikarze. Odzyskują wolność dzięki staraniom swoich władz, poczuwających się do odpo-

* *Oblegczonny* — lżejszy.

wiedzialności przed swoim narodem. Taki obrót sprawy upewnia wracających, że są potrzebni. A my? Wracamy z przekonaniem, że zawdzięczamy to innym. Naszym powrotem są zainteresowani tylko najbliżsi i duża część społeczeństwa myśląca inaczej niż rządząca partia. Przez przeszło dziesięć lat nie odczuwaliśmy, że jesteśmy obywatelami wolnego narodu, mającego niepodległość. Dla polskich władz jesteśmy marginesem i nie możemy od nich oczekiwać niczego dobrego.

Czytam z uwagą gazety. O nas milczą. Ustrój ten sam. Przerazająca aprobata na zło i dobro. Brak ścierania się poglądów. U nas jest gorzej, bo dochodzi poczucie bezsilności i niewolniczej uległości względem moskiewskiego opiekuna. Nie znajdziesz żadnej gazety, która nie zgadzałaby się z czymkolwiek. Wrócimy i może niczego nie zmienimy, lecz na pewno nie będziemy kadzić władzy i Moskwie. Będziemy opowiadali o życiu setek tysięcy Polaków więzionych w ZSRR i o dziesiątkach milionów obywateli sowieckich siedzących w obozach. To będzie naszą jedyną satysfakcją. Będziemy w każdym zakątku Polski.

Nastroje u nas są różne. Jedni, i tych jest mniej, nie wierzą w wyjazd, drudzy — wierzą. Ja wierzę. Naszych spraw nie rozpatrują, bo nie ma dokumentów. Amnestia ma nie obejmować punktu 11 — organizacji*. Każdy z nas ma taką kwalifikację. Wasz i nasz obóz mają być zlikwidowane. Pracować będą tylko wolni. Nie podlegający zwolnieniu mają być wywiezieni. Otrzymałem list od Bronka. U nich też wywożą Polaków na podstawie rejestracji, lecz nie wiadomo dokąd. On sam nastawiony jest pesymistycznie, bo w 1948 roku również wywozili niektórych Polaków, a do dziś została ich masa. Teraz może być to samo. Ja jednak sądzę, że rok 1955, to nie 1948. Wówczas była inna sytuacja”.

12 października 1955: „Nasz OŁP do końca roku powinien ulec likwidacji. Dużo przetrzucili do *oblegczonnego*, dużo zwolnili i ci ostatni znajdują się na zsyłce bez prawa wyjazdu. Mój powrót do lżejszego stanął w martwym punkcie. Stara się o mnie kierownictwo kopalni. A w ogóle zauważa się wzrost napięcia. Każdy żyje dniem jutrzejszym, który jest mętny i niejasny. Mam wiadomości z drugiego oddziału, że Polacy powinni wyjechać do kraju do końca stycznia 1956. Z domu pisze brat, że był w MSZ w Warszawie w mojej sprawie. Tam zapewniali go, że jestem nadal obywatelem Polski, lecz mój powrót będzie zależał od ułaskawienia, czyli od Moskwy. Oczywiście! Sprawy polskie załatwia Moskwa. Jestem nie byle kim, bo obywatelem dwóch państw. Brat pisał do Czerwonego Krzyża w Moskwie, lecz nie otrzymał odpowiedzi”.

29 października 1955: „Niektórzy koledzy nadal nastawieni są pesymistycznie. Jednego z nich zwolniono, lecz z powodu braku akt jego sprawy musiał siedzieć dalej. Dziś go zabrano, bo akta wróciły. U nas większość jest już na półwolności. Z warsztatów mechanicznych prawie wszyscy. Mi również obiecują, lecz napotyka to na trudności. Naczelnik OŁP w obecności naczelnika kopalni zapewnił mnie, że jutro wyjdę. Takich «jutro» było już dziesięć”.

2 listopada: „Coraz częściej nachodzą nas uporczywe myśli, że będziemy tu jeszcze długo. Dla naszych władz jesteśmy zbędnym balastem, a w ZSRR nie zmieniło się na ty-

* Chodzi o artykuł 58-11 kodeksu karnego Rosyjskiej FSRR, nie stosowany odrębnie, dotyczący kontrrewolucyjnej działalności organizacyjnej. Zob. Aleksander Gurjanow, *Wykaz artykułów kodeksu karnego i innych podstaw skazania*, w: *Indeks Represjonowanych*, t. 10 cz. 2, Warszawa 2001, s. 43–54.

le, aby nas zwolniono. Wczoraj naczelnik OŁP, major Woronin, obiecał mi — nie wiem po raz który — że dostanę przepustkę do obozu o złagodzonej rygorze. Kopalni na tym zależy, bo mam wykonać projekt wymiany bębna maszyny wyciągowej. Obecnie prowadzą mnie pod konwojem. Dziś otrzymałem przepustkę na półwolność”.

Siaczysty mróz utrudnił komunikowanie się z rodaczkami. Cały grudzień pracowałem w WMZ. Chodziłem do pracy podczas czterdziestostopniowych mrozów. Odmroziłem ręce i uszy, z których zaczęła schodzić skóra. Czesia w tym czasie była we Lwowie i wróciła 23 grudnia. Nie pozwolili jej na pobyt z matką w święta Bożego Narodzenia.

Nie mogąc się spotkać z rodaczkami, 28 grudnia napisałem: „Nie powiem, że mijający rok przyniósł nam fiasko naszych nadziei. Część z nich się zrealizowała. Garstka Polaków wróciła do kraju. Nie wiemy, co przyniesie nam nowy 1956 rok. Mam nadzieję, że będzie rokiem naszego powrotu do Polski. Marzenie jedenastu lat. Otrzymałem z domu [...] opłatek. W domu rodzinnym są to również święta obchodzone ze świadomością, że żyję. Wszyscy są pełni nadziei, że wrócimy”.

Po ponownym wyjściu na półwolność zamieszkałem ze wspomnianym już Ukraińcem Bowtem i jego kobietą. Mieszkaliśmy w jednym pokoju.

W czasie zimy wyjazdy poza Workutę były bardzo utrudnione, bo nigdy nie było wiadomo, czy autobus przyjedzie albo czy pojedzie dalej. Obóz kobiecy przy cegielni bardzo często był odcięty od Workuty. Leżał na uboczu głównej trasy Workuta — szachty (kopalnie). Starano się odśnieżać głównie tę trasę, a dojazd do cegielni był ostatni w kolejce. W grudniu, styczniu i lutym odwiedzanie się było właściwie niemożliwe, za to w październiku, listopadzie, marcu, kwietniu i maju chodziliśmy często po zamrożonym śniegu, aby dostać się do obozu kobiecego. Jedną z takich wędrówek przez tundrę szczególnie utkwiała mi w pamięci. W pierwszych dniach kwietnia 1956 pojechałem autobusem do odległego o sześć kilometrów osiedla nr 2. Mieszkał tam Olek Zarzycki. Miał narzeczoną w obozie kobiecym i namawiał mnie do odwiedzenia rodaczek. Droga była nieprzejezdna, więc postanowiliśmy przejść na skrót przez tundrę. Gdy wychodziliśmy prószył śnieg i lekko wiało. Po jakimś czasie pogoda zaczęła się szybko pogarszać, a wiatr wzrastał się z minuty na minutę. Rozszalała się purga — może nie najsilniejsza, ale wystarczająco niebezpieczna dla dwóch samotnych śmialków. Cały nasz wysiłek koncentrowaliśmy na ochronie rąk i twarzy. Czuliśmy, że powoli zamarzamy. Nacieraliśmy śniegiem policzki i uszy. Mieliśmy duże trudności z utrzymaniem właściwego kierunku, gdyż widoczność spadła niemal do zera. Był moment, że zabrakło nam sił do walki z żywiołem. Kusiło nas, by usiąść i poddać się przyrodzie. Byliśmy wówczas w połowie drogi. Jak to, tyle lat koszmaru, makabry, i właśnie dzisiaj, gdy wyłania się z mroku możliwość powrotu do domu, mamy zostać tutaj, w tej zimnej tundrze?! Jedną osobą zginęłaby na pewno. Gdy nasze rodaczki zobaczyły nas, całych pokrytych śniegiem, zmęczonych i ledwo żywych, były zaszokowane. Nikt rozsądny nie wychodziłby w tundrę w taką pogodę. Cieszyły się, że wszystko zakończyło się szczęśliwie.

W okresie, gdy słońce prawie w ogóle nie zachodziło, niemal wszystkie wolne chwile spędzaliśmy z naszymi rodaczkami. Spotykaliśmy się w tundrze, w dużych grupach. Od maja do października 1956 poznawaliśmy sekrety przyrody. Odcieśliśmy się od innych narodowości i stworzyliśmy sobie wolną Rzeczpospolitą Polską. W tundrze roz-

brzmiewały polskie pieśni, polski hymn. Chociaż mieliśmy różne poglądy na wiele spraw, łączyła nas ocena naszych dwóch sąsiadów. Byliśmy zgodni co do tego, że mamy ograniczoną niepodległość i suwerenność i że w komunistycznym bloku politycznym nigdy nie będziemy się cieszyć pełnią wolności. Spotykaliśmy się w mieszkaniach rodaków przywiezionych do Workuty bez wyroku — najczęściej u Weberów — dyskutując na temat współczesnej Polski.

Polscy księża odprawiali nabożeństwa w niedziele oraz we wszystkie święta państwowe i kościelne z okresu drugiej Rzeczypospolitej. Msze święte odprawiane były przy ołtarzu sporządzonym prowizorycznie, czasami w sposób bardzo pomysłowy, z materiałów przesyłanych w paczkach. Na nabożeństwa schodzili się rodacy z różnych kopalń, pomimo zakazów władz. Miejsca nabożeństw były systematycznie zmieniane. W zasadzie mogliśmy liczyć na solidarność okolicznych mieszkańców, którzy również mieli ograniczoną swobodę poruszania się. Zналиśmy praktyki NKWD i wiedzieliśmy, że władza ma swoje wtyczki w każdym sowieckim środowisku. Bywało, że księża, na przykład ksiądz Józef Kuczyński, mieli kłopoty, ale swoje obowiązki wykonywali zawsze z wielkim poświęceniem. Udzielali ślubów, między innymi w 1956 roku Natalii Odyńskiej z Olkiem Zarzyckim i Czesi Hnatów z Eugeniuszem Cydzikiem. Pod nieobecność księdza katolickiego, ślubu udzielał ksiądz greckokatolicki.

Swoją polskość manifestowaliśmy wszędzie. Dopiero przy bezpośrednich kontaktach przekonaliśmy się, że jest nas w Workucie więcej niż sądziliśmy. Stanowiliśmy siłę, z którą władze w Workucie musiały się liczyć. Nadawaliśmy ton życiu niektórych osiedli workuckich, chętnie przejmowany przez przedstawicieli sowieckiej inteligencji. Kilku rodaków ożeniło się z Rosjankami i wróciło z nimi do Polski.

Latem 1956 przybył do Workuty polski podoficer w mundurze lotnika, podobno w poszukiwaniu brata. Poruszał się swobodnie po workuckich osiedlach i kopalniach, a działało się to w okresie, gdy zdobycie zezwolenia na wyjazd z Polski do ZSRR było bardzo trudne. Zjawienie się w takich okolicznościach polskiego żołnierza dało nam dużo do myślenia. Przyjęliśmy to za dobrą monetę, ale zastanawialiśmy się, czy przypadkiem ten podoficer nie przybył po to, aby wysondować, co myślimy o polskiej nowej władzy. Władza zawsze twierdziła, że ZSRR jest bezinteresownym, jedynym i wypróbowanym przyjacielem narodu polskiego. Nic zatem nie stało na drodze do zwolnienia Polaków z więzień i obozów. Skoro do tego nie dochodziło, to widocznie w kraju były jakieś czynniki, które tego nie chciały...

Zawiedzeni przez władze swojego kraju, doczekaliśmy się konkretnego posunięcia ze strony władz sowieckich. W połowie 1956 roku oficjalnie przyznano, że źle się działo z wymiarem sprawiedliwości w ZSRR, że zginęło wielu niewinnych obywateli i zapadło dużo niesprawiedliwych wyroków. Za zbrodnie, bezpodstawne aresztowania i sądenie obwiniono Stalina i Berię. Podobno tylko te dwie osoby wsadzały do więzień miliony niewinnych ludzi oraz opracowywały fałszywe zeznania, na podstawie których większość z oskarżonych rozstrzelano. Całą winę zrzucano na dwóch nieżyjących przywódców — reszta była oczywiście niewinna. Władze sowieckie nie były zainteresowane wyjaśnianiem zbrodni popełnionych na narodzie polskim, natomiast władze polskie nigdy nie wystąpiły z takimi żądaniem, skutkiem czego wielu z Polaków pozostało w ZSRR na zawsze, tworząc tam chyba największą „ukrytą” Polonię na świecie.

W tym okresie utworzono w Moskwie komitet do spraw rewizji procesów, który miał dokonać naprawy błędów systemu. Przeprowadzała ją ta sama partia, która naprawianych błędów się dopuściła, więc po całym tym zamieszaniu spodziewaliśmy się tylko nowych niesprawiedliwości. Do obozów zaczęły przyjeżdżać komisje. Rewizje procesów odbywały się bez obrońców, bez przesłuchania świadków, a obwinionemu dawano około dziesięciu minut na złożenie wyjaśnień. Załatwienie mojej sprawy trwało dwanaście minut — zamieniono mi dwadzieścia lat katorgi na piętnaście lat obozu. Czesi, która w konspiracji była moją podwładną i wykonywała moje polecenia, ta sama komisja pozostawiła wyrok bez zmian. Większości więźniów zamieniono wyroki na tyle lat, ile już odsiedzieli, bez względu na to, na ile lat opiewał poprzedni wyrok i bez względu na rzekome przewinienia. Sowieckiej sprawiedliwości obce było pojęcie naprawiania krzywd i zadośćuczynienia niewinnie osądzonym. Gdyby Stalin zmarł dziesięć lat wcześniej, siedzielibyśmy dziesięć lat krócej. A gdyby zmarł dziesięć lat później?

Wszyscy zwolnieni Polacy nie mieli prawa wyjazdu z Workuty. Zezwolono nam na staranie się o prawo powrotu do kraju. Prawa tego zostali pozbawieni ci rodacy, którzy w śledztwie podali inną narodowość. Niektórzy czynili tak po to, aby otrzymać lżejszy wyrok, gdyż generalnie uważano, że najcięższe wyroki dostają obywatele polscy.

Hanka otrzymała wolność 9 września 1956. Planowaliśmy wspólny wyjazd do Polski, lecz zmiana mojego wyroku na piętnaście lat pokrzyżowała te plany.

Ludzie, którzy znaleźli się na wolności, rozpoczęli starania o zezwolenie na wyjazd. W tej kwestii nie było żadnych ustaleń między Moskwą a Warszawą. Z powodu braku porozumień między polskim a sowieckim rządem władze workuckie działały tak, aby osiągnąć jak najwięcej korzyści. Stwarzały trudności przy przyjmowaniu dokumentów przysyłanych przez rodziny z Polski. Najczęściej, w nadziei otrzymania łapówki, twierdziły, że papiery nie są kompletne. W ten sposób władze pozyskiwały od wszystkich mniejsze lub większe kwoty. Wiedziały, że każda Polka i każdy Polak uczynią wszystko, by wyjechać z tego przekłętego kraju. Zdarzało się, że gdy dokumenty przychodziły z Syktywkaru, stolicy Komi ASRR, zainteresowane osoby nie mogły ich otrzymać, dopóki nie uiściły odpowiedniej wpłaty.

W Polsce popaździernikowej, po dojściu do władzy Gomułki, uchylono rąbek tajemnicy. Okazało się, że to nie partia i rząd miały rację, lecz miliony Polaków, którzy uważali, że ich ojczyzna za sowiecką pomoc w postaci przestarzałych maszyn musi płacić więcej niż za nowoczesne konstrukcje na rynkach światowych. Okazało się, że Polska musi za bezcen dostarczać do ZSRR węgiel. Ujawniono również i to, że setki tysięcy Polaków jest bezprawnie przetrzymywanych w Sowietach. Partia wspaniałomyślnie zgodziła się na ich powrót do kraju.

Bacnie śledziliśmy to, co działo się w Polsce w październiku i po październiku 1956. Zdania, co do wpływu tych wydarzeń na nasze dalsze losy były podzielone. Jedni uważali, że październik opóźni nasz powrót, inni, do których się zaliczałem, że przyspieszy. Byliśmy zgodni co do jednego: ważniejszy jest los całej Polski niż nasz.

Na razie mogliśmy zwracać się do naszej ambasady w Moskwie o zezwolenie na powrót do kraju, czyli o dostarczenie tak zwanego listu gwarancyjnego. Ludzie z ambasady nie interesowali się nami przez jedenaście lat, nie liczyliśmy więc na to, że nagle we-

zmą sobie nasz los do serca. Pisałem do ambasady dwukrotnie, opisując dokładnie, punkt po punkcie, swoją historię. W odpowiedzi otrzymałem pismo z pytaniem o dane zawarte w moim liście. Takie postępowanie w stosunku do ludzi, którzy czekali na powrót do kraju jedenaście lat mogło wywołać tylko oburzenie. Są dowody na to, aby twierdzić, że nasz los był obojętny władzom polskim. Dużo smutniejszy jednak był dla nas fakt, że nie orientowano się nawet, ilu Polaków siedzi w ZSRR. Z upływem lat partia zapomniiała o tych obywatelach polskich, którym przypisywano „kontrewolucję”. Nie figurowaliśmy jako żywi w żadnych zestawieniach.

Skorzystałem z prawa pisania do niedostępnej do tej pory ambasady PRL i 20 października 1956 napisałem następujący list:

Od Bernarda Grzywacza
odbywającego wyrok w workuckich obozach pracy
pod nazwiskiem Orłowski Mieczysław,
vel Górski Albert, syn Józefa,
obecnie zamieszkały:
Workuta, ul[ica] Szachtniaja 10/11

Do Kierownika
Wydziału Konsularnego
Ambasady Polskiej Rzeczypospolitej
w Moskwie

Prośba

Niniejszym zwracam się do Ambasady Polskiej Rzeczypospolitej z prośbą o ułatwienie mi otrzymania dokumentów obywatela polskiego. Przyczyna mojej prośby jest następująca: Urodziłem się w 1911 roku w Zalesiu, gmina Okiersk, powiat Tuchola, województwo pomorskie (obecnie bydgoskie). Gimnazjum ukończyłem w Tczewie, a Politechnikę w Warszawie. W czasie okupacji hitlerowskiej mieszkałem w Lublinie (1940, 1941, 1942) i w Warszawie (1943) pod nazwiskami Albert Górski i Mieczysław Orłowski. W końcu 1943 roku otrzymałem polecenie od swoich władz konspiracyjnych udania się do Lwowa. Tam, 3 marca 1945, aresztowała mnie *kontrrazwiedka* Armii Czerwonej. Pomimo że nigdy nie miałem obywatelstwa ZSRR, sądzono mnie jako obywatela tego kraju. Uważam, że okupacja Polski przez armię hitlerowską nie pozbawiła narodu polskiego jego [...] obywatelstwa, a więc nie mogłem go utracić na rzecz drugiego państwa. Nigdy nie zrzekałem się swego polskiego obywatelstwa i przeciw tak jawnej niesprawiedliwości wniosłem protest do sowieckiego MSW. Dwukrotne zwracanie się w tej sprawie do resortu pozostało bez odpowiedzi.

W pierwszych dniach stycznia 1957 kończę odbywanie kary. Zwracam się z prośbą do Ambasady Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej o interwencję w sprawie mojego obywatelstwa, abym mógł otrzymać w chwili zwolnienia dokumenty obywatela polskiego, a nie obywatela ZSRR. Posiadam wezwanie z kraju, gdzie zamieszkuje matka, cztery siostry i sześciu braci. Proszę nie odmawiać mojej prośbie i tym samym przyspieszyć mój powrót do kraju.

16 listopada z ambasady otrzymałem następującą odpowiedź:

Ambasada PRL w Moskwie,
Pełnomocnik Rządu
ds. Repatriacji Polaków z ZSRR

Do: Obywatel Grzywacz Franciszek

W związku z pismem obywatela z 20 października 1956 proszę o dodatkowe nadesłanie następujących wyjaśnień:

1. Jakie obywatelstwo posiadaliście do dnia 17 września 1939 i jakiej jesteście narodowości?
2. Jacy członkowie rodziny zamierzają z Wami wyjechać do kraju (imiona i nazwiska, daty i miejsca urodzenia)?
3. Czy i jakich posiadacie krewnych w Polsce i w ZSRR oraz gdzie mieszkają (dokładny adres)?
4. Z jakich przyczyn nie repatriowaliście się do kraju w latach 1945–47?

Jakie reakcje może wywołać takie potraktowanie sprawy? Co mogłem zrobić? Pisać do skutku lub machnąć na wszystko ręką. Wybrałem to pierwsze rozwiązanie i 7 grudnia napisałem drugą prośbę.

Do Pełnomocnika Rządu ds.
Repatriacji Polaków w ZSRR w Moskwie

Prośba

Zwracam się ponownie do Pana, jako Pełnomocnika Rządu do spraw Repatriacji Polaków z ZSRR, z prośbą o interwencję u odpowiednich władz ZSRR w sprawie mojego obywatelstwa. Na pierwszą moją prośbę otrzymałem odpowiedź, która mnie zaskoczyła. [...] Jestem Polakiem i stale byłem obywatelem Polski do dnia aresztowania 3 marca 1945. Dziś również uważam się za obywatela Polski. Nie tylko ja, lecz również nikt z mojej rodziny nie posiadał nigdy obywatelstwa ZSRR. Mimo to byłem sądzony jako obywatel ZSRR. Osoby wyjeżdżające do kraju poinformowały mnie, że ci, którzy mają niedużo do zakończenia wyroku, mogą składać dokumenty i starać się o wyjazd [...]. Udałem się do tutejszego urzędu milicji i przedstawiłem swą sprawę, a mianowicie, że mój wyrok kończy się w pierwszych dniach stycznia 1957 i proszę o zarejestrowanie mnie na wyjazd do Polski. Urzędnik milicji zawiadomił mnie, że mogę zrobić to natychmiast po zwolnieniu, gdy otrzymam paszport. Wiadomo, jaki dają nam paszport — paszport obywatela ZSRR. Aby wyjechać do Polski, zachodzi zatem konieczność przyjęcia obywatelstwa ZSRR [...]. W jakim celu się to robi? Zwróciłem się do poselstwa PRL z prośbą o interwencję w tej sprawie. Dziś tę prośbę powtarzam. Nie chcę być obywatelem ZSRR i nie chcę przyjmować obywatelstwa tego kraju. Uważam to za naruszenie prawa, bo tylko rząd polski może mnie pozbawić obywatelstwa polskiego.

Proszę o interwencję w tej sprawie i poinformowanie mnie, co należy czynić, by nie przyjmować paszportu obywatela ZSRR i mimo to w niedalekiej przyszłości wrócić do Polski. [...]

Na ten list nigdy nie otrzymałem odpowiedzi.

Po otrzymaniu dokumentów uprawniających do wyjazdu pojawiał się problem zdobycia biletów kolejowych. Trzeba było po nie stać kilka dni w kolejce. Każdy musiał odnotować się osobiście dwa razy dziennie — rano i w południe.

Wszystkich szczęśliwców wyjeżdżających do kraju odprowadzaliśmy z honorami na dworzec workucki, ciesząc się z ich szczęścia i żałując, że nie dane jest nam jechać z nimi. W połowie listopada 1956 odprowadzaliśmy na dworzec cztery „Pięcioraczki” i wielu kolegów.

W końcu września, razem z Czesią napisaliśmy skargę do prokuratora generalnego, uważając decyzję komisji rewizyjnej o pozostawieniu jej wyroku bez zmian za co najmniej niesprawiedliwą i krzywdzącą.

Tymczasem czas leciał. Starzeliśmy się. 24 listopada cztery „Pięcioraczki”, w tym Hanka, były już w kraju. Z członków KASK-u zostało nas już tylko dwóch — Paweł Świetlikowski i ja. Zacząłem prowadzić intensywną korespondencję z Hanką, informując ją o wszystkim, co działo się w Workucie, a głównie o perspektywach mojego powrotu.

1 grudnia 1956: „Mój powrót nie zależy ode mnie. Do dziś nie złożyłem żadnych dokumentów. Miałem trudności z podpisaniem charakterystyki. Nikt nie chciał zaświadczyć autentyczności fotografii przedstawiającej moją osobę. Boją się. [...] Byłem w tej sprawie na milicji, lecz czterokrotnie nie zastałem tam tego typu, Pimanowa. Jest umowa polsko-sowiecka, lecz na nią nikt nie liczy. Po uważnym przeczytaniu doszedłem do wniosku, że nie będę z niej korzystał. Jest zbyt biurokratyczna. Wcześniej zwołnię się i wyjadę do kraju drogą, którą wszyscy obecnie wracają. Muszę odbyć wyrok do końca”.

8 grudnia: „Byłem u Pimanowa. Chciałem zarejestrować się na wyjazd. Odpowiedział odmownie, a nawet gorzej, bo zaznaczył, że jeżeli jestem wolny, to przyszedłem za późno, a jeżeli jestem jeszcze w obozie, to mam czas. Bez paszportu nie ma sensu składać żadnych dokumentów. Natychmiast napisałem do poselstwa w Moskwie. Zdaje mi się, że władze PRL w Moskwie nie spieszą się i nie czytają naszych prośb, składając je do teczek”.

10 grudnia: „U nas bez zmian. Rosjanie pytają, dlaczego nie wyjeżdżamy i kiedy pojedziemy wszyscy do tej naszej *Polszy*. Mówią, że *Giermańcy* lepiej starali się o swoich więźniów z ZSRR”.

31 grudnia: „Otrzymałem list gwarancyjny od poselstwa. Zawiadamiają, że w mojej sprawie podjęto starania o przedterminowe zwolnienie z obozu, względnie o przekazanie władzom polskim. Wynika z tego, że nie chodzi o Polaków jako całość, lecz o każdego pojedynczo. Jest to sprawa na lata. Przez dwanaście lat władze polskie niczego nie zrobiły, by postarać się o wykaz Polaków przetrzymywanych w więzieniach i w obozach ZSRR. Dochodzą wiadomości, że nasze władze po otrzymaniu kogoś z nie skończonym wyrokiem pakują go w Polsce do więzienia. Tak zrobili z Ciskiem, Bauerem, Kożuchowskim i innymi. [...] Czy mogliśmy to przewidzieć? Na razie nie ma żadnych oznak jakiegokolwiek działania ze strony władz PRL. W dalszym ciągu utrzymuję, że wcześniej zwołnią mnie władze ZSRR na podstawie odbycia wyroku. Byłem wczoraj na milicji. Powiedziano mi, że gdy tylko będę miał *sprawkę* [zaświadczenie] o zwolnieniu, mam ją przynieść, nawet bez paszportu. W OŁP zawiadomiono mnie, że zdejną mi *zaczoty* za

pół roku, bo nieprawidłowo mi je naliczyli. Prawdziwy powód jest inny — nieuczęszczanie na uświadamianie polityczne”.

5 stycznia 1957: „Zaszyły zmiany w *zaczotach*. Wszystkim z mojej brygady zdejmują połowę. W mieszkaniu bardzo zimno, gdyż od kilku dni nie grzeją z powodu braku węgla. Aż wierzyć się nie chce, że w zagłębiu węglowym zabrakło węgla. U Czesi też jest zimno. Gdyby to nie było centralne ogrzewanie, można by było przynieść węgiel z kopalni. Wyjechał Bolek Nowik. W dzień jego wyjazdu szalała purga, którą odprowadzający dotkliwie odczuli. Wszystkie autobusy ugrzęzły i zostały zasypane. Będę siedział jeszcze tylko miesiąc [...]”.

13 stycznia: „W nowym roku mamy szczęście, bo mróz waha się od piętnastu do trzydziestu pięciu stopni. Jak na te okolice jest wyjątkowo ciepło. Brak jakichkolwiek oznak realizacji umowy polsko-sowieckiej odnośnie Polaków więzionych w ZSRR”.

16 stycznia: „Dziś panuje purga. Ruch autobusowy wstrzymany. Przedzieranie się pieszo jest prawdziwym piekłem. Purga naniósł więcej śniegu niż napadało przez całą zimę. Odnośnie wyjazdu Polaków — nikt niczego nie wie. Jest to charakterystyczna cecha tego ustroju. Muszę zmienić mieszkanie, bo ze starego nas wyrzucają”.

23 stycznia: „Wszyscy czekają na coś, co może zmienić nasze położenie, lecz nadaremnie. W nowym roku władze sowieckie przyjęły dokumenty od niektórych Polaków ubiegających się o wyjazd do Polski. Ruscy dziwią się, że Polacy muszą mieć tyle dokumentów, a Niemcy nie potrzebowali żadnych. Wszystko za nich załatwiały władze niemieckie”.

26 stycznia: „Panują niewielkie mrozy, bo tylko do trzydziestu stopni. Ostatnie dwa dni wiał wiatr północny, a wiesz, co to znaczy. Zdjęli mi 175 dni *zaczotów*. Zwolnię się więc najpóźniej w pierwszych dniach kwietnia, a najwcześniej w pierwszych dniach marca”.

30 stycznia: „Otrzymałem list od Bronka Szeremety z Karagandy. Píše, że od 4 grudnia 1956 znajduje się w Poćmie. Czytałem artykuł w «*Życiu Warszawy*» o tych, co wrócą i o tych, co zostaną (z 7 stycznia 1957). List Bronka i ten artykuł wcale nas nie pocieszyły. Nasze władze dopiero będą rozmawiać i zastanawiać się nad sposobami przeprowadzenia repatriacji. Mają czas, a nasze życie ucieka. Gdyby powrót Polaków z obozów niemieckich zależał wyłącznie od władz polskich, długo musieliby czekać na powrót do swoich rodzin. Niemcy i inni zdążyli już zapomnieć, jak to zrobili, że ich obywatele wrócili do kraju, a Polacy nadal czekają. Sądzę, że najlepiej byłoby, gdyby nam nie pomagali, ale i nie przeszkadzali w powrocie”.

2 lutego: „Mrozy trzymają się w granicach trzydziestu stopni. Nadal jest ciepło. Mam «*Życie Warszawy*» z 9 stycznia. Piszą w nim, że polska komisja ma się zebrać i pojechać do Moskwy, by tam podpisać warunki repatriacji. Nasze władze łatwo oddawały ziemie wraz z mieszkającymi tam Polakami. Bez jednego słowa sprzeciwu. Teraz są w wielkim kłopotcie, co z nami zrobić”.

20 lutego: „Stopniowo wszyscy czekający na repatriację wracają do rzeczywistości. Rozwiały się nadzieje na szybkie załatwienie sprawy Polaków w ZSRR. Gdyby ci panowie z Warszawy wiedzieli, co o nich myślimy...”.

26 lutego: „Artykuł z «*Po Prostu*» podaje, że polski naród jest w stanie przyjąć w 1957 roku do 120 tysięcy repatriantów. A to heca! Znalaziono problem numer jeden

po dwunastu latach od zakończenia wojny i po tylu latach naszego siedzenia w więzieniach i w obozach. Jak można w ogóle pisać coś podobnego?! Przy każdej innej władzy nie byłoby problemu z przyjęciem wszystkich Polaków jeszcze w 1945 roku, ale partia komunistyczna nie może ich przyjąć, więc niech siedzą dalej”.

2 marca: „Umową nikt się nie zajmuje. Nawet prasa zamilkła. O październiku dawno zapomniano i machina partyjna, ku zadowoleniu Moskwy, wróciła na swoje dawne tory o nieco może łagodniejszym kursie wewnętrznym. Głośno wychwalano powrót polskiej partii na łono komunizmu, gotowe przyjąć cały świat, jeżeli ten okaże tylko skruczę i będzie myślał po sowiecku, mając na uwadze tylko sowiecką rację stanu”.

20 marca: „Jestem wolny. Nie przyjąłem sowieckiego dowodu osobistego. Złożyłem dokumenty na wyjazd do Polski. Stale panują mrozy i zimny północny wiatr, który zwiększa mróz do pięćdziesięciu stopni. Trwa to już dwadzieścia dni i ludzie podmrażali sobie nosy, uszy i policzki”.

30 marca: „Zwolnili z pracy Czesię, bo z jej przeszłością nie wolno pracować w biurach projektowych. Zwolnili wszystkich z podobną przeszłością. Ma kłopoty ze znalezieniem nowego miejsca pracy. Zaczęli ponownie rejestrować takie osoby, jak Czesia, które nieprędko skończą wyrok. Nie rozumiemy dużo z tego, co działo się w kraju, ale przede wszystkim nie rozumiemy dziennikarzy i korespondentów. Dla nich sprawy Polaków, gdziekolwiek by nie byli, powinny być ważne. Wszyscy wracający Polacy byli ofiarami wojny i polityki partii. Czyżby do tego stopnia sprawy obywateli polskich w ZSRR były im obce, że nikt nie zainteresował się losem wracających — tym, ilu nas tam było, ilu jeszcze nie może wrócić, ilu i kto zginął? Nie są nam obojętne krzywdy wyrządzane innym narodom przez różne władze, ale sami nie potrafimy zadbać o interesy swoich pełnoprawnych obywateli — setek tysięcy obywateli. Nie kult jednostki winien, lecz brak odpowiedzialności i tchórzostwo. Niemcy chętnie obwiniliby Hitlera za spowodowanie wojny, lecz wszyscy wiemy, że żaden naród nie jest stadem baranów idących ślepo za swoim pasterzem”.

W Workucie również chciano wyrzucić zemstę na martwym. W mieście, tuż obok siedziby milicji stał pomnik Stalina. Gdy rozeszła się wiadomość, że wszystkiemu jest winny towarzysz Stalin w narodzie zaczął narastać gniew i pragnienie zniszczenia symboli jego kultu. Pod pomnikiem zebrał się tłum wolnych obywateli ZSRR. Nowy kult podpowiadał, że poprzedni był złym kultem... Znalazły się, nie wiadomo skąd, liny. Zarzucano je na pomnik i zgodnie, po sowiecku — *raz, dwa družno, podat' nužno, hop!* — ciągnęli. Ale pomnik zrobiony był nie z byle czego. Stał nadal i urągał wszystkim ciągnącym. Milicja udawała, że nic nie widzi. Funkcjonariusze obserwowali całą akcję z ukrycia, zza zasłoniętych okien. Nikt nie chciał się oficjalnie mieszać — a nuż jutro przyjdą nowe dyspozycje i władze odwołają swoje poprzednie zarządzenia? Nie było przecież polecenia likwidacji pomników Stalina... Ciągący wściekali się na upór nieboszczyka. Ktoś z tłumu krzyknął: „*Dawaj Stalina!*”. Sprowadzono spychacz, przyczepiono do niego linę, jej drugi koniec założono na szyć posągu i pociągnięto — oderwała się tylko głowa. Tłum dokonał dzieła zniszczenia i się rozszedł. Niejeden, po opadnięciu emocji, zastanawiał się nad możliwymi skutkami tego czynu. W 1941 roku, w czasie panicznego wycofywania się Armii Czerwonej, ściągano gdzieś tam pomniki Lenina. Ze mną siedzieli dwaj Rosjanie, którzy za taki czyn dostali po dwadzieścia lat.

Po kilku dniach przechodziłem obok pomnika i nie wierzyłem własnym oczom. Posąg Stalina był cały, doprawiono mu głowę. Dopiero z bliska można było zobaczyć świeży spaw. Władze wołały nie ryzykować. Nie były pewne, co przyniesie dzień jutrzejszy.

Odzyskania wolności o mało nie przypłaciłem życiem. Wracalem, po złożeniu dokumentów na milicji, wzdłuż torów kolejowych. Była to najlepsza droga. Myśli błądziły daleko, w rodzinnych stronach, byłem tak pograżony w zadumie, że nie usłyszałem sygnałów parowozu. Uniknąłem śmierci tylko dlatego, że musiałem już zejść z torów na ścieżkę wiodącą do kopalni. Lokomotywa zdołała mnie jedynie potrącić i przewrócić. W ułamku sekundy wróciłem do przytomności. Byłoby to ironią losu, przeżyć cały ten potworny obóz i zginąć w tak głupi sposób.

Władze zdawały sobie sprawę, że gdy część zwolnionych z prawem wyjazdu opuści Workutę — a żadna siła ich od tego nie powstrzyma — o nowych pracowników będzie trudno. Kopalnie organizowały kursy na operatorów różnych maszyn. Na te stanowiska werbowano kobiety, oferując im podwójne zarobki. Dla jednej z takich kobiecych grup, liczącej dwadzieścia pięć osób, wykładałem podstawy materiałoznawstwa i najważniejsze wiadomości o wyciągarkach. Po zdanym w maju egzaminie tylko 20 procent podjęło pracę. Kilka wróciło w swoje rodzinne strony. Były z różnych republik, ale większość z Ukrainy. Na północy siedziało bardzo dużo Ukraińców. Mieli najmniejsze szanse powrotu do domu po odzyskaniu wolności.

W kwietniu ambasada PRL w Moskwie przysłała Polakom w Workucie wskazówki dla ubiegających się o powrót do kraju. Zaczęliśmy je uważnie czytać. Z pisma wynikało, że po aresztowaniu przez NKWD lub gestapo, powinniśmy byli poprosić aresztujących nas, by byli tak uprzejmi zostawić nam dokumenty, gdyż w przyszłości polskie władze będą ich potrzebować jako dowodu naszego polskiego obywatelstwa. Kim byli autorzy wskazówek przesłanych nam przez ambasadę PRL? Najciekawszy był jednak proponowany tok ewentualnego odwołania. Gdyby nie powiodły się starania u władz sowieckich o wyjazd, mieliśmy przysłać do ambasady odpis potrzebnych dokumentów... Nadzieja, że to właśnie z ambasady dostaniemy papiery wymagane przez władze sowieckie okazała się z naszej strony wielką naiwnością. Otrzymane wskazówki wyjaśniły, że ambasada PRL w Moskwie nie przysłała nam najbardziej potrzebnego dokumentu, zastępującego wszystkie inne — listu gwarancyjnego.

Po otrzymaniu tych wskazówek 20 kwietnia 1957 napisałem do Hanki: „Polacy otrzymują z poselstwa PRL z Moskwy wiadomość, że dopiero po sześciu miesiącach od złożenia dokumentów w komendzie milicji w Workucie można zwrócić się do władz polskich. Zaznaczają, że repatriacja przeciąga się, gdyż w kraju nie ma warunków na jej szybkie przeprowadzenie. Faktem jest, że osoby składające dokumenty bez wezwania lub listu gwarancyjnego z poselstwa, otrzymują ponowne zawiadomienie, że mają je złożyć”.

30 kwietnia: „Pogoda w kratkę. Mróz, śnieg i śnieg z deszczem. Temperatura od piętnastu stopni mrozu do zera. Kilka osób złożyło dokumenty na wyjazd, bez listu gwarancyjnego. Po niemal dwóch miesiącach zawiadomiono ich, że trzeba złożyć dokument potwierdzający polskie obywatelstwo. Napisali do poselstwa w Moskwie, skąd odpisano, że listów gwarancyjnych się już nie wystawia. Muszą pisać do kraju i czekać. Oddała to nasz powrót. Wygląda na to, że władzom właśnie o to chodzi. Czesia obecnie pracuje w fotografii”.

20 maja: „Dziś wszystko pokryte jest śniegiem. Jest nas jeszcze sporo, lecz nie na tyle dużo byśmy mogli stanowić problem dla 27-milionowego narodu. Z naszego poselstwa piszą, że w pierwszej kolejności wrócą ci, którzy mają się gdzie zatrzymać. Wiemy, że każdy ma taką możliwość — u rodziny, u przyjaciół. Niemniej skutecznie wydłuża to czas oczekiwania na pozwolenie wyjazdu. Władzom najwyraźniej zależy, by niepewny element wracał stopniowo w przeciagu kilku lat. Są inne jeszcze przyczyny, chociażby troska o sowiecką gospodarkę. Wyjazd Polaków z ZSRR oznacza setki tysięcy wolnych miejsc pracy w kopalniach i innych gałęziach sowieckiego przemysłu”.

Tymczasem odbył się proces kapitana milicji Pimanowa, oskarżonego o branie łapówek od wyjeżdżających Polaków. Otrzymał wyrok dwudziestu lat, ale podobno nie za branie łapówek, lecz za okrycie hańbą całego państwa sowieckiego.

Coraz więcej więźniów otrzymywało wolność z prawem wyjazdu, z którego wszyscy korzystali. Gdy 9 marca odzyskałem wolność, przyszli do mnie partyjni namawiać do pozostania. Obiecywali dobre warunki i mieszkanie. Odchodził ostatni fizyczny pracownik, pracujący jako konstruktor. Kopalnie nie miały etatów konstruktorów, choć tacy byli potrzebni. Poza tym znałem całą kopalnię i jej potrzeby. Moje rozbawienie wystarczyło za odpowiedź. Powiedzieli mi, że jeżeli warunki w Polsce nie będą mi odpowiadały, mogę wrócić. Zapewniali, że nie będę żałował. Nie mogłem się powstrzymać. Powiedziałem, że nigdy nie wrócę dobrowolnie do ZSRR. Nie sądzę, by mnie zrozumieli.

Miałem wśród Rosjan wielu przyjaciół, którzy myśleli realnie. Ci właśnie dawali mi do zrozumienia, że chcieliby być na moim miejscu. Wiedzieli, że jestem szczęśliwy na samą myśl o opuszczeniu tego kraju. Nie ukrywali przede mną swoich prawdziwych sądów na temat sowieckiej rzeczywistości. W szczerych opiniach fachowców rosyjskich wyczuwałem troskę o lepszą przyszłość dla sowieckiego górnictwa i narodów żyjących w granicach imperium. Mówili: „*Gdy wrócisz, będziesz mógł porównać, o ile wyższa jest u was kultura pracy, mimo że ustrój ten sam*”.

Wspomniałem wcześniej o nienawiści Rosjan do Żydów i o tym, że nie wymawiam dobrze „r”. Z tego powodu sowieccy szowiniści uważali mnie za polskiego *Jewrieja*, a że wśród więźniów i wolnych było wielu nie lubiących Żydów, często miałem przykrości. W okresie półwolności wysyłano mnie w interesach kopalni do Worskuckiej Fabryki Budowy Maszyn. Kilka miesięcy byłem jej pracownikiem. Wykonywałem dokumentację dla szybkiej wymiany bębna maszyny wyciągowej. Część kierownictwa fabryki, szczególnie w biurze konstrukcyjnym i technologicznym, była narodowości żydowskiej. W sprawach ważnych i pilnych władze kopalni wysyłały mnie do fabryki w nadziei, że szybciej wszystko załatwię dzięki mojemu charakterystycznemu „r”. I nie mylili się. Władze fabryki szły mi na rękę i spełniały wszystkie życzenia kopalni w terminach dla niej najwygodniejszych. Może uważali mnie za swojego, ale wątpię. Raczej widzieli we mnie osobę znającą się na urządzeniach kopalni, orientującą się w jej potrzebach i w możliwościach wykonania poszczególnych elementów, których realizację należało na miejscu uzgadniać z technologiem. Bawiła mnie ta sztuczna sytuacja. Z jednej strony niechęć sowieckich szowinistów, z drugiej wykorzystywanie wrodzonej wady wymowy dla swoich interesów. A bazowało to na sympatii kierownictwa fabryki do człowieka zupełnie obcego, któremu po prostu wierzyli.

Często chodziłem na posterunek milicji dowiadywać się, czy nadeszły dokumenty na wyjazd. Mijały tygodnie, a dokumenty nie przychodziły. W tym czasie zmieniłem mieszkanie. Zamieszkałem ze wspomnianym już Ukraińcem, który po zwolnieniu z obozu sprowadził swoją sympatię i ożenił się. Mieszkał w domku jednorodzinny, w którym w każdym pokoju, z kimś z obozowej niedoli nie posiadającym swojego kąta, gnieździła się jedna rodzina. Pokoje były na tyle duże, że można było wstawić dodatkowe łóżko.

Na podstawie moich prywatnych kontaktów z wolnymi Rosjanami i obserwacji sowieckich obywateli w obozach, uważam, że w tych narodach pozostała jednak część dawnych cech, chociażby dobroduszość, która ujawniała się w chwilach, gdy przestawała działać zasada: wszystko dla państwa, nic dla jednostki.

Niepokoił mnie przedłużający się czas załatwiania dokumentów na wyjazd do Polski. Nikt tak długo nie musiał czekać. Minął marzec i kwiecień, kończył się maj — żadnego postępu. Beztrioskie podejście workuckiej milicji do sprawy naszego powrotu, dla nas najważniejszej, przy braku interwencji z Warszawy, zmusiło mnie do zwrócenia się o pomoc do Syktywkaru. Na pierwszy telefon otrzymałem odpowiedź, że wyczerpujące informacje mogę otrzymać następnego dnia. Drugiego dnia, 28 maja 1957, oświadczone mi, że zezwolenie na mój wyjazd wyszło już w pierwszych dniach maja.

29 maja: „Jak się okazało, moja wiza już od dziesięciu dni leży w workuckiej komendzie milicji. Chodziłem do nich codziennie i zawsze otrzymywałem tę samą odpowiedź — *niet*. Po otrzymaniu informacji z Syktywkaru udałem się bezpośrednio z poczty do siedziby milicji. Tam odpowiedziano mi jak zwykle. Dopiero gdy powiedziałem o swojej rozmowie z władzami w Syktywkarze, zaczęli szukać i bez większego trudu znaleźli moje papiery. Oto dlaczego mój wyjazd do Polski się odwlekał. U nas stale pada śnieg. Sprawy innych Polaków zabrano do Moskwy. Muszą czekać, co przyniesie przyszłość. Zapisałem się do kolejki po bilet. Trzeba czekać minimum piętnaście dni i dwa razy dziennie chodzić potwierdzać się na liście kolejkowej. Nieobecnych natychmiast wykreślają”.

W przyspieszonym tempie rozpocząłem załatwianie spraw związanych z pracą w kopalni. Jej władze wiedziały, że nie ma takiej siły, która zatrzymałaby mnie w Workucie dłużej niż wymagać tego będą starania o dokumenty na wyjazd. Nie udało się zatrzymać nikogo ze zwolnionych z prawem wyjazdu.

Do przykrych obowiązków osób opuszczających Workutę należała wizyta u politruka. Partia uważała, że należy udzielić Polakom wracającym do kraju ideowych pouczeń. Podczas rozmowy ze mną politruk podkreślał znaczenie wychowawcze obozów w Workucie, a na koniec powiedział: „*Po powrocie do Polski będziesz rozsądny i będziesz się zachowywał jak porządny Polak. Porządni Polacy kierują się naszymi zasadami, opornych natomiast umieszczamy w miejscach tobie już dobrze znanych, gdzie łatwo zmieniają swój światopogląd. O tym, co tu przeżyłeś i widziałeś nie wolno tobie nic mówić, bo możesz trafić do jeszcze gorszych miejsc. Pamiętaj o tym, że w Polsce jest również władza sowiecka! Życzę osiągnięć w pracy dla umacniania komunizmu w świecie*”.

Czesia nie otrzymała odpowiedzi od prokuratora z Moskwy. Czekwała cierpliwie. Może i do niej uśmiechnie się los...

14 czerwca 1957, pożegnawszy się ze wszystkimi, którzy mieli trudności z wyjazdem do kraju lub go im odmówiono, odprowadzany przez Czesię, Gienka i małą grupę roda-

ków, wsiadłem do wagonu produkcji Pafawag i wyjechałem z Workuty. Było mi ciężko na duszy, gdy patrzyłem na pozostających rodaków, nie mając pewności, czy kiedykolwiek jeszcze ich zobaczę.

Żegnajcie jedenaście lat i sto trzynaście dni spędzone w Workucie! Oby nigdy żaden Polak nie był tu przywieziony tylko dlatego, że miał odwagę postępować zgodnie ze swoimi przekonaniem.

Powrót

Pociąg ruszył wolno. Wychylony przez okno machałem ręką małej grupce przyjaciół, aż zniknęła mi z oczu. Zacząłem zbliżać się do spełnienia moich wieloletnich marzeń. Wracam do rodzinnych stron, do Polski. Blisko dwanaście lat temu, gdy 21 lutego 1946 przywieźli mnie do Workuty w bydłącym wagonie, królowała polarna noc i nie widziałem okolic, które mijaliśmy. Dziś, 14 czerwca 1957, panowała jeszcze zima i mimo ciepłego dnia, wszędzie rozciągała się bezkresna biel, której nie da się do niczego porównać. Byłem w lepszej sytuacji niż rodacy wyjeżdżający w listopadzie, grudniu, styczniu czy w lutym — w miesiącach, w których dzień trwał krótko lub panowała wieczna noc. W ciemności, przez zamrożone szyby nie mogli obserwować zmieniającego się krajobrazu.

Byłem jedynym Polakiem wyjeżdżającym tego dnia z Workuty. Moje myśli pobiegły do moich najbliższych. Czy poznam wszystkich, a oni mnie? Od ostatniego widzenia się z rodziną minęło dwadzieścia lat! Czy znajdziemy wspólny język w nowej rzeczywistości, której nie znam, lecz wiem, kto ją tworzy i jakimi metodami. W końcu zacząłem myśleć o Hance. Ona najlepiej знаła wszystkie zagrożenia stale czyhające na tych, którzy jeszcze nie wrócili. Inne myśli przeniosły mnie z powrotem do miejsc dopiero co opuszczonych, do tej grupki Polaków. Może część z nich nigdy nie urzeczywistni marzeń o powrocie do ojczyzny. Większość z nich na pewno nie powróci do swoich rodzinnych stron, bo nie należą już one do Polski...

Polacy w Workucie i na całym obszarze ZSRR przeżyli dużo upokorzeń, przykrości i rozczarowań. Wierzyliśmy, bo mieliśmy ku temu powody, że wszyscy Polacy wezmą udział w walce o swoje prawa, a interes każdego z nas będzie stał zawsze przed interesem obywatela innego państwa. Stało się inaczej. Dwanaście lat po wojnie dano nam poznać, że jesteśmy gorsi nawet od Niemców sądzonych za mniejsze lub większe zbrodnie wojenne, od obywateli sowieckich sądzonych za zdradę ojczyzny, a także od zwykłych kryminalistów. Z tą świadomością, my, walczący od 1 września 1939 aż do ostatnich dni wojny, do 9 maja 1945, nie mogliśmy nie protestować. Cały czas myślałem o tych, którzy nie mogą wrócić do kraju, bo ich przyjazd przysporzyłby partii i władzom dodatkowych problemów.

Z takich rozmyślań wyrwała mnie przesuwająca się przed moimi oczami śnieżna biel. Dopiero po kilkuset kilometrach zaczęły pojawiać się powoli urozmaicenia w krajobrazie. Najpierw były to pojedyncze, karłowate drzewka, przygarbione i jakby zagubione w tej bezkresnej bieli. Im dalej od Workuty, tym drzewek było więcej, po dwa–trzy. Stopniowo się zagęszczały, stawały się wyższe, aż przeszły w ciemniejszą tajgę, coraz gęstsza, ciemniejszą i wyższą. Przez setki kilometrów nie widziałem żadnego osiedla ani wioski. Stacje kolejowe mijaliśmy rzadko, były od siebie odległe o ponad sto kilometrów.

W pewnym momencie pociąg zatrzymał się na stacji zagubionej w tajdze, aby wymienić łożysko przy zestawie wagonu, które było bardzo rozgrzane i zaczęło się dymić. Na tej stacji wsiadł do mojego wagonu młody człowiek. Z rozmowy z nim dowiedziałem się, że jest Szwedem. Był więziony w jednym z obozów, którymi przepełniona była cała tajga. Wracał do swego kraju. Ludzie z obozów szybko się zaprzyjaźniają. Nie pytałem go o szczegóły aresztowania i czas przebywania w obozie, lecz stosunkowo dobra znajomość języka rosyjskiego świadczyła o jego długim pobycie w tym świecie. Miał brata w szwedzkiej ambasadzie w Moskwie, który — jak mówił — będzie na niego czekał na dworcu. Zaświtała mi nadzieja skorzystania z tej znajomości. Po przybyciu do Moskwy zamierzałem się udać na Dworzec Białoruski, by zapewnić sobie nocleg, a następnie do banku, aby zrealizować swoje bony pożyczkowe. Miałem cichą nadzieję, że dwaj Szwedzi będą mi towarzyszyć i służyć za przewodników.

Do Moskwy jechałem pełne trzy doby. Zbliżanie się do tego miasta przebiegało w bardzo podniosłym nastroju. Przez wszystkie głośniki rozpoczęto nadawanie marszów, a przed samą Moskwą na moment zapadła cisza i spiker rozgłosił, jak w teatrze, uroczystym głosem zapowiedział, że pociąg zbliża się do stolicy narodów ZSRR. Po tej zapowiedzi popłynęła uroczysta, patriotyczna melodia.

Na dworcu rzeczywiście oczekiwał brat Szweda. Zawiózł nas na Dworzec Białoruski, a następnie woził po głównych ulicach Moskwy, służąc nam za przewodnika. Następnego dnia w dalszym ciągu korzystałem z uprzejmości Szwedów, którzy zawieźli mnie do polskiej ambasady. Nie odczułem w niej polskiej atmosfery, bo wszyscy mówili po rosyjsku. Poruszyłem kwestię polskich więźniów, którzy pozostali jeszcze w Workucie. Nie odniosłem wrażenia, aby przejmowano się ich losem. Nikogo w ambasadzie nie interesowało również, czy wracając z obozu mam jakieś pieniądze, zawsze przecież potrzebne w długiej podróży. Nikogo nie interesowały warunki, w jakich żyli Polacy za kołem polarnym. Po prostu nie wypadało im mnie nie wysłuchać...

Może mi ktoś zarzucić, że przesadzam lub przemawia przeze mnie gorzyc nagromadzona przez lata przymusowego pobytu w ZSRR. Nie jest to prawda. Na poparcie mojej opinii przytoczę kilka faktów dotyczących starań mojej matki — osiemdziesięcioletniej wtedy kobiety — o uwolnienie mnie, rozpoczętych po otrzymaniu w 1954 roku kartki z wiadomością, że żyję i znajduję się w ZSRR. Wówczas to matka napisała wszędzie, gdzie uważała, że powinna znaleźć zrozumienie i pomoc. Oto otrzymane przez nią odpowiedzi:

Moskwa, 7 marca 1955

Od: Ambasada Polskiej Rzeczypospolitej w Moskwie

**Do: Ob[ywatel]
Grzywacz Antoni**

W związku z pismem obywatela z dnia 7 marca br. Wydział Konsularny Ambasady Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Moskwie donosi, że syn Jego, jak na to wskazuje podany adres, znajduje się w obozie pracy w ZSRR. Okoliczności jego aresztowania i skazania, jak również miejsce jego pobytu nie są ambasadzie znane, ponieważ syn Obywate-

la nie zwracał się do tutejszego urzędu. W sprawie ułaskawienia syna, obywatel mógłby zwrócić się z prośbą do Przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRR w Moskwie, za pośrednictwem Ambasady Radzieckiej w Warszawie. Co się tyczy jego repatriacji do kraju, to będzie ona możliwa dopiero po zwolnieniu syna z obozu.

Tylko tyle ambasada w Moskwie miała do powiedzenia mojej matce. Pomijając fakt pomyłki dotyczącej osoby adresata, Polacy zatrudnieni w ambasadzie najlepiej wiedzieli, że z sowieckich więzień i obozów nie wolno było nikomu pisać. Matka uczyniła, jak zalecała ambasada w Moskwie i napisała prośbę do Bułganina, lecz na pytanie, dlaczego sądzili mnie jako zdracę i jako sowieckiego obywatela, nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Otrzymała natomiast odpowiedź z Ministerstwa Spraw Zagranicznych:

Warszawa, 15 października 1955

Ob[ywatelka]
Grzywacz Franciszka

W odpowiedzi na pismo Obywatelki z dnia 26 września 1955 Ministerstwo Spraw Zagranicznych komunikuje, iż czyni starania o umożliwienie synowi Obywatelki, Józefowi Grzywaczowi powrotu do Polski. O wynikach załatwienia sprawy Ministerstwo zawiadomi.

Ciekawa sprawa! Ministerstwo starało się o powrót mojego brata Józefa, mieszkającego w kraju, w Pasłęku. Matka nie zraziła się stosowaną wobec niej taktyką i w dalszym ciągu starała się o pomoc władz. 29 października 1956 wysłała prośbę do Prezesa Rady Ministrów w Warszawie z kopiami dla Pierwszego Sekretarza KC PZPR i Pełnomocnika do spraw Repatriacji w Moskwie. A oto wyjątki z tego pisma:

W sprawie jego repatriacji zwracałam się już kilka razy do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, ale poza obietnicami, prośba moja nie została dotychczas pozytywnie załatwiona. [...] Tam w Workucie, z obcych narodowości zostali już tylko Polacy. [...] Przypuszczam, że zwolnienie naszych synów i pozwolenie im na powrót do kraju umocni nasze przyjacielskie stosunki ze Związkiem Radzieckim, które przez okres wojny były bardzo serdeczne. Osobiście przyczyniłam się do udzielenia pomocy żołnierzom radzieckim, przetrzymując przez pewien czas skoczka Armii Radzieckiej u siebie w domu. To jest fakt niezaprzeczalny. Dzięki przetrzymywaniu naszych synów na zesłaniu, w niewoli, czuję żal do władz radzieckich. Wymagają tego dobrosąsiedzkie stosunki, aby nasi synowie wrócili, albowiem są oni Polakami i obywatelami polskimi, skoro nie zrzekli się obywatelstwa polskiego. Pragnę jeszcze przed swoją śmiercią zobaczyć się z moim synem Bernardem, z którym pozostaję w długoletniej rozłące... W sprawie zwolnienia i repatriacji mojego syna zwracałam się również do Prezesa Rady Ministrów Związku Radzieckiego Bułganina, ale na moją prośbę nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. [...]

Żywię głęboką nadzieję, że Obywatel Prezes Rady Ministrów oraz inni przedstawiciele narodu polskiego udający się z Nim do Moskwy dla omówienia żywotnych interesów Narodu Polskiego, uznają za stosowne upomnieć się o naszych synów [...].

Na tę prośbę matka otrzymała następujące odpowiedzi:

Warszawa, 9 listopada 1956

**Biuro Pełnomocnika Rządu
ds. Repatriacji**

Biuro Pełnomocnika Rządu ds. Repatriacji zawiadamia, że pismo Obywatela z 29 października 1956 w sprawie repatriacji syna z ZSRR zostało przesłane do Ambasady PRL w Moskwie w celu poczynienia starań o przyjazd wymienionej osoby.

Moskwa, 8 stycznia 1957

**Ambasada PRL w Moskwie
Pełnomocnik Rządu
ds. Repatriacji Polaków z ZSRR**

W odpowiedzi na pismo Obywatela zawiadamiam, że zostały podjęte starania w celu przedterminowego zwolnienia Was z obozu, względnie przekazania władzom polskim.

Ależ sprawa! Ambasada starała się o zwolnienie z obozu mojej matki! Nie mogliśmy narzekać na brak humoru i urozmaicenia w naszym życiu. Partia też odpowiedziała.

19 listopada 1956

**Polska Zjednoczona Partia Robotnicza
Biuro Listów i Inspekcji**

Biuro Listów i Inspekcji KC PZPR zawiadamia, że pismo Wasze z dnia 29 października 1956 zostało przekazane wg właściwości do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Z długoletniej obserwacji rzeczywistości upewniłem się o powstaniu wygodnej specjalności zawodowej — rozwiniętego urzędowania. Szybkie rozwiązywanie spraw podważyłoby konieczność zatrudniania w urzędach tak wielkiej liczby pracowników. Z kolei żółwie tempo załatwiania interesantów i odpowiednia taktyka prowadzą do lawiny skarg. Liczne, niezrozumiałe pomyłki w odpowiedziach i brak postępu w dwuletnich staraniach skłoniły matkę do pisania kolejnych prośb, między innymi i tej z 2 lutego 1957, do Pełnomocnika Repatriacji przy Ambasadzie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w Moskwie, pana Mieczysława Popiela. W obszernym liście matka wycyliła wszystkie złożone do tej pory prośby i otrzymane odpowiedzi. A oto wyjątki:

Jego akta znajdują się również w Biurze Pełnomocnika ds. Repatriacji Polaków z ZSRR w Moskwie. Stamtąd otrzymałam wiadomość, że Pełnomocnik podjął starania o przedterminowe zwolnienie mojego syna z obozu, względnie przekazania [go] władzom polskim. Przypuszczam, że zachodzi tu nieporozumienie, albowiem mój syn Bernard odbył już nałożoną na niego karę. Chodzi obecnie o umożliwienie mu powrotu do kraju.

Matka nie wiedziała, co oznacza *wolnoje posielenije* i przyspieszyła o miesiąc termin odbycia przeze mnie kary. Omyłka nie była wielka, bo miałem prawa wolnego obywatela, choć z różnymi ograniczeniami. Zresztą władze PRL kompletnie nic nie wiedziały o żadnym Polaku siedzącym w ZSRR. Ich zdaniem znajdowaliśmy się w dobrych rękach.

Nie wiedziałem, że matka zaczęła starania o mój powrót do kraju już pod koniec 1954 roku i w różnych urzędach teczki z moimi aktami grubiały. Po interwencjach matki władze PRL w mojej sprawie nie kiwnęły nawet palcem.

Po wizycie w polskiej ambasadzie uprzejmi Szwedzi zawieźli mnie do banku. Tam czekała na mnie niespodzianka. Urzędnik banku usiłował mi wmówić, że nie mogę zrealizować posiadanych obligacji, na które miałem zaświadczenie z obozu. Utrzymywał, że w ZSRR więźniowie nie uczestniczyli w pożyczkach rozpisywanych przez rząd. Próbowałem mu wytłumaczyć, że we wszystkich obozach więźniowie przymusowo musieli uczestniczyć w pożyczkach. Niczego nie osiągnąłem, bo wysoki rangą urzędnik bankowy był innego zdania i zawyrokował, że trzeba telegraficznie potwierdzić w Workucie fakt mojego uczestnictwa w pożyczce. Był zdania, że potrwa to tylko trzy doby, ale ja, znając sowiecką biurokrację, wiedziałem, że na takie wyjaśnienia nie wystarczy tygodnia. Szwed starał się również poprzeć mnie w moich wysiłkach, lecz bez skutku. Jako ostatniego argumentu użyłem książeczki pracy z zarobkami z ostatnich miesięcy i zaświadczenia, że od 1950 roku byłem wykładowcą w szkoleniowym technikum kopalni nr 1. Dodałem, że za wykłady płacono mi drugie tyle. Nie było to prawdą, lecz próbowałem ratować sytuację. Urzędnik popatrzył, przeliczył zaprezentowane przeze mnie kwoty i doszedł do wniosku, że na pewno przy ściąganiu pożyczek nie pominięto by osoby o takich zarobkach. Polecił zrealizować przedstawione obligacje na kwotę 3000 rubli.

Po pozytywnym załatwieniu sprawy w banku i pożegnaniu wyjątkowo uprzejmych Szwedów udałem się na zakupy, które następnie załadowałem do pojemnika i wysłałem do Warszawy. W Moskwie siedziałem jeszcze dwa dni, by lepiej poznać miasto i wyrobić sobie na jego temat własne zdanie. Było to miejsce, które dla mnie wiązało się z przykrymi wspomnieniami więziennymi z 1945 roku.

Moskwa przygotowywała się do organizacji światowego festiwalu młodzieży. Usunięto z niej cały podejrzany element, by nie dopuścić do przypadkowego incydentu, dowodzącego, że w ZSRR są tacy sami ludzie, jak w innych krajach na świecie. Ja jeszcze widziałem pijanych na ulicach, ale młodzież z całego świata już ich nie zobaczy. Na potęgę odnawiano domy i w centrum widziałem masę rusztowań. Pojechałem na przedmieścia Moskwy, w rejony, do których festiwalowa młodzież nie dotrze. Nie widziałem tam żadnych rusztowań, chociaż domy z odpadającymi tynkami domagały się remontu.

Zwiedziłem kilka stołówek, lecz w żadnej nie zauważyłem noży i widelców, które w tych czasach nie były uważane już za oznakę burżuazji. W centralnym sklepie było dosyć dużo towarów dla posiadaczy odpowiednich funduszy. Bez ograniczeń można było kupić wyroby ze złota, srebra, zegarki, aparaty fotograficzne, elektryczne urządzenia gospodarstwa domowego i wiele innych rzeczy codziennego użytku. Jak wywnioskowałem z rozmów z przypadkowymi ludźmi, Moskwa uchodziła za miasto najlepiej zaopatrzone (szczególnie w żywność). Na pewno nie można było porównać zaopatrzenia Workuty i Moskwy.

Chodziłem po Moskwie i robiłem zdjęcia. Przez myśl mi nie przeszło, że w ten sposób mogę sprawić kłopot milicji. Moje dokumenty zdenerwowały milicjantów, gdyż były nietypowe. Przybyłem z rejonów izolowanych i w dodatku w czasie, kiedy Moskwa przygotowuje się do festiwalu młodzieży. Kilka razy legitymowano mnie na ulicy. Na Dworcu Białoruskim zniknęli nawet na chwilę z moimi dokumentami, aby sprawdzić czy

mogą zapewnić nocleg tak „podejrzanej” osobie. Milicja była zaniepokojona moim zainteresowaniem Moskwą, a mnie rzeczywiście wyjątkowo dużo interesowało. Warto było chociaż pobieżnie poznać stolicę państwa, które posiadało kapitał w postaci najliczniejszych i najpojemniejszych więzień świata.

Interesowało mnie metro, jedyne, które robiło wrażenie przedsiionka muzeum. W porównaniu z metrem paryskim, do którego można się dostać z prawie każdego punktu miasta, stacje kolejki podziemnej w Moskwie są rzadsze.

Chyba każdemu przebywającemu w tamtych czasach w stolicy ZSRR rzucały się w oczy skromne ubiory jej mieszkańców. Odczuwało się brak elegancji i szykownie ubranych pań. Wielu mieszkańców chodziło w ubraniach otrzymanych w pracy, w futajkach.

W końcu, w nocy z 20 na 21 czerwca wyjechałem z Moskwy do Brześcia nad Bugiem. Po przyjeździe do Brześcia trzeba było przesiąść się do pociągu jadącego do Polski. Zanim to nastąpiło musiałem oddać dokumenty. Miałem trochę czasu do odjazdu pociągu, więc poszedłem do miasta, by wydać ostatnie ruble, gdyż w kraju byłyby bezużyteczne. W porównaniu z Moskwą sklepy Brześcia były bardzo ubogo zaopatrzone. Wróciłem na dworzec i skierowałem się do przejścia, przez które wpuszczali jadących na zachód, do Polski. W okienku podałem nazwisko, imię i *otczestwo*. Niespodzianka! Nie ma moich dokumentów! Szukają, przewracają — bez skutku. Strach mnie obleciał, że a nuż coś się zmieniło. Czas odjazdu był coraz bliższy. Co tu robić? Podałem nazwisko, pod którym szukało mnie gestapo. Trafiłem w dziesiątkę, bo dokumenty natychmiast się znalazły. Po ich odebraniu skierowałem się do pociągu. Po drodze musiałem przejść przez kontrolę celną. Przeprowadzili ją ogłędnie, powiem nawet, kulturalnie. Odetchnąłem z ulgą dopiero, gdy znalazłem się w pociągu, a ściślej, gdy pociąg ruszył. Stukot kół upewnił mnie, że opuściłem ten kraj pełen kontrastów, leżący tak blisko najważniejszych ośrodków kulturalnych świata i jednocześnie tak od nich odległy. Chyba dużo racji ma James George Frazer, mówiąc: „Podobieństwa łączące nas z dzikimi są wciąż jeszcze znacznie liczniejsze niż różnice, które nas od nich dzielą”.

Cały czas nurtowało mnie pytanie, jak wygląda życie w dzisiejszej Polsce. Czy będę wolnym człowiekiem w kraju, który przecież nie jest suwerenny.

21 czerwca 1957 w godzinach południowych przekroczyłem granicę sowiecko-polską i dopiero teraz miałem pewność, że wieloletni koszmar jest poza mną. Nareszcie byłem w kraju, w ojczyźnie wszystkich Polaków, do której jechałem z Francji po rozpoczęciu wojny i o którą walczyłem od 12 września 1939.

Znalazłem się w Białej Podlaskiej. Nie miałem przy sobie polskich pieniędzy, a trzeba było nadać depeszę do Warszawy. W Punkcie Repatriacyjnym przyjęto nas niezbyt uprzejmie. Ktoś domagał się informacji o terminie i wysokości ewentualnej wypłaty kwoty przeznaczonej dla repatriantów. To niewinne i całkiem zrozumiałe pytanie spowodowało ostrą reakcję kierownika, osoby reprezentującej partię i rząd PRL. Powiedział: „*Wszyscy, którzy przyjeżdżają do punktu repatriacyjnego myślą tylko o pieniądzach. Okazuje się, że było wam lepiej w ZSRR niż nam w kraju*”. Powitanie to zapadło mi głęboko w pamięć. Chętnie odstąpiłbym mu swoje przeżycia z ostatnich osiemnastu lat... Nie oczekiwałem, że władze przyjmą powracających z radością i z otwartymi ramionami, ale w równym stopniu nie oczekiwałem tak chamskiego powitania. Narzucało się py-

tanie, co naprawdę myśli o nas rząd i partia, jeśli ich przedstawiciel wyraża się tak jasno i dobitnie. Podeszedłem do niego z zapewnieniem, że może spać spokojnie, bo jeżeli o mnie chodzi, czekam tylko na załatwienie niezbędnych formalności i natychmiast znikam mu z oczu. W jego więc interesie leży, by załatwiono owe formalności jak najszybciej.

Niezależnie od tego incydentu miałem wiele wrażeń. Nie mogłem nasłuchać się polskiej mowy. Była jakaś inna niż ta używana w obozach, która z biegiem lat pobytu wśród ludzi innych narodowości, zmieniła się trochę. W Polsce jednak też uległa zmianie.

Na dworcu w Warszawie zauważyłem punkty dla powracających, zorganizowane przez studentów i społeczeństwo. Trzeba przyznać, że władze temu nie przeszkadzały, mimo że oficjalnie nie zajmowały stanowiska w całej sprawie. Społeczeństwo przyjmowało nas bardzo serdecznie. Interesowano się naszymi przeżyciami oraz losem tych, którzy jeszcze nie powrócili. Mile wspominam troskę różnych osób pragnących udzielić pomocy i zadumę z powodu kompletnego braku zainteresowania ze strony czynników oficjalnych, w tym licznej rzeszy dziennikarzy.

W Warszawie rodzina Hanki, Imielowie, zgotowali mi serdeczne przyjęcie. Radości nie było końca i opowiadaniom również. Następnego dnia wyjechałem do domu.

W Lasowicach musiałem oczekiwać na połączenie do Chojnic. W poczekalni obserwowałem pasażerów. Nawet tu, na prowincji, daleko od Warszawy, ludzie byli lepiej ubrani niż w Moskwie. W pewnym momencie przeszła obok mnie pasażerka i usiadła nieopodal, przy wolnym stoliku. Było w niej coś znajomego. Baczenie mi się przypatrywała. Wyszedłem, bo zbliżał się czas odjazdu mojego pociągu. Obserwująca mnie kobieta ruszyła za mną i weszła do tego samego wagonu, co ja. Po pewnym czasie podeszła do mnie... Była to moja starsza siostra Frania, która jechała do domu, by się ze mną spotkać. Nie będę opisywał naszej radości ze spotkania, gdyż tych wszystkich uczuć nie da się wyrazić.

Pociąg zatrzymał się na dworcu w Cekcynie. Czekał na mnie brat. Nowa porcja emocji. W ciągu godziny jazdy słuchałem opowiadań brata. Zajechaliliśmy do domu. Tam czekała matka. Czekwała na mnie dwanaście lat... Ona jedna w cichości ducha wierzyła, że wrócę i tą wiarą żyła. Tamtego dnia spełniły się jej ciche nadzieje, że przed śmiercią do czeka się mojego powrotu. Żyła jeszcze dwa lata. Witalem się z siostrami i braćmi oraz ze znajomymi. Świątowaliśmy przez kilka dni, ciesząc się, że po blisko trzynastu latach od zakończenia wojny jesteśmy nareszcie razem.

W końcu jednak zjazd rodzinny się skończył. Wszyscy spieszyli się do domów, do pracy i codziennych obowiązków. Również ja musiałem zająć się swoją przyszłością i poszukać sobie miejsca w nowej rzeczywistości.



Wszystko, co opisałem wydarzyło się naprawdę. Są to moje przeżycia i epizody z życia moich towarzyszy niedoli. Naszą jedyną zbrodnią było odmienne spojrzenie na życie i jego wartości, a także poświęcenie dla Polski i miłość do ojczyzny. Podaję te fakty, aby zapoznały się z nimi obecne, a także przyszłe pokolenia i same odpowiedziały sobie na pytanie, jakim przyjacielem Polaków i Polski jest i był nasz wschodni sąsiad. Jest to część nie tylko naszej historii, lecz również *memento* dla całej ludzkości, której ustrój komu-

nistyczny zamierza przewodzić i w tym celu systematycznie zdobywa przyczółki w różnych częściach świata.

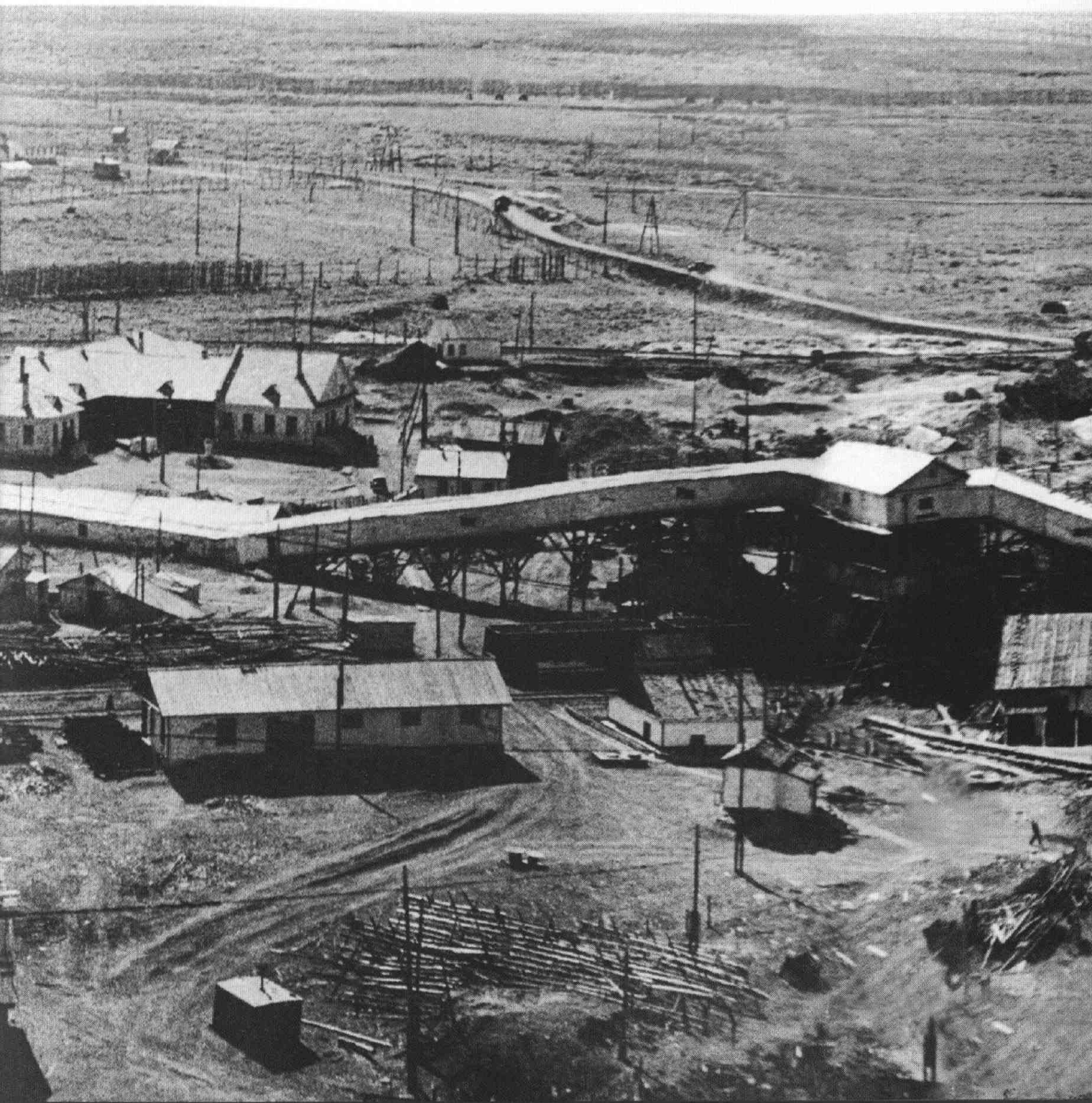
My, Polacy, nie możemy zapomnieć naszych rodaków, którzy znaleźli śmierć daleko od ojczyzny, tylko dlatego, że byli jej wierni. Dzisiaj nie mają prawa do swoich mogił. Nie pozwólmy, by o nich zapomniano.

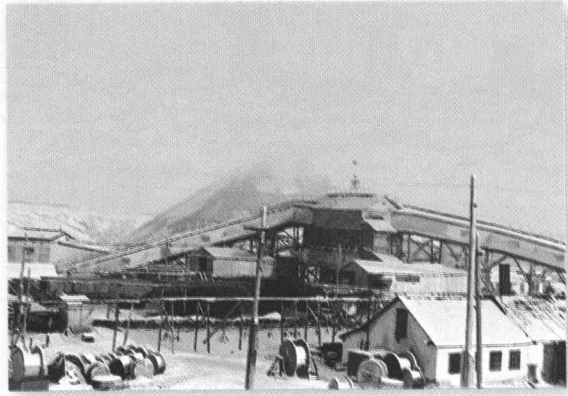
Katowice, 1957–1960

Teren kopalni nr 9-10. U góry widać północno-zachodnią część obozu przy kopalni nr 1 „Kapitalnaja”, oddzielonej od kopalni nr 9-10 i od jej obozu pasem ziemi o szerokości 50 metrów. W tundrze, wzdłuż obozu kopalni nr 1, biegnie droga z miasta Workuty w kierunku kopalni nr 9-10.

Na następnej stronie u góry: Bernard Grzywacz na placu drzewnym kopalni nr 1 „Kapitalnaja”, 1955









U dołu widoczna jest brama wjazdowa kopalni nr 9-10 wraz z wartownią i wyszką. U góry, za torami, znajduje się *jużnyj posiołok* [Osiedle Południowe], przeznaczone dla tzw. półwolnych, pracujących w kopalni nr 9-10. Na zdjęciu widać również hałdę małej kopalni nr 11, a obok niej obóz karny. W środkowej części, po prawej stronie stoi budynek dyrekcji kopalni nr 9-10. Wyżej, aż do rzeki ciągną się zabudowania *jużnego posiołka*.





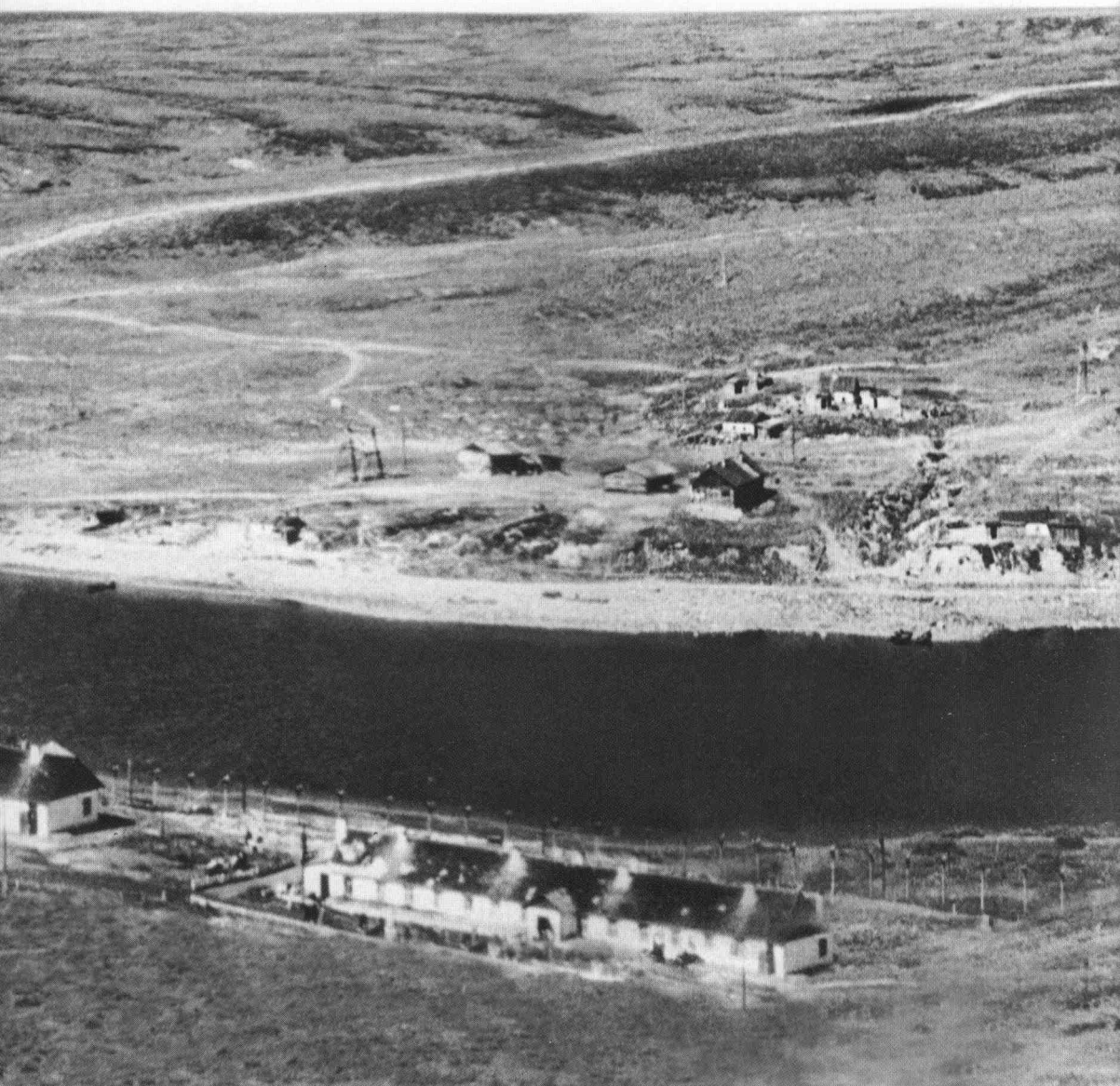


W dolnej części, na brzegu rzeki, znajduje się obóz przeznaczony dla inwalidów „Sangorodok”.

Wyraźnie widoczne są „zony śmierci”, otaczające każdy obóz, utworzone z pasów ziemi o szerokości 10 metrów za i przed drutami, obstawione wyszkami.



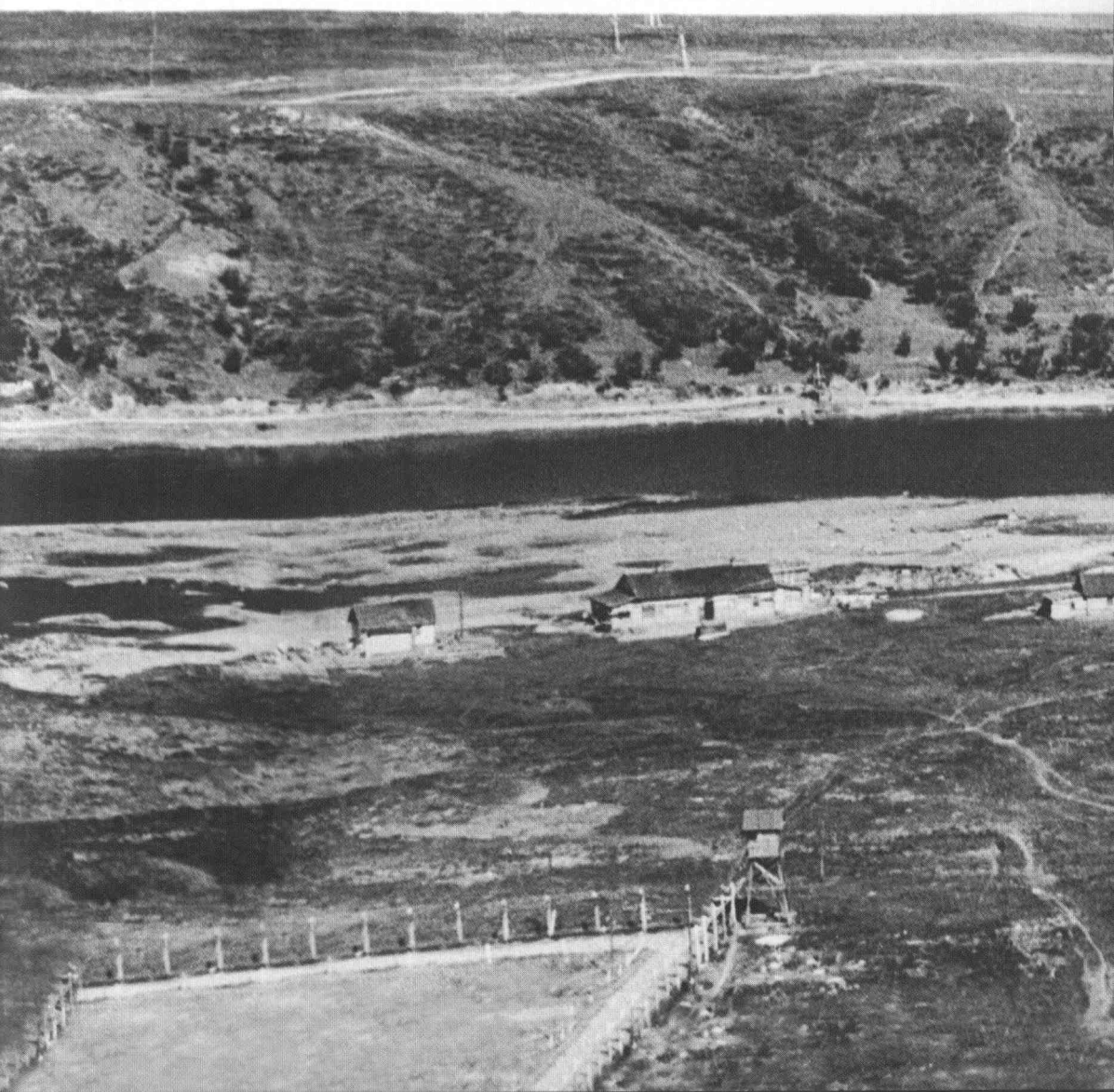
U góry zdjęcia (nad barakami) widoczne jest jedno z miejsc, gdzie grzebano zwłoki więźniów obozu kopalni nr 9-10 i obozu inwalidów.







U dołu widoczna jest część ogrodzenia
obozu przy kopalni nr 9-10.





Jedyny most kolejowy z torami prowadzącymi do obozu przy kopalni nr 8 „Rudnik”. Przed mostem, po obu stronach nasypu, stoją baraki dla półwolnych.



Na skarpie za rzeką znajduje się obóz przy jednej z najstarszych kopalń — nr 8 „Rudnik”. Jego część była przeznaczona na obóz przejściowy (*pieriesylnyj*), z którego rozsyłano więźniów po obozach całej Komi ASRR.







W górnej części nad rzeką widać elektrownię (TEC-1), która zaopatrywała w elektryczność cały obszar. Po prawej stronie rozciągają się peryferie miasta Workuta. Na pierwszym planie widoczne są baraki obozu przy kopalni nr 9-10, liczącej w tamtym czasie ponad 10 tysięcy więźniów.



Hałda kopalni nr 1 „Kapitalnaja”, wraz z zabudowaniami.
Poniżej widoczna jest północno-wschodnia część obozu
przy kopalni nr 1, liczącego ponad 6 tysięcy więźniów.







Miasto Workuta — pomnik górnika



Bernard Grzywacz na tle *terikonikóv* (hałd kopalnianych), 1956



Zdjęcie obozowe Kazimierza Jankowskiego



Zabudowania w pobliżu jednego z łagrów



Barak w łagrze, 1955



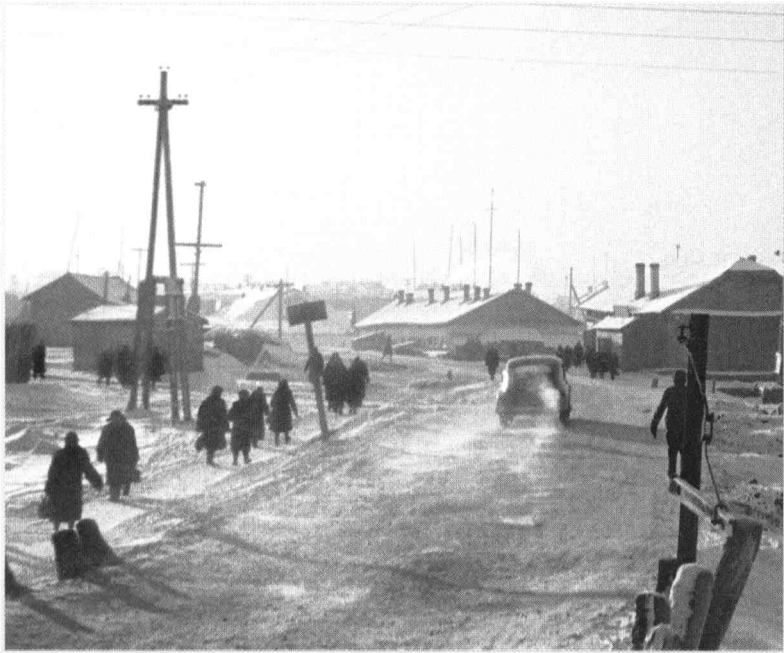
Leon Tejwan przy prawdopodobnym miejscu pochówku inż. Juliana Wiktora, który zginął w kopalni „Kapitałnaja”, 1956



Miasto Workuta, 1955-56



Nieńcy przy zaprzęgu reniferów, 1956



Miasto Workuta, 1955-56



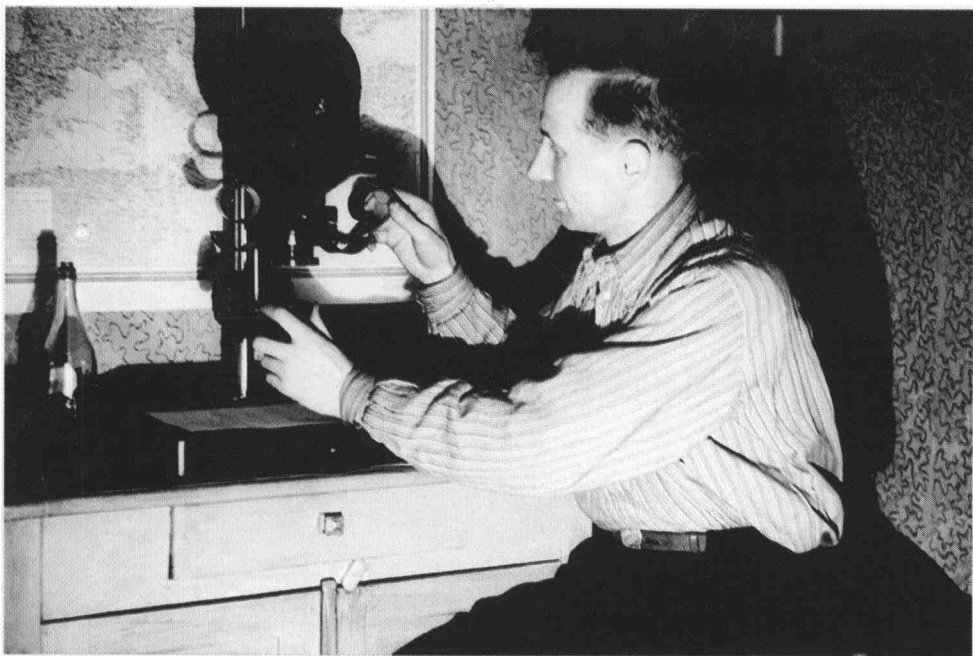
Nieręcy



Krajobraz Workuty — ogrodzenia z drutów kolczastych, wyszki, obozy



Workuta, 1956



Bernard Grzywacz w swej workuckiej ciemni fotograficznej, 1956



Jeden z workuckich cmentarzy